

Arkadij i Borys Strugaccy

Pora Deszczów

Przełożyła: Irena Lewandowska

Kiedy Irma wyszła, chuda, długonoga, uśmiechając się po dorosłemu szerokimi i jaskrawoczerwonymi jak u matki ustami, długo zamykając za sobą drzwi, Wiktor zajął się starannym zapalaniem papierosa. To wcale nie jest dziecko, myślał oszołomiony, dzieci nie rozmawiają w ten sposób. To nawet nie brutalność, to okrucieństwo i nawet nie okrucieństwo - po prostu jest jej wszystko jedno. Jakby nam udowodniła twierdzenie matematyczne - wszystko obliczyła, przeanalizowała, rzeczowo zakomunikowała wynik i oddaliła się potrząsając warkoczykami, absolutnie spokojna.

Przezwyciężając zażenowanie Wiktor spojrzał na Lolę. Na twarzy miała czerwone plamy, wargi jej drżały, jakby chciała się rozplakać, ale oczywiście płakać nie zamierzała, była rozwścieczona do ostateczności.

- Widzisz? - zapytała Wysokim głosem. - Taka smarkata... Gówniara! Nie ma dla niej nic świętego, każde słowo - zniewaga, jakbym nie była jej matką, tylko szmatą do podłogi, o którą można wytrzeć buty. Wstyd mi przed sąsiadami! Paskudztwo, chamka...

Tak, pomyślał Wiktor, i ja z tą kobietą żyłem. Chodziłem z nią w góry, czytałem jej Baudelairea, drżałem od jej dotknięcia, pamiętam jej zapach., jzdaje się, że nawet biłem się o nią. Do dzisiaj nie rozumiem, o czym ona myślała, kiedy czytałem jej Baudelairea? Nie, to doprawdy zdumiewające, że udało mi się od niej uciec. Po prostu niepojęte, jak to się stało, że mnie wypuściła? Zapewne też nie byłem bukiecikiem fiołków. Pewnie i teraz nie jestem, ale wtedy piłem jeszcze więcej niż obecnie, a do tego uważałem się za wielkiego poetę.

- Ty, oczywiście, nie masz do tego głowy, gdzie tam - mówiła Lola - życie w stolicy, różne tam primabaleriny, artystki... Wiem wszystko. Nie wyobrażaj sobie, że my o niczym nie wiemy. I ta twoja ogromna forsa, i kochanki, i nie kończące się skandale... Jeśli chcesz wiedzieć, mnie to jest doskonale obojętne, nie przeszkadzałam ci, robiłeś co chciałeś...

W ogóle gubi ją to, że bardzo dużo mówi. Jako panna była cicha, milcząca i tajemnicza. Są takie panienki, które od urodzenia wiedzą, jak się zachować. Ona wiedziała. Zresztą i teraz właściwie nieźle wygląda, kiedy na przykład siedzi milcząc na kanapie z papierosem i pokazuje kolana... albo nagle splecie dłonie na karku i się przeciągnie... Na prowincjonalnego adwokata to powinno nadzwyczajnie działać... Wiktor wyobraził sobie sympatyczny wieczór - ten stolik przysunięty tak do kanapy, butelka, szampan pieni się w kielichach, przewiązana wstążeczką bombonierka czekolady i sam adwokat - wykrochmalony, muszka pod szyją. Wszystko jak u ludzi i nagle wchodzi Irma... Koszmar, pomyślał Wiktor, nieszczęsna kobieta.

- Sam powinieneś zrozumieć - mówiła Lola - że nie chodzi o pieniądze, nie pieniądze teraz o wszystkim decydują. - Już się uspokoiła, czerwone plamy znikły. - Wiem, że na swój sposób jesteś uczciwym człowiekiem, kapryśnym, rozpuszczonym, ale przecież nie złym. Zawsze nam pomagałeś i jeżeli o to chodzi, nie mam do ciebie żadnych pretensji. Ale nie taka pomoc jest mi teraz potrzebna. Nie mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwa, ale unieszczęśliwić mnie również ci się nie udało. Masz swoje życie, a ja mam swoje. Nawiasem mówiąc, jeszcze nie jestem stara i niejedno jeszcze przede mną...

Dziecko trzeba będzie zabrać, pomyślał Wiktor. Jak widać, Lola już o wszystkim zadecydowała. Jeżeli Irmę tu zostawić, w domu zacznie się piekło. Dobrze, ale gdzie ja ją podzieję? Spróbuj być uczciwy, zaproponował sam sobie, po prostu uczciwy. Tu trzeba uczciwie, to nie zabawka... Bardzo uczciwie przypominał sobie swoje życie w stolicy. - Niedobrze, pomyślał. Można oczywiście nająć gosposię. To znaczy wynająć na stałe mieszkanie... Zresztą nie o to chodzi - Irma powinna być ze mną, a nie z gosposią. .. Podobno dzieci wychowywane przez ojców - to najlepsze dzieci. Poza tym ona mi się podoba, chociaż to bardzo - dziwne dziecko. A w ogóle to mój obowiązek. Obowiązek uczciwego człowieka i ojca. I w tym wszystkim jest wiele mojej winy. Ale to wszystko literatura. A gdyby tak uczciwie? Jeśli uczciwie - to się boję. Dlatego, że ona będzie stała przede mną uśmiechając się szerokimi ustami, a co ja jej potrafię powiedzieć? Czytaj, czytaj codziennie, czytaj, jak możesz najwięcej, nie musisz robić nic innego, tylko czytaj. Ona to wie i beze mnie, a nic więcej nie mam jej do powiedzenia. Dlatego właśnie się boję... Ale to jeszcze

nie wszystko, jeśli zupełnie uczciwie. Ja nie chcę, i o to właśnie chodzi. Przyzwyczailem się do samotności. I lubię samotność. Nie chcę, żeby było inaczej... I tak to właśnie wygląda, jeśli zupełnie uczciwie. Obrzydliwie wygląda, jak zresztą każda prawda. Cynicznie wygląda, egoistycznie, wstrętne. Uczciwie.

- Dlaczego milczysz? - zapytała Lola. - Masz zamiar tak milczeć bez końca?

- Nie, nie, słucham cię - pośpiesznie powiedział Wiktor.

- Naprawdę słuchasz? Od pół godziny czekam, żebyś był łaskaw zareagować. Ostatecznie to nie tylko mój e dziecko...

A z nią też trzeba uczciwie? - pomyślał Wiktor. Z nią to już zupełnie nie mam ochoty - uczciwie. Ona zdaje się, wyobraziła sobie, że taki problem można rozwiązać w ciągu paru sekund, nie ruszając się z miejsca, między jednym papierosem a drugim.

- Zrozum - powiedziała Lola - przecież nie proponuję, żebyś się sam nią zajmował. Przecież wiem, że jej nie weźmiesz i dzięki Bogu, że nie weźmiesz, zupełnie się do tego nie nadajesz. Ale przecież masz znajomości, kontakty, pomimo wszystko jesteś dość znanym człowiekiem - pomóż mi ją jakoś urządzić! Są u nas przecież jakieś szkoły dla uprzywilejowanych, pensje, specjalne gimnazja. Irma jest zdolnym, muzycznym dzieckiem, ma zdolności matematyczne i do języków.

- Pensja - powiedział Wiktor. - Tak, oczywiście... pensja... Sierociniec... Nie, nie, żartuję. Warto nad tym pomyśleć.

- O czym tu myśleć? Każdy by się cieszył, gdyby mógł umieścić swoje dziecko na dobrej pensji albo w specjalnym gimnazjum. Żona naszego dyrektora...

- Słuchaj Lolu - powiedział Wiktor. - To jest dobry pomysł i postaram się coś załatwić. Ale to nie takie proste, i na to potrzebny jest czas. Oczywiście napiszę.

- Napiszę! To cały ty. Nie trzeba pisać, tylko jechać, osobiście prosić, kłaniać się! Tak czy inaczej nic tu nie robisz! Tylko pijesz i włączysz się z dziwkami! Czy naprawdę tak trudno, dla rodzonej córki...

O do diabła, pomyślał Wiktor, jak tu jej wszystko wytłumaczyć? Znowu zapalił papierosa, wstał i przespacerował się po pokoju. Za oknem zmierzchało się i po dawnemu lał deszcz, obfity, ciężki, niespieszny - deszcz, którego było bardzo dużo i który wyraźnie donikąd się nie spieszył.

- Ach, jak ty mi obrzydłeś! - powiedziała Lola z nieoczekiwaną złością - gdybyś wiedział, jak mi obrzydłeś...

Czas iść, pomyślał Wiktor. Zaczyna się święty macierzyński gniew, wściekłość porzuconej kobiety i temu podobne. Tak czy inaczej, dzisiaj nic jej nie odpowiem. I niczego nie będę obiecywał...

W niczym nie można na ciebie liczyć - mówiła dalej Lola. - Nieudany mąż, ojciec do niczego... modny pisarz, widzicie go! Rodzonej córki nie potrafił wychować... Pierwszy lepszy kmiot zna się na ludziach lepiej niż ty! No i co ja mam teraz robić? Z ciebie przecież nie ma żadnego pożytku. Sama gonię resztką sił i nic z tego nie wynika. Nic dla niej nie znaczą, pierwszy lepszy mokrzak jest dla niej sto razy ważniejszy niż ja. No, nic, jeszcze zobaczysz! Ty jej niczego nie uczysz, doczekasz się, że tamci ją nauczą! Doczekasz się, że napluje ci w mordę tak jak mnie...

- Przestań, Lolu - powiedział Wiktor krzywiąc się. - Chyba jednak trochę przesadzasz. Jestem jej ojcem, to prawda, ale ty jesteś jej matką... Twoim zdaniem wszyscy są winni oprócz ciebie...

- Wynoś się! - powiedziała Lola.

- Wiesz, co ci powiem? - powiedział Wiktor. - Nie mam zamiaru się z tobą kłócić. Będę myśleć. A ty...

Stała teraz wyprostowana i nieomal dygotała, przewidując oskarżenie, gotowa z rozkoszą rzucić się w kłótnię.

- A ty - spokojnie powiedział Wiktor - postaraj się nie denerwować. Coś wymyślimy. Zadzwoń do ciebie.

Wszedł do przedpokoju i włożył płaszcz. Płaszcz był jeszcze mokry. Wiktor zajął do pokoju Irmy, żeby się pożegnać, ale Irmy nie było. Okno było otwarte na oścież, deszcz chlustał na parapet. Ścianę zdobił transparent - wielkie, śliczne litery żądały Proszę nigdy nie zamykać okna. Transparent był pomięty, złachmaniony i pokryty ciemnymi plamami, jakby go wielokrotnie zrywano i deptano nogami. Wiktor zamknął drzwi.

- Do widzenia Lolu - powiedział. Lola nie odpowiedziała.

Na ulicy było już zupełnie ciemno. Deszcz zastukał po ramionach, po kapturze. Wiktor przygarbił się wpełznął ręce głębiej do kieszeni. O, na tym skwerze po raz pierwszy pocałowaliśmy się, pomyślał. A tego domu wtedy jeszcze nie było, był pusty plac, a za placem - wysypisko śmieci, tam strzelaliśmy z procy do kotów. W mieście było diabelnie dużo kotów, a teraz nie widziałem ani jednego... Nie czytaliśmy wtedy w ogóle, a Irma miała pełen pokój książek. Jakie były w moich czasach dwunastoletnie dziewczynki? Piegowate, rozchichotane stworzenia, kokardy, lalki, obrazki z zajączkami i królową Śnieżką, zawsze we dwie, we trzy, szepczące sobie na ucho, torebki ciążutek, zepsute zęby. Czyścioszki, skarżypyty, a najlepsze z nich były takie same jak my - podrapane kolana, oczy dzikie jak u rysia, skłonność do odstawiania nogi... Wreszcie nastąpiły nowe czasy, czy co? Nie, pomyślał. To nie czasy. To znaczy czasy oczywiście również... A może mam córkę wunderkinda? Przecież zdarzają się wunderkindy. Jestem ojcem wunderkinda. To bardzo zaszczytne, ale kłopotliwe, i nie tyle zaszczytne, ile kłopotliwe, zresztą koniec końców wcale nie zaszczytne... A tę uliczkę zawsze lubiłem, dlatego że jest najwęższa ze wszystkich. Tak, a oto i bijatyka. Słusznie, u nas po prostu inaczej nie można. Tak było u nas od zarania dziejów. A w dodatku dwóch na jednego...

Na rogu stała latarnia. Na granicy oświetlonej przestrzeni mókł samochód z brezentową budą, a obok samochodu dwóch w błyszczących płaszczach przyginało do jezdni trzeciego - w czymś czarnym i mokrym. Wszyscy troje z wysiłkiem niezgrabnie dreptali po kocich łbach. Wiktor zatrzymał się, a następnie podszedł bliżej. Trudno było pojąć, co tu się właściwie dzieje. Do bójki niepodobne - nikt nikogo nie bije. Na zapasy dla wyładowania młodzieńczych sił tym bardziej nie wyglądało - nie słychać zawadiackich okrzyków, ani dziarskiego rechotu... Trzeci - ten w czerni - nagle wyrwał się, upadł na plecy, a dwaj w płaszczach zwalili się natychmiast na niego. I wtedy Wiktor zauważył, że drzwi samochodu były szeroko otwarte i pomyślał, że czarnego albo właśnie wyciągnięto stamtąd, albo próbują go tam wpełznąć. Podszedł bardzo blisko i zaryczał:

- Wróć!

Dwaj w płaszczach odwrócili się jednocześnie i przez kilka sekund patrzyli na Wiktora spod nasuniętych na oczy kapturów. Wiktor zauważył tylko, że obaj są młodzi, że usta mają otwarte z wysiłku, a następnie obaj z niebywałą szybkością dali nura do samochodu, silnik zawył, drzwi trzasnęły i samochód zniknął w ciemnościach. Człowiek w czerni powoli wstał i przyjrząwszy mu się Wiktor odstał do tyłu. Był to chory z leprozorium - "mokrzak" albo "okularnik" jak ich nazywano z powodu żółtych kręgów wokół oczu - w opasce z gęstego grubego materiału zasłaniającej dolną część twarzy. Oddychał ciężko, z trudem unosząc resztki brwi. Po łysej głowie spływała woda.

- Co się stało? - zapytał Wiktor.

Okularnik patrzył nie na niego, tylko w bok, oczy wyszły mu na wierzch. Wiktor chciał się odwrócić, i wtedy coś go z chrzęstem rąbnęło w kark, a kiedy oprzytomniał, stwierdził, że leży twarzą do góry pod chlustającą rynną. Woda wpadała mu do ust, była ciepława, o posmaku rdzy. Plując i kaszląc odsunął się i usiadł, opierając plecy o ceglany mur. Woda, która nagromadziła się w kapturze popłynęła teraz za kołnierz, mocząc plecy. W głowie huczały dzwony, trąbiły trąby i biły bębny. Przez tę orkiestrę Wiktor wypatrzył przed sobą chudą ciemną twarz. Znajomą. Gdzieś już go widział. Jeszcze przed tym zanim usłyszał szcęk własnych zębów... Pomacał językiem, ruszył szczęką. Zęby były w porządku. Chłopiec nabrał pod rynną wody w dłonie i chlusnął mu w oczy.

- Miły mój - powiedział Wiktor. - Wystarczy.

- Wydawało mi się, że pan jeszcze nie oprzytomniał - powiedział chłopiec z powagą.

Wiktor ostrożnie wsunął dłoń pod kaptur i pomacał kark. Tam był guz - nic strasznego, żadnych pogruchotanych kości, nawet krwi nie było.

- Kto to mnie tak? - zapytał z zadumą. - Nie ty, mam nadzieję?

- Będzie pan mógł iść sam, panie Baniew? - zapytał chłopiec. - A może kogoś zawołać?

Widzi pan, jest pan dla mnie za ciężki.

Wiktor przypomniał sobie, kto to jest.

- Znam cię - powiedział. - Ty jesteś Bol-Kunac, kolega mojej córki.

- Tak - powiedział chłopiec.

- No i bardzo dobrze. Nie trzeba nikogo wołać i nikomu o niczym mówić. Może tylko posiedźmy jeszcze chwilę i oprzytomnijmy.

Teraz zauważył, że z Bol-Kunacem też nie wszystko jest w porządku. Na jego policzku ciemniał świeży siniak, a górna warga była spuchnięta i krwawiła.

- Może jednak kogoś zawołam - powiedział Bol-Kunac.

- A czy warto?

- Widzi pan, panie Baniew, nie podoba mi się sposób w jaki drga pański policzek.

- Naprawdę? - Wiktor obmacał twarz. Policzek k nie drgał. - To ci się tylko wy daje e... Tak.

Teraz spróbujemy wstać. Co należy zrobić w tym celu? W tym celu trzeba podciągnąć nogi pod siebie... - podciągnął nogi pod siebie i nogi wydały mu się niezupełnie własne. - Następnie lekko odpychając się od ściany przenieść środek ciężkości w taki sposób... - nijak nie udawało mu się przenieść środka ciężkości, coś przeszkadzało. Czym oni mnie tak urządzili, pomyślał. I to jak sprytnie...

- Pan sobie przydeptał płaszcz - zawiadomił go chłopiec, ale Wiktor już sam uporządkował swoje ręce i nogi, swój płaszcz i swoją orkiestrę pod czaszką. Wstał. Początkowo trzeba było trzymać się trochę ściany, ale potem poszło lepiej.

- Aha - powiedział. - To znaczy, że ciągnąłeś mnie stamtąd do tej rynny. Dziękuję.

Latarnia była na miejscu, ale nie było ani samochodu, ani okularnika. Nikogo nie było. Tylko maleńki Bol-Kunac ostrożnie gładził swój siniak mokrą dłonią.

- Gdzie się oni wszyscy podzieli? - zapytał Wiktor. Chłopiec nie odpowiedział.

- Sam tu leżałem? - zapytał Wiktor. - Nikogo więcej nie było?

- Chodźmy, odprowadzę, pana - powiedział Bol-Kunac. - Dokąd pan woli iść? Do domu?

- Poczekaj - powiedział Wiktor. - Widziałeś, jak oni chcieli złapać okularnika?

- Widziałem jak on pana uderzył - odpowiedział Bol-Kunac.

- Kto?

- Nie poznałem. Stał tyłem.

- A ty gdzie byłeś?

- Widzi pan, ja leżałem tu, za rogiem...

- Nic nie rozumiem - powiedział Wiktor. - Może z moją głową jest coś nie w porządku...

Dlaczego właściwie leżałeś za rogiem? Mieszkasz tam?

- Widzi pan, leżałem ponieważ mnie ogłuszono wcześniej. Nie ten, który pana uderzył, ten drugi.

- Okularnik?

Szli powoli, starając trzymać się jezdni, żeby nie kapało z dachów.

- N - nie - odpowiedział Bol-Kunac po chwili namysłu. - Moim zdaniem żaden nie miał okularów.

- O Boże - powiedział Wiktor. Wsunął rękę pod kaptur i pomacał guza. - Mówię o tym trędowatym, nazywają ich okularnikami. No wiesz, ci z leprozorium... Mokrzaki...

- Nie wiem - powściągliwie odezwał się Bol-Kunac. - Moim zdaniem oni Wszyscy byli zupełnie zdrowi.

- No - no - powiedział Wiktor. Odczuł pewien niepokój i nawet przystanął. - Ty co, chcesz

mi wmówić, że tam nie było trędowatego? Z czarną opaską, cały na czarno...

- On wcale nie jest trędowaty! - nieoczekiwanie zapalczywie powiedział Bol-Kunac. - Jest zdrowszy od pana...

Po raz pierwszy w tym chłopcu pojawiło się coś chłopięcego i natychmiast znikło.

- Nie jest dla mnie zupełnie jasne, dokąd idziemy - powiedział po chwili milczenia poprzednim beznamiętnym i poważnym głosem. - Najpierw wydało mi się, że zmierza pan w kierunku domu, ale teraz widzę, że idziemy w przeciwną stronę.

Wiktor wciąż stał patrząc na niego z góry na dół. Jedno warte drugiego, pomyślał. Wszystko obliczył, przeanalizował i spokojnie postanowił nie informować mnie o rezultacie. I nie zamierza mi opowiedzieć, co tu się stało. Ciekawe dlaczego? Bandyci? Nie wygląda na to. A może jednak bandyci? Wiesz, czasy się zmieniają... Głupie gadanie, znam dzisiejszych bandytów...

- Wszystko się zgadza - powiedział i ruszył dalej. - Idziemy do hotelu, ja tam mieszkam.

Chłopiec, wyprostowany, mokry i surowy szedł obok. Przełamując niejaką niezręczność Wiktor położył mu rękę na ramieniu. Nic szczególnego nie zaszło - chłopiec jakoś to ścierpiął. Zresztą bardzo możliwe, że po prostu uznał, iż jego ramię okazało się przydatne w celach ściśle utylitarnych, jako oparcie dla uszkodzonego.

- Muszę ci powiedzieć - niezwykle poufnym tonem oznajmił Wiktor - że ty i Irma macie dziwny sposób prowadzenia rozmowy. My w dzieciństwie rozmawialiśmy inaczej.

- Doprawdy? - uprzejmie zapytał Bol-Kunac. - To znaczy jak?

- No, na przykład twoje pytanie brzmiałoby tak - chyba zasuwasz? Bol-Kunac wzruszył ramionami.

- Chce pan powiedzieć, że tak byłoby lepiej?

- Na Boga, nie! Chcę tylko powiedzieć, że byłoby naturalniej.

- Właśnie to co najnaturalniejsze - zauważył Bol-Kunac - najmniej przystoi człowiekowi.

Wiktor poczuł jakiś wewnętrzny chłód. I niepokój. Może nawet strach. Jakby kot parsknął mu śmiechem prosto w twarz.

- To co naturalne, zawsze jest prymitywne - ciągnął tymczasem dalej Bol-Kunac. - A człowiek jest istotą skomplikowaną, naturalność do niego nie pasuje. Pan mnie rozumie, panie Baniew?

- Tak - powiedział Wiktor. - Oczywiście.

Było coś zdumiewająco fałszywego w tym, jak po ojcowsku trzymał rękę na ramieniu tego dzieciaka, który nie był dzieckiem. Aż mu łokieć zdrętwiał. Ostrożnie cofnął rękę i wsadził ją do kieszeni.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Czternaście - odpowiedział z roztargnieniem Bol-Kunac.

- A - a...

Każdy chłopiec na miejscu Bol-Kunaca zainteresowałby się tym irytująco niejasnym a - a, ale Bol-Kunac nie był każdym chłopcem, był nie każdym. Nie interesowały go intrygujące monosylaby. Bol-Kunac rozmyślał nad relacjami między naturalnym i prymitywnym w naturze i w społeczeństwie. Żałował, że trafił mu się tak nieinteligentny rozmówca i do tego jeszcze rąbnięty w głowę.

Wyszli teraz na Aleję Prezydenta. Tu było już bardzo dużo latarni i nawet trafiali się przechodnie, pośpieszni, przygarbieni wielodniowym deszczem mężczyźni i kobiety. Były tu oświetlone wystawy sklepowe i rozjarzone neonowym blaskiem wejście do kina, gdzie pod daszkiem tłoczyli się bardzo jednakowi młodzi ludzie nieokreślonej płci w błyszczących płaszczach do kostek. A nad tym wszystkim poprzez deszcz błyskały złote i niebieskie zakłęcia Prezydent jest ojcem narodu, Legionista Wolności, to wierny syn prezydenta, Armia - nasza nieustraszona sława...

Siłą inercji wciąż jeszcze szli jezdnią i przejeżdżający samochód zatrąbiwszy gniewnie przepędził ich na chodnik i obryzgał brudną wodą.

- A ja myślałem, że masz co najmniej osiemdziesiąt lat - powiedział Wiktor.

- Chyba pan zaszuwa - wstrętym głosem zapytał Bol-Kunac i Wiktor roześmiał się z ulgą. Jednak był to zwyczajny chłopiec, zwyczajny normalny wunderkind, co to się naczytał Heibora, Zurzmansona, Fromfha i być może nawet przebrnął przez Spenglera.

- Miałem w dzieciństwie kolegę - powiedział Wiktor - który postanowił przeczytać Hegla w oryginale i nawet w końcu przeczytał, tyle że stał się schizofrenikiem. Ty, w twoim wieku, niewątpliwie wiesz, co to takiego schizofrenik.

- Tak, wiem - powiedział Bol-Kunac.

- I nie boisz się?

- Nie.

Podeszli do hotelu i Wiktor zaproponował:

- Może zajdziesz do mnie, żeby się wysuszyć?

- Dziękuję. Właśnie zamierzałem prosić o pozwolenie odwiedzenia pana. Po pierwsze, chcę panu coś jeszcze powiedzieć, a po drugie, chciałbym zadzwonić. Pozwoli pan?

Wiktor pozwolił. Weszli przez obrotowe drzwi, mijając portiera, który na widok Wiktora zdjął czapkę. Wiktor poczuł dobrze sobie znane wzburzenie, przedsmak nadchodzącego wieczoru, kiedy można będzie pić, gadać co ślina na język przyniesie i odsunąć łokciem na jutro to, co tak irytująco atakowało dzisiaj; przedsmak Jula Golema i doktora R. Kwadrygi, być może poznam jeszcze kogoś, niewykluczone że coś się wydarzy - jakaś awantura, albo narodzi się fabuła - i zamówię sobie dzisiaj minogi, niech będzie miło i przyjemnie, - a ostatnim autobusem pojedę do Diany.

Kiedy Wiktor odbierał klucze w recepcji, za jego plecami odbywała się rozmowa. Bol-Kunac rozmawiał ze szwajcarem. "Po co się tu pchasz?" - syczał portier. - "Przyszedłem porozmawiać z panem Baniewem." "Ja ci pokażę rozmowy z panem Baniewem - syczał portier. - Włóczyś się po restauracjach. ..." "Przyszedłem porozmawiać z panem Baniewem - powtarzał Bol-Kunac. - Restauracje mnie nie interesują". "Tego brakowało żeby takiego szczeniaka interesowały restauracje... A ja cię zaraz stąd wyrzucę..." Wiktor wziął klucz i odwrócił się.

- E... - powiedział. Znowu zapomniał nazwiska portiera. - Chłopak jest ze mną, wszystko w porządku.

Portier nic nie odpowiedział, minę miał niezadowoloną.

Wiktor i Bol-Kunac weszli na górę. W pokoju Wiktor z rozkoszą zrzucił płaszcz i pochylił się, żeby rozsznurować buty. Krew uderzyła mu do głowy i poczuł powolne bolesne pulsowanie w tym miejscu, gdzie znajdował się guz, ciężki i okrągły jak ołowiana kula. Natychmiast wyprostował się, oparł o futrynę i zaczął zdejmować but przytrzymując piętę czubkiem drugiego. Bol-Kunac stał obok, kapała z niego woda.

- Rozbieraj się - powiedział Wiktor. - Powieś wszystko na kaloryferze, zaraz dam ci ręcznik.

- Chciałbym zadzwonić, jeżeli pan pozwoli - odparł Bol-Kunac nie ruszając się z miejsca.

- Bardzo proszę - Wiktor ściągnął drugi but i w mokrych skarpetkach poszedł do łazienki. Rozbierając się, słyszał jak chłopiec cicho rozmawia, spokojnie i niewyraźnie. Tylko raz jasno i dobitnie powiedział "Nie wiem". Wiktor wytarł się ręcznikiem, narzucił szlafrok, wyjął czyste prześcieradło kąpielowe i wszedł do pokoju. - Masz - rzekł i od razu zorientował się, że wszystko na nic. Bol-Kunac nadal stał pod drzwiami i nadal z niego kapało. .

- Dziękuję - powiedział. - Widzi pan, muszę już iść. Chciałbym jeszcze tylko...

- Przeziębisz się - rzekł Wiktor.

- Nie, proszę się nie niepokoić, dziękuję panu. Ja się nie przeziębuję. Chciałbym tylko jeszcze omówić z panem pewien problem. Czy Irma nic nie mówiła?

Wiktor rzucił prześcieradło na kanapę, przykucnął przed barkiem, wyjął butelkę i szklankę.

- Irma mówiła mi mnóstwo rzeczy - odparł dosyć ponuro. Nalał do szklanki dżinu na wysokość palca i dolał trochę wody.

- Nie przekazała panu naszego zaproszenia?

- Nie, żadnych zaproszeń mi nie przekazywała. Masz, wypij.
- Dziękuję panu, nie trzeba. Jeśli Irma nie przekazała, to ja przekażę. Chcielibyśmy się z panem spotkać, jeśli można.

- Jacy - my?

- Gimnazjaliści. Widzi pan, czytaliśmy pańskie książki chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Hm - powiedział Wiktor z powątpiewaniem. - Jesteś pewien, że to będzie dla wszystkich interesujące?

- Myślę, że tak.

- Ale ja nie piszę dla gimnazjalistów - przypomniał Wiktor.

- To nieważne - powiedział Bol-Kunac z łagodnym uporem. - Czy pan by się zgodził?

Wiktor z zadumą pobełtał w szklance przejrzysty płyn.

- A może jednak się napijesz? - zapytał. - Najlepsze lekarstwo na przeziębienie. Nie? W takim razie sam to wypiję. - Wychylił szklanke. - Dobrze, zgadzam się. Tylko bez żadnych afiszów, ogłoszeń i tak dalej. W najważszym kręgu. Wy i ja... Kiedy?

- Kiedy panu będzie wygodnie. Niezłe byłoby w tym tygodniu. Rano.

- Powiedzmy za dwa - trzy dni. Tylko niezbyt wcześnie. Powiedzmy w piątek o jedenastej. Dobrze będzie?

- Tak. W piątek o jedenastej. W gimnazjum. Przypomnieć panu?

- Obowiązkowo - powiedział Wiktor. - O rautach, soirees i bankietach, jak również o wieczach, spotkaniach i naradach zawsze staram się zapamiętać.

- Dobrze, przypomnę panu - rzekł Bol-Kunac. - A teraz jeżeli pan pozwoli, to już pójdę. Do widzenia, panie Baniew.

- Poczekaj, odprowadzę cię - powiedział Wiktor. - Bo jeszcze ten... portier coś ci zrobi. Dzisiaj jest w wyjątkowo złym humorze, a sam wiesz jacy są portierzy...

- Dziękuję panu, ale proszę się nie niepokoić - powiedział Bol-Kunac. - To mój ojciec.

I wyszedł. Wiktor nalał sobie jeszcze raz na palec dżinu i padł na fotel. Tak, pomyślał. Biedny portier. Jak on się nazywa? Głupio, że zapomniałem, bądź co bądź jesteśmy towarzyszami w nieszczęściu, kolegami. Trzeba będzie z nim porozmawiać, wymienić doświadczenia. Na pewno ma dłuższy staż... Cóż za zdumiewająca koncentracja wunderkindów w moim zatęchłym ojcystym miasteczku. Może to skutek podwyższonej wilgotności?... Odrzucił głowę do tyłu i skrzywił się z bólu. A to drań, czym on mnie tak? Pomacał guz. Najpewniej gumową pałką. Zresztą skąd mam właściwie wiedzieć, jak skutkuje gumowa pałka. Jak działa modernistyczne krzesło w "Pieczonym Pegazie" - to wiem. Jak kolba automatu albo na przykład rękojeść pistoletu - też wiem. Butelka po szampanie i butelka z szampanem... Trzeba będzie zapytać Golema... W ogóle, to jakaś dziwna historia, dobrze byłoby się w niej zorientować... I zaczął orientować się w tej historii, żeby dogonić wpływającą na drugim planie myśl o Irmie, o konieczności zrezygnowania z czegoś, ograniczenia się w czymś tam, albo pisanie do kogoś, proszenia o coś... "Daruj stary, że zawracam ci głowę, ale nagle objawiła się moja córka, mniej więcej dwunastoletnia, bardzo sympatyczne stworzenie, ale ma matkę idiotkę i głupiego ojca a więc trzeba ją umieścić gdzieś możliwie daleko od głupich ludzi..." Nie chcę dzisiaj o tym myśleć, pomyślę o tym jutro. Spojrzał na zegarek. W ogóle dosyć tego myślenia. Starczy.

Wstał i zaczął ubierać się przed lustrem. Brzuch mi rośnie, co u diabła, skąd u mnie nagle brzuch? Taki zawsze byłem chudy i zylasty... Właściwie nawet nie brzuch - szlachetny wypracowany kałdun, skutek uregulowanego trybu życia i dobrego jedzenia - tylko brzusek jakiś parszywiutki, opozycyjny brzusek. Pan prezydent na pewno nie ma czegoś podobnego. Pan prezydent niezawodnie posiada szlachetny, opięty czymś czarnym i błyszczącym sterowiec...

Zawiązując krawat przysunął twarz do lustra i nagle pomyślał - jak też wyglądała ta pewna siebie, mocna twarz, tak uwielbiana przez kobiety określonej konduity, nieładna, lecz mężna twarz wojownika o kwadratowym podbródku, jak wyglądał a ta twarz pod koniec historycznego

spotkania. Twarz pana prezydenta, również nie pozbawiona męskości z elementami kątów prostych pod koniec historycznego spotkania przypominała mówiąc otwarcie tylko między nami, świński ryj. Pan prezydent raczył podekscytować się do najwyższego stopnia, z zębatej paszczy leciały bryzgi, a ja wyjąłem chusteczkę i demonstracyjnie wytarłem policzek i to był z pewnością najodważniejszy postępek w moim życiu, jeśli nie liczyć tamtego wypadku, kiedy walczyłem z trzema czołgami jednocześnie. - Ale jak walczyłem z czołgami - nie pamiętam, wiem tylko z opowiadań świadków, chusteczkę za to wyjąłem świadomie i dobrze wiedziałem na co się odważam... W gazetach o tym nie pisano. Gazety uczciwie i po męsku, z surową prostotą poinformowały, że "beletrysta W. Baniew szczerze podziękował panu prezydentowi za wszystkie uwagi i wyjaśnienia jakie padły w trakcie rozmowy".

Dziwne, jak dokładnie to wszystko pamiętam. Stwierdził, że zbieła mu koniec nosa i policzki. Tak właśnie wtedy wyglądałem, a nie wrzeszczeć na takiego to po prostu grzech. Przecież nie wiedział biedak, że to nie ze strachu, że błędnie ze złości, jak Ludwik XIV... Tylko raczej nie jedzmy musztardy po obiedzie. Co za różnica, od czego tam, u niego, poblądłem... Dobrze, dosyć tego. Ale po to, żeby się uspokoić, po to żeby się doprowadzić do porządku, zanim się pokażę ludziom, żeby przywrócić normalny kolor nieładnej ale męskiej twarzy, muszę panu przypomnieć, panie Baniew, że gdyby pan nie zademonstrował panu prezydentowi swojej chusteczki do nosa, to siedziałby pan opływając w dostatki w naszej dzielnej stolicy, a nie w tej mokrej dziurze... Wiktor jednym haustem dopił dzinu i zszedł do restauracji.

*

- Oczywiście, być może chuligani - powiedział Wiktor. - Tylko w moich czasach żaden chuligan nie zadzierałby z okularnikiem. Rzucić w niego kamieniem - proszę bardzo, ale łapać, gdzieś ciągnąć, w ogóle dotykać... Baliśmy się ich jak zarazy.

- Przecież powtarzam panu - to jest choroba genetyczna - powiedział Golem. - Oni w ogóle nie są zaraźliwi.

- Jak to, niezaraźliwi - powiedział Wiktor - kiedy dostaje się od nich brodawek jak od ropuch! Wszyscy o tym wiedzą.

- Od ropuchy nie dostaje się brodawek - dobrodusznie powiedział Golem. - I od mokrzaków też się nie dostaje. Wstyd, panie pisarzu. Zresztą wiadomo, że pisarze to ignoranci.

- Jak i cały naród. Naród jest ciemny, ale mądry. I jeśli naród twierdzi, że od ropuch i okularników dostaje się brodawek.

- A oto nadchodzi mój inspektor - powiedział Golem. Prosto z ulicy wszedł Pawor w mokrym płaszczu.

- Dobry wieczór - powiedział. - Cały przemokłem, chcę się napić.

- Znowu śmierdzi od niego łem - z niezadowoleniem powiedział R. Kwadryga zbudzony z alkoholowego transu. - Wiecznie śmierdzi łem. Jak w stawie. Rzęsa.

- Co panowie pijecie? - zapytał Pawor.

- Którzy? - zainteresował się Golem. - Ja na przykład jak zawsze piję koniak. Wiktor pije dzin. A doktor - wszystko po kolei.

- Hańba! - z oburzeniem powiedział doktor R. Kwadryga. - Łuska! I głowy.

- Podwójny koniak! - krzyknął Pawor do kelnera.

Twarz miał mokrą od deszczu, jego gęste włosy zlepiły się i ze skroni po ogolonych policzkach spływały błyszczące smużki. Też twarda twarz, wielu na pewno mu zazdrości. Skąd taka twarz do inspektora sanitarnego? Twarda twarz to znaczy - leje deszcz, reflektory, latają cienie po mokrych wagonach, załamują się... wszystko jest czarne, błyszczące, wyłącznie czarne i wyłącznie błyszczące, nie ma żadnych rozmów, żadnego gadania tylko rozkazy i wszyscy się podporządkowują... niekoniecznie wagony, być może samoloty, lotnisko i potem nikt nie wie, gdzie był i skąd przyszedł... dziewczyny padają na wznak, a mężczyźni mają ochotę zachować się prawdziwie po męsku - powiedzmy wyprostować ramiona i wciągnąć brzuch. Na przykład

Goleniowi przydałoby się wciągnąć brzuch, tylko raczej nie z tego, gdzie on go wciągnie, wszystko tam ma zajęte. Doktor R. Kwadryga - tak, ale za to nie rozprostuje już ramion, od bardzo wielu dni jest zgarbiony na wieki. Wieczorami zgarbiony nad stołem, rankiem nad miską, a we dnie przez chorą wątrobę. A to znaczy, że tutaj tylko ja jestem w stanie wciągnąć brzuch i rozprostować ramiona, ale lepiej golnę sobie szklaneczkę dżinu.

- Nimfoman - smutnie powiedział do Pawora doktor R. Kwadryga. - Rusalkoman. I wodorosty.

- Niech pan się zamknie, doktorze - powiedział Pawor. Wycierał twarz papierowymi serwetkami, gniótł je i rzucał na podłogę. Potem zaczął wyciekać ręce.

- Z kim się pan pobił? - zapytał Wiktor.

- Zgwałcony przez okularnika - oznajmił doktor R. Kwadryga z męką starając się rozprościć we właściwym kierunku oczy, które skupiły mu się u nasady nosa.

- Na razie jeszcze z nikim - odparł Pawor i uważnie popatrzył na doktora, ale R. Kwadryga tego nie zauważył.

Kelner przyniósł koniak: Pawor powoli wycodził kieliszek i wstał.

- Pójdę się umyć - powiedział równym głosem. - Za miastem błoto, cały się uświłem. - I odszedł, zaczepiając po drodze o krzesła.

- Coś się dzieje z moim inspektorem - powiedział Golem. Prztyknięciem zrzucił ze stołu zmiętą serwetkę. - Coś na wszechświatową skalę. Nie wie pan przypadkiem, co konkretnie?

- Pan powinien lepiej wiedzieć - odpowiedział Wiktor. - Pawor jest pańskim inspektorem a nie moim. A poza tym pan przecież wie wszystko. A propos, Golem - , skąd pan to wszystko wie?

- Nikt nic nie wie - zaprzeczył Golem. - Niektórzy się domyślają. Bardzo niewielu - tylko ci, którzy mają ochotę. Ale tak nie można postawić pytania - skąd oni się domyślają - bo to jest gwałt nad językiem. Dokąd spada deszcz? Czym wstaje słońce? Czy wybaczyłby pan Szekspirowi, gdyby napisał coś podobnego? Zresztą Szekspirowi pan by wybaczył. Szekspirowi wiele wybaczymy, co innego Baniew... Niech pan posłucha, panie beletrysto, mam pewien pomysł. Ja się napiję koniak, a pan skończy z tym dżinem. Czy może ma pan już dość?

- Golem - powiedział Wiktor - przecież pan chyba wie, że ja jestem człowiekiem z żelaza?

- Domyślam się.

- A co z tego wynika?

- Że boi się pan zardzewieć.

- Założmy - powiedział Wiktor. - Ale nie o to mi chodzi. Chodzi mi o to, że mogę pić dużo i długo nie tracąc równowagi moralnej.

- Ach, więc w tym rzecz - powiedział Golem nalewając sobie z karafki. - No dobrze, wrócimy jeszcze do tego tematu.

- Nie pamiętam - odezwał się nagle jasnym głosem doktor R. Kwadryga. - Czy się panom przedstawiłem już czy jeszcze nie? Mam honor - Rem Kwadryga, malarz, doktor honoris causa, członek honorowy. .. Ciebie pamiętam - powiedział do Wiktora. - Myśmy z tobą razem studiowali i jeszcze coś... A ;a to pana, proszę mi wybaczyć...

- Nazywam się Jul Golem - niedbale powiedział Golem.

- Bardzo mi przyjemnie. Hehbiarz?

- Nie. Lekarz.

- Chirurg?

- Jestem naczelnym lekarzem leprozorium - cierpliwie wyjaśnił Golem.

- Ach tak! - powiedział doktor R. Kwadryga potrząsając głową jak koń. - Oczywiście. Proszę mi wysłuchać Jul... Tylko dlaczego jest pan taki tajemniczy? Jaki tam z pana lekarz? Pan przecież hoduje mokrzaki... Załatwić panu odznaczenie... Tacy ludzie są nam potrzebni... Przepraszam - powiedział zniechęcony. - Zaraz wracam.

Wygrzebał się z fotela i ruszył w stronę wyjścia błędząc między pustymi stolikami. Podbiegł do niego kelner i doktor R. Kwadryga objął go za szyję.

- To wszystko przez te deszcze - powiedział Golem. - Oddychamy wodą. Ale nie jesteśmy rybami i albo umrzemy, albo odejdziemy stąd - z powagą i smutkiem popatrzył na Wiktora. - A deszcz będzie padać na puste miasto, podmywać jezdnie, kapać przez dachy, przez gnijące stropy... potem wszystko rozmyje, roztopi miasto w pierwotnej glebie, i nadal bez końca będzie wciąż padać i padać...

- Apokalipsa - powiedział Wiktor, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Tak; Apokalipsa... Będzie padać i padać, a potem ziemia przesyca się i wszędzie nowe ziarno, jakiego nigdy przedtem nie było. Ale nas już nie będzie, żeby móc zachwycać się nowym wszechświatem...

Gdyby nie te niebieskawe worki pod oczami, gdyby nie ten obwisły galaretowaty brzuch, gdyby ten wspaniały semicki nos nie był taki podobny do mapy topograficznej... Chociaż, jeśli się dobrze zastanowić, wszyscy prorocy byli alkoholikami, ponieważ to okropnie smutne - wszystko wiesz, a nikt ci nie chce uwierzyć. Gdyby w departamentach wprowadzono etaty dla proroków, to powinni mieć tytuł co najmniej tajnego radcy - dla umocnienia autorytetu. Zresztą zapewne i tak by to nic nie pomogło...

- Za systematyczny pesymizm - powiedział Wiktor na głos - prowadzący do podważenia służbowej dyscypliny i wiary w rozum, rozkazuję na przyszłość: tajnego radcę Golema ukamienować w prosektorium.

Golem coś mruknął.

- Jestem zaledwie radcą kolegiąlnym - oznajmił. - A poza tym, skąd prorocy w naszych czasach? Ja osobiście nie znam ani jednego. Mnóstwo fałszywych proroków i ani jednego proroka. W naszych czasach nie sposób przewidzieć przyszłości - to gwałt na języku. Co by pan powiedział przeczytawszy u Szekspira - przewidzieć terażniejszość? Czy można przewidzieć szafę we własnym mieszkaniu?... A oto i mój inspektor. Jak pan się czuje, inspektorze?

- Wspaniale - odpowiedział Pawor siadając. - Kelner, podwójny koniak. Tam w holu naszego malarza trzyma czterech - zawiadomił. - Wyjaśnij mu, gdzie jest wejście do restauracji. Postanowiłem się nie wtrącać, ponieważ on nikomu nie wierzy i rwie się do bicia... O jakich szafach mowa?

Był suchy, elegancki, odświeżony, pachniał wodą kolońską.

- Mówimy o przyszłości - odpowiedział Golem,

- Jaki sens ma mówienie o przyszłości? - zapytał Pawor. - O przyszłości się nie mówi, przyszłość się tworzy. Oto kieliszek koniaku. Jest pełny. Sprawię, że będzie pusty. O tak. Pewien mądry człowiek powiedział, że przyszłości nie sposób przewidzieć, ale można ją wynaleźć.

- Inny mądry człowiek powiedział - zauważył Wiktor - że przyszłości w ogóle nie ma, jest tylko terażniejszość.

- Nie lubię klasycznej filozofii - powiedział Pawor. - Ci ludzie nic nie umieli i niczego nie chcieli. Po prostu lubili filozofować jak Golem - pić. Przyszłość - to dokładnie unieszkodliwiona terażniejszość.

- Zawsze mam dziwne uczucie - powiedział Golem - kiedy w mojej obecności cywil rozumuje jak wojskowy.

- Wojskowi w ogóle nie rozumują - zaproponował Pawor. - Wojskowi mają wyłącznie odruchy i niewielkie emocje.

- Większość cywilów również - powiedział Wiktor macając kark.

- Teraz nikt nie ma czasu na rozmyślanie - powiedział Pawor. - Ani cywile, ani wojskowi. Teraz trzeba umieć szybko zakreślić się koło swoich spraw. Jeżeli interesuje cię przyszłość, musisz tworzyć ją szybko, z marszu, odpowiednio do odruchów i emocji.

- Do diabła z twórcami i wynalazcami - oświadczył Wiktor. Czuł się pijany i wesoły. Wszystko było na swoim miejscu. Nie chciało mu się nigdzie iść, chciał siedzieć tu w tej pustej przyciemnionej sali, jeszcze nie całkiem zdewastowanej, ale już z zaciekami na ścianach, z rozchwierutaną podłogą, z kuchennymi zapachami - szczególnie, jeśli pamiętać o tym, że na

zewnątrz na całym świecie pada deszcz, na kocie łby jezdni - deszcz, na strome dachy - deszcz, deszcz zalewa góry i równiny, kiedyś tam wszystko rozmyje, ale będzie to jeszcze nieprędko. Tak mili moi, jak dawno przeminęły te czasy, kiedy przyszłość była repliką teraźniejszości i teraz nie sposób się zorientować, gdzie co jest.

- Zgwałcony przez mokrzaka! - powiedział Pawor ze złośliwą satysfakcją.

W drzwiach restauracji pojawił się doktor R. Kwadryga. Stał kilka sekund, uważnym i ciężkim wzrokiem przyglądając się szeregom pustych stolików, następnie twarz mu się rozjaśniła, gwałtownie zatoczył się do przodu i ruszył na swoje miejsce.

- Dlaczego nazywa ich pan mokrzakami? - zapytał Wiktor. - Co to - zrobili się mokrzy od deszczu?

- A dlaczego nie? - powiedział Pawor. - Jak ich, pańskim zdaniem, mamy nazywać?

- Okularnikami - powiedział Wiktor. - Stara, dobra nazwa. Od stuleci nazywaliśmy ich okularnikami.

Zbliżał się doktor R. Kwadryga. Prząd ubrania miał całkiem mokry, najwidoczniej zmywano go nad umywalką. Wyglądał na człowieka rozczarowanego i zmęczonego.

- Diabli wiedzą, co to takiego - powiedział zrzędliwie jeszcze z daleka. - Nigdy dotąd coś takiego mi się nie wydarzyło - nie ma wejścia! Gdzie spojrzysz - wszędzie same okna... Obawiam się, że kazałem panom na siebie czekać. - Padł na swój fotel i ujrzał Pawora. - On tu znowu jest - zawiadomił Golema poufnym szeptem: - Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu... A ze mną, nie uwierzycie panowie, zdarzyła się zdumiewająca historia. Oblano mnie całego wodą.

Golem nalał mu koniaku.

- Dziękuję panu - powiedział R. Kwadryga - ale chyba lepiej będzie, jeżeli przepuszczę kilka kolejek. Chciałbym podeschnąć.

- W ogóle jestem zwolennikiem wszystkiego co stare i dobre - oznajmił Wiktor - Niech okularnicy pozostaną okularnikami. I w ogóle niech wszystko zostanie jak było. Jestem konserwatystą... Uwaga! - powiedział głośno. - Proponuję toast za konserwatyzm. Chwila, moment... - nalał sobie dżinu, wstał i oparł dłoń na poręczy fotela. - Jestem konserwatystą - powiedział. - I z każdym rokiem staję się konserwatywniejszy, nie dlatego że się starzeję, tylko dlatego, że odczuwam taką potrzebę...

Trzeźwy Pawor z kieliszkiem w pogotowiu patrzył na niego z dołu do góry z ostentacyjną uwagą. Golem powoli jadł minogi, a doktor R. Kwadryga, jak się wydawało, nadaremnie starał się zrozumieć, skąd dobiega głos i czy to głos. Naprawdę było bardzo przyjemnie.

- Ludzie uwielbiają krytykować rządy za konserwatyzm - ciągnął Wiktor. - Ludzie uwielbiają postęp, przepadają za postęmem. To są nowomodne pomysły, ale bardzo głupie jak wszystko, co nowe. Ludzie powinni błagać Boga, aby zesłał im możliwie najbardziej zacofaną, obskurantką i konformistyczną władzę...

Teraz również Golem podniósł wzrok i patrzył na Wiktora, i Teddy za swoim kontuarem również przestał wycierać butelki i zaczął słuchać, tylko że znowu zabolął kark i trzeba było odstawić kieliszek i pogładzić guz.

- Aparat państwowy, panowie, we wszystkich czasach za swoje podstawowe zadanie uważał zachowanie status quo. Nie wiem, o ile było to uzasadnione poprzednio, ale teraz funkcja państwa jest po prostu niezbędna. Ja bym tę funkcję określił następująco - na wszelkie możliwe sposoby przeciwdziałać temu, by przyszłość mogła zapuszczać swoje macki w nasze czasy. Trzeba odrąbywać te macki, przypalać je rozpalonym żelazem... Przeszkadzać wynalazcom, popierać scholastyków i tych co gadają od rzeczy... Do gimnazjów wprowadzić obowiązkowe i wyłącznie klasyczne przedmioty. Na najwyższe stanowiska w państwie - starców obciążonych rodzinami i zadłużonych, co najmniej sześćdziesięcioletnich, żeby brali łapówki i spali na posiedzeniach...

- Wiktorze, co też pan wygaduje - powiedział Pawor z wyrzutem.

- Nie, dlaczego - powiedział Golem. - Niezmiernie przyjemnie słuchać takiego umiarkowanego, lojalnego przemówienia.

- Jeszcze nie skończyłem, panowie! Utalentowanych uczonych należy mianować na stanowiska administracyjne i płacić im wysokie pensje. Wszystkie wynalazki bez wyjątku należy przyjmować, płacić za nie możliwie nędznie i kłaść pod sukno. Wprowadzić drakońskie podatki za każdą nowość w gospodarce i produkcji... - A właściwie dlaczego ja stoję? - pomyślał Wiktor i usiadł. - No i co pan o tym myśli? - zapytał Golema.

- Ma pan całkowitą rację - odpowiedział Golem. - Jakoś ostatnio wszyscy u nas są strasznie radykalni. Nawet dyrektor gimnazjum. Konserwatyzm - oto w czym nasz ratunek.

Wiktor łyknął dzinu i powiedział fraszliwie:

- Żadnego ratunku nie będzie. Dlatego, że ci wszyscy kretyńscy radykałowie i radykalni kretyni nie tylko wierzą w postęp, ale na domiar złego ten postęp kochają, wyobrażają sobie, że nie mogą żyć bez postępu. Dlatego, że postęp - poza wszystkim innym - to tanie samochody, użytkowa elektronika i w ogóle możliwość robić mniej, za to zarabiać więcej. I dlatego rząd jest zmuszony jedną ręką... to znaczy nie ręką, rzecz jasna... jedną nogą przyciskać na hamulec, a drugą na gaz. Jak wyścigowy kierowca na zakręcie. Na hamulec - żeby nie stracić władzy nad kierownicą, a na gaz, żeby nie stracić szybkości, bo inaczej jakiś tam demagog, entuzjasta postępu niezawodnie wypchnie z miejsca przy kierownicy.

- Trudno z panem dyskutować - uprzejmie powiedział Pawor.

- To niech pan nie dyskutuje - powiedział Wiktor. - Nie trzeba dyskutować - prawda rodzi się w dyskusji, niech ją szlag trafi. - Czule pogłaskał guz i uzupełnił. - Zresztą, pewnie moje poglądy to skutek ignorancji. Wszyscy uczeni są zwolennikami postępu, a ja nie jestem uczonym. Ja po prostu jestem dość znanym kupcem.

- A dlaczego pan przez cały czas łapie się za kark? - zapytał Pawor.

- Jakiś drań mi przyłożył - powiedział Wiktor. - Kastetem. Czy dobrze mówię, Golem? Kastetem?

- Moim zdaniem kastetem - powiedział Golem. - Zresztą może to była cegła.

- O czym wy opowiadacie? - zdziwił się Pawor. - Jakim kastetem? W tej zatęchłej dziurze?

- No widzi pan - pouczająco powiedział Wiktor. - Postęp!... Lepiej znowu wypijmy za konserwatyzm.

Wezwano kelnera i jeszcze raz wypito za konserwatyzm. Wybiła dziewiąta i na sali pojawiła się znana para - młody mężczyzna w bardzo silnych okularach i jego długi jak żerdź współtowarzysz. Usiedli przy swoim stoliku, zapalili stojącą lampę, pokornie rozejrzeli się dookoła i zaczęli studiować jadłospis. Młody mężczyzna znowu przyniósł ze sobą teczkę, teczkę postawił na wolne krzesło obok siebie. Zawsze był bardzo dobry dla swojej teczki. Podyktowali kelnerowi zamówienie, wyprostowali się i wpatrzyli w przestrzeń.

Dziwna para, pomyślał Wiktor. Zdumiewająca dysproporcja. Wyglądają jak w zepsutej lornetce - jeden w ogniskowej, wtedy drugi się rozplywa i na odwrót. Idealna niezgodność. Z młodym mężczyzną w okularach można by było porozmawiać o postępie, a z wysokim - nie... Ale ja was zaraz uzgodnię. Jakby mi was uzgodnić? No na przykład powiedzmy... Jakiś tam narodowy bank, podziemia... cement, beton, sygnalizacja... ten wysoki nabiera numer na sejfie, stalowa konstrukcja obraca się, wejście do skarbcza stoi otworem, obaj wchodzi, wysoki nabiera numer na kolejnej tarczy, odsuwają się drzwi sejfu i młody po łokieć zanurza się w brylantach.

Doktor R. Kwadryga nagle się rozplakał i złapał Wiktora za rękę.

- Nocować - powiedział. - Do mnie. Co?

Wiktor niezwłocznie nalał mu dzinu. R. Kwadryga wypił, otarł nos dłonią i kontynuował.

- Do mnie. Willa. Fontanna. Co?

- Fontanna - to nieźle pomyslane - zauważył wymijająco Wiktor. - A co jeszcze?

- Piwnica - smutnie powiedział R. Kwadryga. - Ślady. Boję się. Straszny. Sprzedam.

Chcesz?

- Lepiej podaruj - zaproponował Wiktor.

R. Kwadryga zamrugał powiekami. f

- Kiedy szkoda - powiedział.

- Kutwa - powiedział Wiktor z wyrzutem. - Taki byłeś od dziecka. Willi mu szkoda! No to się udław swoją willą.

- Ty mnie nie kochasz - gorzko skonstatował doktor R. Kwadryga. - I nikt.

- A pan prezydent? - agresywnie zapytał Wiktor.

- "Prezydent - ojciec narodu" - ożywiając się powiedział R. Kwadryga. - Szkic w złotych ramach... "Prezydent na pozycjach". Fragment obrazu "Prezydent na ostrzeliwanych pozycjach".

- I co jeszcze? - zainteresował się Wiktor.

- "Prezydent z płaszczem" - powiedział R. Kwadryga z gotowością. - Panneau. Panorama. Wiktor, znudzony, odkroił kawałek minogi i zaczął słuchać Golema.

- A więc Pawor - mówił Golem. - Niechże się pan ode mnie odczepi. Co ja jeszcze mogę zrobić? Sprawozdanie panu przedłożyłem. Pański raport gotów jestem podpisać. Chce się pań skarżyć na wojskowych - niech się pan skarży. Chce się pan skarżyć na mnie...

- Wcale nie chcę się na pana skarżyć - odpowiedział Pawor przyciskając dłoń do piersi.

- To niech się pan nie skarży.

- Ale proszę mi coś poradzić! Czy naprawdę nic mi pan nie może poradzić?

- Panowie - powiedział Wiktor. - Co za nudy. Ja już sobie idę.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Odsunął krzesło, wstał i czując, że jest już bardzo pijany, ruszył w kierunku baru. Łysy Teddy przecierał butelki i patrzył na Wiktora bez zainteresowania.

- Jak zawsze? - zapytał.

- Poczekaj - powiedział Wiktor. - O co to ja cię chciałem zapytać... Aha! Jak leci, Teddy?

- Deszcz - krótko powiedział Teddy i nalał mu czystej.

- Przekłeta pogoda zrobiła się w naszym mieście - powiedział Wiktor i oparł się o ladę. - Jak na twoim barometrze?

Teddy wsunął rękę pod ladę i wyjął "pogodnik". Wszystkie trzy ciernie ściśle przylegały do błyszczącego, jakby polakierowanego trzpienia.

- Beznadziejnie - powiedział Teddy uważnie oglądając "pogodnik". - Diabelski wymysł. - Następnie dodał po chwili namysłu. - A w ogóle, to jeden Bóg raczy wiedzieć, może on już dawno się zaciął - który to już rok pada deszcz, jak go sprawdzić?

- Można pojechać na Saharę - zaproponował Wiktor. Teddy uśmiechnął się.

- Śmieszne - powiedział. - Ten wasz pan Fawor, śmieszna sprawa, proponuj e mi za tę sztuczkę dwieście koron.

- Pewnie po pijaku - powiedział Wiktor - poco to jemu...

- Tak mu właśnie powiedziałem. - Teddy obrócił "pogodnik" i podniósł go do prawego oka.

- Nie oddam - oznajmił kategorycznie. - Niech sobie sam poszuka. - Wsunął "pogodnik" pod ladę, popatrzył jak Wiktor obraca w palcach kieliszek i zawiadomił go. - Twoja Diana przyjeżdżała.

- Dawno? - niedbale zapytał Wiktor.

- Jakoś tak około piątej. Wzięła skrzynkę koniaku; Roscheper wciąż bankietuje, nijak nie może przestać. Goni personel po koniak, nalana morda. Poseł do parlamentu... Ty się o nią nie boisz?

Wiktor wzruszył ramionami. Nagle zobaczył Dianę obok siebie. Pojawiła się przy barze w mokrym płaszczu deszczowym z odrzuconym kapturem, nie patrzyła w stronę Wiktora, widział tylko jej profil i myślał, że ze wszystkich kobiet, które znał do tej pory, ta jest najpiękniejsza i że już nigdy więcej nie będzie takiej miał. Diana stała oparta o ladę baru i twarz miała bardzo bladą i bardzo obojętną i była najpiękniejsza - wszystko w niej było piękne. Zawsze. I kiedy płakała, i kiedy się śmiała, kiedy się złościła, kiedy było jej wszystko jedno, i nawet wtedy, kiedy marzła a już szczególnie - kiedy na nią nachodziło... Ale się zalałem, pomyślał Wiktor i pewnie jedzie ode mnie co najmniej jak od R. Kwadrygi. Wydał dolną wargę i chuchnął sobie pod nos. Nic nie poczuł.

- Drogi są mokre, śliskie - mówił Teddy. - Mgła... A poza tym powiadam ci, ten Roscheper

- to na pewno dziwkarz, stary cap.

- Roscheper jest impotentem - powiedział Wiktor nTachinalnie przełykając wódkę.

- Ona ci tak powiedziała?

- Przestań Teddy - powiedział Wiktor. - Odczep się.

Teddy popatrzył na niego uważnie, potem westchnął, odchrząknął, przysiadł na piętach, poszukał czegoś pod ladą i postawił przed Wiktorem buteleczkę z amoniakiem i napoczętą paczkę herbaty. Wiktor spojrział na zegarek a potem przyglądał się, jak Teddy niespiesznie bierze czystą szklanę, nalewa do niej sodowej, wpuszcza kilka kropli z buteleczki, wciąż równie niespiesznie miesza szklaną pałeczką. Potem podsunął szklanę Wiktorowi. Wiktor wypił, powstrzymał oddech i skrzywił się. Ostro obrzydliwy i obrzydliwie ostry powiew amoniaku uderzył w mózg i rozlał się gdzieś za gałkami oczu. Wiktor wciągnął nosem powietrze, które nagle stało się zimne nie do zniesienia i zanurzył palce w paczce z herbatą...

- Dobra, Teddy - powiedział. - Dziękuję. Zapisz na mój rachunek co tam trzeba. Tamci powiedzą co trzeba. Idę.

Starannie przeżuując listki herbaty wrócił do swojego stolika. Młody mężczyzna w okularach ze swoim długim współtowarzyszem spiesznie pochłaniali kolację. Stała przed nimi jedna jedyna butelka - z miejscową wodą mineralną. Pawor i Golem zrobili sobie wolne miejsce na obrusie i grali w kości, a doktor R. Kwadryga objął rozczochraną głowę rękami i monotonicznie mamrotał: "Legia Wolności opoką prezydenta". Mozaika... "W szczęśliwym dniu imienin waszej ekscelencji"..., "Prezydent - ojcem naszych dzieci". Portret - alegoria...

- Idę - powiedział Wiktor.

- Szkoda - powiedział Golem. - Ale życzę szczęścia.

- Pozdrowienia dla Roschepera - powiedział Pawor puszcżając perskie oko.

- "Poseł do parlamentu Roscheper Nant" - ożywił się R. Kwadryga. - Portret. Niedrogo. Do pasa. Wiktor wziął swoją zapalniczkę, paczkę papierosów i poszedł do wyjścia. Za jego plecami doktor R.

Kwadryga jasnym głosem, oświadczył: "Uważam panowie że czas, abyśmy się poznali. Jestem Rem Kwadryga doktor honoris causa, ale na przykład pana sobie nie przypominam..." W drzwiach Wiktor zderzył się z grubym trenerem drużyny piłki nożnej "Bracia w sapiencji". Trener był bardzo zatroskany, bardzo mokry i szedł Wiktorowi z drogi.

*

Autobus zatrzymał się i kierowca powiedział:

- Jesteśmy na miejscu

- Sanatorium? - zapytał Wiktor. Na zewnątrz była mgła, gęsta jak mleko. Pochłaniała światło reflektorów i nic nie było widać.

- Sanatorium, sanatorium - wymruczał kierowca zapalając papierosa. Wiktor podszedł pod drzwi i schodząc ze stopnia powiedział.

- Co za mgła! Nić nie widzę.

- Poradzi pan sobie - obojętnie obiecał kierowca i splunął przez okno. - Też sobie znaleźli miejsce na sanatorium. W dzień - mgła, wieczorem - mgła. . .

- Szczęśliwej drogi - powiedział Wiktor.

Kierowca nie odpowiedział. Silnik zawył i olbrzymi pusty autobus, cały przeszklony, oświetlony od środka jak zamknięty na noc supermarket, zawrócił, od razu przemienił się w plamę mętnego światła i odjechał z powrotem do miasta. Wiktor z trudem przesuwając dłońmi po siatce ogrodzenia znalazł bramę i na oślep ruszył aleją. Teraz, kiedy jego oczy przywykły do ciemności, niezbyt wyraźnie widział przed sobą oświetlone okna prawego skrzydła i jakąś szczególnie głęboką ciemność na miejscu lewego, gdzie spali teraz utrudzeni całym dniem na deszczu "Bracia w sapiencji". We mgle, jakby przez watę, przenikały normalne dźwięki - grał adapter, brzęczały

naczynia, ktoś ochryple wrzeszczał. Wiktor szedł, starając się trzymać środka piaszczystej alejki, żeby nie wpaść na jakąś gipsową wazę. Butelkę z dzinem troskliwie tulił do piersi i był bardzo ostrożny, niemniej jednak potknął się o coś miękkiego i parę kroków przespacerował się na czworakach. Za plecami ktoś ospale i sennie zaklął, że niby należałoby poświecić. Wiktor wymacał w mroku upuszczoną butelkę, znowu przytulił ją do piersi i poszedł dalej wystawiając przed siebie wolną rękę... Po chwili zderzył się z samochodem, po omacku ominął go i wpadł na następny. Do diabła, tu jest całe stado samochodów. Wiktor przeklinając błąkał się wśród nich jak w labiryncie i długo nie mógł dotrzeć do niewyraźnych świateł oznaczających wejście do budynku. Gładkie boki samochodów były wilgotne od skroplonej mgły. Gdzieś obok ktoś chichotał i próbował się wyrwać.

Tym razem w westybulu było pusto, nikt trzęsąc tłustym zadem nie bawił się w chowanego, ani w komórki do wynajęcia, nikt nie spał w fotelach. Wszędzie poniewierały się stłamszone płaszcze, a jakiś dowcipniś powiesił kapelusz na fikusie. Wiktor czerwonym chodnikiem wszedł na pierwsze piętro. Grzmiała muzyka. Po prawej stronie korytarza wszystkie drzwi do apartamentów posła do parlamentu były otwarte, dolatywały stamtąd tłuste zapachy jedzenia, - papierosów i zgrzanych ciał. Wiktor skreślił w lewo, zapukał do pokoju Diany. Nikt się nie odezwał. Drzwi były zamknięte, klucz tkwił w zamku. Wiktor wszedł, zapalił światło i postawił butelkę na stoliku obok telefonu. Usłyszał czyjeś kroki, wyjrzał więc na korytarz. Długim i pewnym krokiem oddalał się rosły mężczyzna w czarnym, wieczorowym garniturze. Na podeście zatrzymał się przed lustrem, uniósł głowę i poprawił krawat (Wiktor zdążył zauważyć smagły, orli profil i ostry podbródek), a potem zaszła w nim jakaś zmiana - przygarbił się - jakby przekrzywił na bok i obrzydliwie kręcąc biodrami znikł w jakichś otwartych drzwiach. Chłystek, niepewnie pomyślał Wiktor. Puszczając gdzieś pawia... Spojrzał w lewo. Tam było ciemno.

Zdjął płaszcz, zamknął pokój i poszedł szukać Diany. Trzeba będzie zajrzeć do Roschepera, pomyślał. Bo gdzie jeszcze ona może być?

Roscheper zajmował trzy sale. W pierwszej j, niedawno odbywało się żarcie. Na stołach przykrytych za - świniowymi obrusami walały się brudne talerze, popielniczki, butelki, pomięte serwetki i nikogo nie było, jeśli nie liczyć samotnej, spoconej łysiny chrapiącej w półmisku z galareta.

Sąsiednia sala była tak zadymiona, że można było powiesić siekierę. Na gigantycznym łożu Roschepera skakały półnagie nietutejsze panienki. Grały w jakąś dziwną grę z apoplektycznie purpurowym panem burmistrzem, który rył w nich jak świnia w żołądźkach i również skakał chrząkając ze szczęścia. Byli także obecni: pan policmajster bez płaszcza, pan sędzia grodzki, któremu oczy wyłaziły z orbit na skutek nerwowej zadyszki i jakaś nieznajoma, ruchliwa osobistość w liliowych barwach. Ta trójka z zapalem grała w dziecinny bilard stojący na toalecie, a w kącie, oparty o ścianę, siedział szeroko rozstawiwszy nogi, przeobleczony w utyłany galowy mundur, dyrektor gimnazjum z kretyńskim uśmiechem na wargach. Wiktor zamierzał już odejść, kiedy ktoś złapał go za nogawkę spodni. Spojrzał w dół i odskoczył. Pod nim stał na czworakach poseł do parlamentu, kawaler orderów, autor słynnego projektu zarybienia Kitchiganskich zbiorników wodnych Roscheper Nant.

- Chcę się bawić w koniki - prosząco zabeczał Roscheper. - Baw się ze mną w koniki! I - ha! - najwyraźniej był niepoczytalny.

Wiktor delikatnie się uwolnił i zajrzał do ostatniej sali. I tam zobaczył Dianę. W pierwszej chwili nie zrozumiał, że to Diana, a potem kwaśno pomyślał: bardzo przyjemnie! Było tu pełno ludzi, jacyś pobieżnie znajomi mężczyźni i kobiety, wszyscy stali kołem i klaskali w dłonie, a w środku koła tańczyła Diana z tym właśnie żółtym chłystkiem, właścicielem orlego profilu. Oczy jej płonęły, płonęły policzki, włosy powiewały nad ramionami i nawet diabeł nie był jej straszny. Orli profil bardzo starał się być na poziomie, dorównać.

Dziwne, pomyślał Wiktor. O co chodzi?... Coś tu było nie tak. Tańczy dobrze, no, po prostu wspaniale tańczy. Jak nauczyciel tańca. Nie tańczy, ale pokazuje jak należy tańczyć... Nawet nie

jak nauczyciel, tylko jak uczeń na egzaminie. Strasznie zależy mu na piątce... Nie, nie to. Słuchaj kochany, przecież ty tańczysz z Dianą! Czy tego nie widzisz? Wiktor jak zwykle uruchomił wyobraźnię. Aktor tańczy na scenie, wszystko dobrze, wszystko pięknie, wszystko idzie jak należy, nikt się nie sypie, a w domu nieszczęście... nie, wcale niekoniecznie nieszczęście, zwyczajnie czekają na jego powrót, a on również czeka, kiedy spadnie kurtyna i zgasną światła... i nawet wcale nie aktor, tylko postronny człowiek udający aktora, który sam gra już bardzo postronnego człowieka... Czyżby Diana tego nie czuła? Przecież to fałsz. Manekin. Ani, odrobiny bliskości, ani krzty pokusy, ani cienia pożądania... Coś do siebie mówią i nie sposób zrozumieć - co. Nie spociał się pan? Tak, czytałem i to nawet dwa razy... I wtedy zobaczył, że Diana biegnie do niego roztrącając gości. - Chodź tańczyć! - krzyczała z daleka.

Ktoś zagroził jej drogę, ktoś złapał za rękaw, wyrwała się śmiejąc, a Wiktor wciąż szukał oczami żółtoskórego, nie mógł znaleźć i czuł nieprzyjemny niepokój.

Diana podbiegła do niego, schwyciła za rękaw i wciągnęła w koło.

- Chodź, chodź! Tu są sami swoi - pijaczyny, łajdaczyny, sukinsyny... Pokaż im jak się to robi! Ten smarkacz nic nie potrafi...

Wciągnęła go do środka, ktoś w tłumie wrzasnął "Niech żyje pisarz Baniew!". Adapter, który zamilkł na chwilę, znowu zagrzmiął i zaszczekał, Diana przywarła do Wiktora, potem odskoczyła, pachniało od niej perfumami i winem, była cała rozpalona i Wiktor nic już teraz nie widział - oprócz jej ożywionej prześlicznej twarzy i rozwianych włosów.

- Tańcz! - krzyknęła i zaczęła tańczyć. - Zuch jesteś, że przyjechałeś.

- Tak. Tak.

- Po co jesteś trzeźwy? Zawsze jesteś trzeźwy, kiedy nie trzeba.

- Jeszcze będę pijany.

- Dzisiaj jesteś mi potrzebny pijany.

- Będę.

- Żeby robić z tobą, co będę chciała. Nie ty ze mną, tylko ja z tobą.

- Tak.

Śmiała się zadowolona i oboje tańczyli w milczeniu nic nie widząc i o niczym nie myśląc. Jak we śnie, jak w czasie bitwy. Taka ona teraz była - jak sen, jak bitwa. Diana Na Którą Naszło... Dookoła klaskali w dłonie, coś pokrzykiwali, jeszcze ktoś próbował tańczyć, Wiktor odepchnął go, żeby nie przeszkadzał, a Roscheper przeciągle krzyczał "O mój biedny, pijany ludu!"

- On jest impotentem?

- Ja myślę. Przecież go kapię.

- No i jak?

- Absolutnie.

- O mój biedny, pijany ludu! - jęczał Roscheper. - Chodźmy stąd - powiedział Wiktor.

Wziął ją za rękę i poprowadził. Pijaczyny i sukinsyny rozstępowali się przed nimi śmierząc czosnkiem i spirytusem, a w drzwiach zagroził im drogę wielkousty młokos o rumianych policzkach, powiedział coś chamskiego, świerzbiły go pięści, ale Wiktor powiedział mu "Później, później" i młokos znikł. Trzymając się za ręce przebiegli pustym korytarzem, następnie Wiktor nie wypuszczając jej ręki otworzył drzwi, nie wypuszczając jej ręki zamknął drzwi od środka i było gorąco, zrobiło się gorąco nie do wytrzymania, duszno i pokój na początku był wielki i przestronny, a potem stał się wąski i ciasny, wtedy Wiktor wstał i otworzył okno, czarne wilgotne powietrze obmyło jego pierś i ramiona. Wrócił do łóżka, namacał w ciemnościach butelkę z dzinem, napił się i oddał ją Dianie. Potem się położył i znowu z lewej płynęło zimne powietrze, a z prawej było gorące, jedwabiste i czułe. Teraz słyszał, że pijaństwo trwa nadal - goście śpiewali chórem.

- To na długo? - zapytał.

- Co? - zapytała sennie Diana.

- Długo oni będą wyć?

- Nie wiem. Co nas to obchodzi? - odwróciła się na bok i przytuliła policzek do jego ramienia. - Zimno - poskarżyła się.

Pokręcili się wążąc pod kołdrę.

- Nie śpij - powiedział Wiktor.

- Aha - wymamrotała Diana.

- Dobrze ci?

- Aha.

- A jeśli za ucho?

- Aha... przestań, boli.

- Słuchaj, może mógłbym pomieszkać tu przez tydzień?

- Mógłbyś.

- A gdzie?

- Teraz chcę spać. Daj pospać biednej, pijanej kobiecie.

Wiktor zamilkł i leżał bez ruchu. Diana już spała. Właśnie tak zrobić, pomyślał. Tu będzie dobrze i spokojnie. Tylko nie wieczorem. A może i wieczorem. Nie będzie chyba chlał przez wszystkie wieczory, przecież musi się leczyć... Pobędę tu ze trzy, cztery dni... pięć, sześć... i trzeba mniej pić, wcale nie pić i popracować... bardzo dawno nie pracowałem... Żeby zacząć pracować, trzeba zdrowo się wynudzić, żeby już na nic poza tym nie - mieć ochoty... Drgnął, zasypiając. A w sprawie Armii... W sprawie Armii napiszę do Roc-Tusowa, oto co zrobię. Żeby tylko Roc-Tusow nie stchórzył, to tchórz. Jest mi winien dziewięćset koron... Kiedy mowa o panu prezydencie, wszystko to nie ma znaczenia, wszyscy stajemy się tchórzami. Dlaczego tak się boimy? Czego właściwie się boimy? Boimy się zmian. Nie będzie można iść do knajpy dla pisarzy, żeby golnąć kielicha... portier przestanie się kłaniać... w ogóle nie będzie portiera, sam będziesz portierem. Kiepsko, jeśli do kopalni... to rzeczywiście kiepsko... Ale tak bywa bardzo rzadko, nie te czasy... obyczaje złagodniały... Sto razy o tym myślałem i sto razy dochodziłem do wniosku, że nie ma się czego bać, a wszystko jedno się boje. Dlatego, że to chamska siła, pomyślał. To bardzo straszne, jeśli przeciwko tobie jest bezmyślna, świńska, szczeciniasta siła nie poddająca się niczemu, ani logice, ani emocjom... I Diana nie będzie...

Zdrzemnął się i znowu się obudził, dlatego że pod otwartym oknem jacyś głośno rozmawiali i rzeli niczym zwierzęta. Zatrzeszczały krzaki.

- Nie mogę ich sadzać - powiedział pijany głos policmajstra - nie ma takiego prawa...

- Będzie - powiedział głos Roschepera. - Jestem posłem, czy nie?

- A czy jest takie prawo, żeby tuż za miastem - rozsadnik zarazy? - zaryczał burmistrz.

- Będzie! - z uporem powiedział Roscheper.

- Oni nie są zaraźliwi - zabeczał falsetem dyrektor gimnazjum. - Mam na myśli, że w sensie medycznym...

- Ej, gimnazjum - powiedział Roscheper - nie zapomnij sobie rozpiąć.

- A czy jest takie prawo, żeby rujnować uczciwych ludzi? - ryknął burmistrz. - Żeby rujnować, jest takie prawo?

- A ja ci mówię, że będzie! - powiedział Roscheper. - Jestem posłem, czy nie? Czym by tu w nich rzucić? - pomyślał Wiktor.

- Roscheper! - powiedział policmajster. - Jesteś moim przyjacielem? Ja cię, draniu, na rękach nosiłem. Ja cię, draniu, wybierałem. A teraz te zarazy łażą po mieście, a ja nic nie mogę. Prawa takiego nie ma, rozumiesz?

- Będzie - powiedział Roscheper. - Ja ci mówię, że będzie. W związku z zatruciem atmosfery...

- Moralnej! - wtrącił dyrektor gimnazjum - moralnej i etycznej.

- Co?... W związku mówię... z zatruciem atmosfery i z powodu niedostatecznego obrybienia przylegających zbiorników wodnych... zarazę zlikwidować i zorganizować w odległym miejscu. Tak będzie dobrze?

- Niechże cię ucałuję - powiedział policmajster.
- Zuch - powiedział burmistrz. - Masz łeb. Toijacię...
- Drobnostka - powiedział Roscheper. - Dłannie to głupstwo... Zaśpiewamy? Nie, nie mam ochoty. Chodźmy, wypijemy jeszcze po kielonku.
- Słusznie. Po kielonku - i do domu.

Znowu zaszeleściły krzaki, Roscheper powiedział już gdzieś daleko "Ej, gimnazjum zapomniałeś sobie zapiąć!" i pod oknem zapadła cisza. Wiktor znowu zadrzemał, obejrzał jakiś nieznaczący sen, a potem zadzwonił dzwonek telefonu.

- Tak - powiedziała ochryple Diana. - Tak, to ja... - odkaszlnęła. - To nic, nic, słucham...
Wszystko dobrze, moim zdaniem był zadowolony... Co?

Rozmawiała leżąc w poprzek klatki piersiowej Wiktora i nagle poczuł jak stężało jej ciało.

- Dziwne - powiedziała. - Dobrze, zaraz zobaczę... Tak... Dobrze, powiem mu. Odłożyła słuchawkę, przelazła przez Wiktora i zapaliła nocną lampkę.

- Co się stało? - sennie zapytał Wiktor.

- Nic. Śpij, ja zaraz wrócę.

Przez przymrużone powieki patrzył, jak zbiera rozrzuconą bieliznę i jej twarz była taka poważna, że się zaniepokoił. Szybko ubrała się i wyszła, po drodze już obciągając sukienkę. Roscheper zasnął, pomyślał nasłuchując. Zachlał się, stary baran. W ogromnym budynku było cicho i Wiktor wyraźnie słyszał kroki Diany na korytarzu, ale poszła nie na prawo jak oczekiwał, tylko na lewo. Potem skrzypnęły drzwi i kroki ucichły. Odwrócił się na bok i spróbował z powrotem zasnąć, ale sen nie przychodził. Zrozumiał, że czeka na Dianę i nie zaśnie, póki ona nie wróci. Usiadł i zapalił. Guz na karku znowu zaczął pulsować i Wiktor się skrzywił. Diana nie wracała. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie tancerza z orlim profilem. A ten co maż tym wspólnego? - pomyślał Wiktor. Artysta, który gra innego artystę, który gra trzeciego. Aha, więc to o to chodzi, tamten wyszedł właśnie z lewej strony, stamtąd dokąd poszła Diana. Doszedł do podestu i przeistoczył się w chłystka. Najpierw grał lwa salonowego, a potem zaczął grać nonszalanckiego dandysa... Wiktor znowu zaczął nadśluchować. Zdumiewająco cicho, wszyscy śpią... ktoś chrapie... Potem znowu skrzypnęły drzwi i zaczęły zbliżać się kroki. Weszła Diana i twarz miała nadal bardzo poważną. Nic się nie skończyło, przeciwnie. Diana podeszła do telefonu i wykręciła numer.

- Nie ma go - powiedziała. - Nie, nie, wyszedł... Ja też... - Nic nie szkodzi, co też pan. Dobrej nocy.

Odłożyła słuchawkę, chwilę stała patrząc w ciemność za oknem a potem usiadła na łóżku obok Wiktora. W rękę trzymała okrągłą latarkę. Wiktor zapalił papierosa i podał jej. Paliła w milczeniu myśląc o czymś ze skupieniem, a potem zapytała.

- Kiedy zasnąłeś?

- Nie wiem, trudno powiedzieć.

- Ale już pomnie?

- Tak.

Odwróciła się do niego.

- Nic nie słyszałeś? Jakiejś awantury, bójki?

- Nie - powiedział Wiktor. - Moim zdaniem wszystko było bardzo spokojnie. Najpierw śpiewali, potem Roscheper z kumplami odlewał się pod naszym oknem, a potem zasnąłem. Zresztą zamierzali już jechać do domów.

Diana wyrzuciła papierosa za okno i wstała.

- Ubieraj się - powiedziała.

Wiktor uśmiechnął się i wyciągnął rękę po slipy. Słucham i jestem posłuszny, pomyślał. To świetna rzecz - posłuszeństwo. Tylko nie trzeba o nic pytać. Zapytał:

- Pojedziemy, czy pójdziemy?

- Co... Najpierw pójdziemy, a potem się zobaczy.

- Ktoś zginął?
- Zdaje się.
- Roscheper?

Nagle poczuł na sobie jej spojrzenie. Patrzyła na niego z powątpiewaniem. Trochę już żałowała, że zabiera go ze sobą. Pytała siebie - a kto to właściwie taki, żeby go ze sobą zabierać?

- Jestem gotów - powiedział Wiktor.

Ciągle jeszcze nie była pewna; w zadumie bawiła się latarką.

- No dobra... w takim razie chodźmy - powiedziała, nie ruszając się z miejsca.

- Może oderwać nogę od krzesła? - zaproponował Wiktor - albo powiedzmy od łóżka...

Diana ocknęła się.

- Nie. Noga jest do niczego. - Wysunęła szufladę biurka i wyjęła ogromny, czarny pistolet.

- Masz - powiedziała. .

Wiktor w pierwszej chwili przeraził się, ale okazało się, że to małowalibrowy sportowy pistolet i do tego bez magazynka.

- Daj mi naboje - powiedział.

Popatrzyła na niego nic nie rozumiejąc, potem spojrzała na pistolet i powiedziała.

- Nie. Naboje nie będą ci potrzebne. Idziemy.

Wiktor wzruszył ramionami i wsunął pistolet do kieszeni. Zeszli do westybulu i wyszli przed dom. Mgła rzędła, siąpił wątyły deszczyk. Samochodów przed domem nie było. Diana skręciła w alejkę między krzakami i zaświeciła latarką. Idiotyczna sytuacja, pomyślał Wiktor. Okropnie chciałbym zapytać, o co chodzi, a zapytać nie wolno. Dobrze byłoby wymyśleć jak zapytać. Jakoś tak podchwytliwie. Nie zapytać - tylko ot tak sobie rzucić uwagę z pytaniem w podtekście. Może trzeba będzie się bić? Nie chce mi się. Dzisiaj mi się nie chce. Walnę kolbą. Od razu między oczy... a jak tam mój guz? Guz był na miejscu i poboлеваł. Dziwne jednakże są obowiązki siostry miłosierdzia w tym sanatorium... A przecież zawsze uważałem, że Diana to kobieta tajemnicza. Od pierwszego spojrzenia i przez wszystkie pięć dni... Co za wilgoć, trzeba było sobie golnąć przed wyjściem. Jak tylko wrócę, zaraz sobie golnę..“Dobry jestem, pomyślał. Żadnych pytań. Słucham i jestem posłuszny.

Obeszli skrzydło budynku, przedarli się przez krzaki bzu i znaleźli się przed ogrodzeniem. Diana poświeciła. Jednego żelaznego pręta w ogrodzeniu brakowało.

- Wiktor - powiedziała niegłośnie Diana. - Teraz pójdziemy ścieżką. Ty będziesz szedł z tyłu. Patrz pod nogi i ani kroku na bok. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - pokornie powiedział Wiktor. - Krok w lewo, krok w prawo - strzelam.

Diana przelazła pierwsza i poświeciła Wiktorowi. Potem bardzo wolno szli pod górę. To było wschodnie zbocze wzgórza, na którym stało sanatorium. Wokół szumiały pod deszczem niewidzialne drzewa. Raz Diana się poślizgnęła i Wiktor ledwie zdążył złapać ją za ramiona. Niecierpliwie wyrwała się i szła dalej. Co chwila powtarzała: “Patrz pod nogi... Trzymaj się za mną”. Wiktor posłusznie patrzył w dół na nogi Diany migające w niepewnym, jasnym kręgu. Początkowo wciąż oczekiwał ciosu w potylicę, prosto w guz, albo czegoś w tym rodzaju, ale potem zdecydował - raczej nie. Nic do niczego nie pasowało. Po prostu, najpewniej zwiął jakiś świr - na przykład Roscheper dostał delirium tremens i trzeba go będzie doprowadzić z powrotem, terroryzując nie nabitym pistoletem...

Diana nagle przystanęła i coś powiedziała, ale jej słowa nie dotarły do świadomości Wiktora, ponieważ nieomal w tej samej sekundzie zobaczył obok ścieżki czyjeś błyszczące oczy, nieruchome, ogromne, patrzące uważnie spod mokrego, wypukłego czoła - tylko czoło i oczy, i nic więcej, ani warg, ani nosa, ani ciała - nic. Wilgotna mokra ciemność i w kręgu światła - błyszczące oczy i nienaturalnie białe czoło.

- Ścierwa - powiedziała Diana ściśniętym głosem. - Wiedziała. Zezwierzęcone ścierwa.

Padła na kolana, promień latarki ześlizgnął się wzdłuż czarnego ciała i Wiktor zobaczył jakieś lśniące półkoliste żelazo, łańcuch w trawie, a Diana rozkazała “Szybciej Wiktor”, a on

przysiadł obok niej na pięty i dopiero wtedy zrozumiał, że to potrzask, a w potrzasku - noga człowieka. Oburącz wczepił się w żelazne szczęki, spróbował rozerwać je, poddały się ledwie, ledwie i znowu zatrzęsnęły. "Idiota! - krzyknęła Diana. - Pistoletem!" Zaciśnął zęby, złapał wygodniej, napiął mięsły tak, że zachrzącało i szczęki się rozwarły. "Wyciągaj" - powiedział ochryple. Noga znikła, żelazne półkola znowu się zwały i zaciśnęły mu palce. "Potrzymaj latarkę" - powiedziała Diana. "Nie mogę - odpowiedział. - Złapałem się. Wyjmij z kieszeni pistolet..." Diana zakłęła, wsadziła mu rękę do kieszeni. Wiktor znowu otworzył potrzask, Diana wstawiła kolbę pistoletu między szczęki i wtedy się uwolnił.

- Potrzymaj latarkę - powtórzyła Diana - a ja zobaczę co z nogą.

- Kość jest zgruchotana - powiedział z ciemności napięty głos. - Zanieście mnie do sanatorium i wezwijcie samochód.

- Słusznie - powiedziała Diana. - Wiktor, daj mi latarkę i podnieś go.

Poświeciła. Człowiek siedział na tym samym miejscu oparty o pień drzewa. Dolną połowę jego twarzy zasłaniała czarna przepaska. Okularnik, pomyślał Wiktor. Mokrzak. Skąd on się tutaj wziął?

- Bierz go - niecierpliwie powiedziała Diana. - Na plecy.

- Zaraz - odpowiedział. Przypomnił sobie żółte kręgi wokół oczu. Żołądek podszedł mu do gardła. - Zaraz... - przysiadł obok mokrzaka i odwrócił się do niego plecami - proszę mnie objąć za szyję - powiedział.

Mokrzak okazał się chudy i lekki. Nie ruszał się i nawet można było sądzić, że nie oddycha. Nie jęczał, kiedy Wiktor się poślizgnął, ale za każdym razem jego ciałem wstrząsał skurcz. Ścieżka była znacznie bardziej stroma niż Wiktor przypuszczał i kiedy dotarli do ogrodzenia był nieźle zasapany. Trudno było przecisnąć mokrzaka przez dziurę w ogrodzeniu, ale ostatecznie i z tym dali sobie radę.

- Dokąd go teraz? - zapytał Wiktor, kiedy podeszli do wejścia.

- Na razie do holu - odpowiedziała Diana.

- Nie trzeba - tym samym pełnym wysiłku głosem powiedział mokrzak. - Zostawcie mnie tutaj.

- Przecież pada deszcz - zdziwił się Wiktor.

- Niech pan tyle nie gada - powiedział mokrzak. - Zostaję tutaj.

Wiktor zmilczał i zaczął wchodzić po stopniach.

- Zostaw go - po wiedział a Diana. Wiktor zatrzymał się.

- Co do diabła - powiedział - przecież pada deszcz.

- Niech pan się nie wygłupia - powiedział mokrzak. - Proszę mnie... zostawić tu... Wiktor bez słowa, przeskakując przez trzy stopnie, podszedł do drzwi i wszedł do holu.

- Kretyn - cicho powiedział mokrzak i głowa opadła mu na ramię Wiktora.

- Bałwan - powiedziała Diana doganiając Wiktora i łapiąc go za rękaw. - Zabijesz go, idioto! Natychmiast wynieś go i połóż na deszczu! Natychmiast, słyszysz? No, czego stoisz? .

- Wszyscyście tu powariowali - z gniewnym zdumieniem powiedział Wiktor.

Zawrócił, kopnął drzwi nogą i wyszedł przed dom. Deszcz jakby tylko na to czekał. Dopiero co siąpił leniwie, a teraz nagle lunął jak z cebra. Mokrzak jęknął cichutko, podniósł głowę i nagle zaczął szybko,

szybko oddychać jak po biegu. Wiktor wciąż jeszcze zwlekał, instynktownie rozglądając się w poszukiwaniu jakiejś osłony.

- Niech mnie pan położy - powiedział mokrzak.

- W kałużę? - gorzko i jadowniczo zapytał Wiktor.

- To bez znaczenia... niech pan kładzie.

Wiktor ostrożnie położył go na ceramiczne kafelki przed wejściem, a mokrzak od razu wyciągnął się i rozkrzyżował ręce. Jego prawa noga była nienaturalnie wykręcona, ogonfne czoło w świetle nocnej lampy wydawało się sinawobiałe. Wiktor usiadł obok na schodku. Miał ogromną

ochotę wrócić do holu, ale to było niemożliwe - zostawić rannego na deszczu, a Samemu schronić się w ciepłe. Ile razy nazwano mnie dzisiaj głupcem? - pomyślał, ocierając twarz dłonią. Oj. dużo razy. I zdaje się, jest w tym trochę prawdy, ponieważ głupiec, czyli bałwan, a także kretyn i tak dalej, to ignorant upierający się przy swojej ignorancji. A przecież, jak Boga kocham, jest mu lepiej na deszczu! Nawet oczy otworzył i wcale nie są takie straszne... Mokrzak, pomyślał. Tak, właściwie raczej mokrzak niż okularnik. Ale jak też trafił w ten potrzask? Spotykam dzisiaj drugiego mokrzaka i obaj mają kłopoty. Oni mają kłopoty, i ja mam przez nich kłopoty...

W holu Diana rozmawiała przez telefon. Wiktor przysłuchiwał się:

- Noga!... Tak, zgruchotane kości... Dobrze... W porządku... Jak najszybciej, czekamy.

Przez szklane drzwi Wiktor zobaczył, że odwiesiła słuchawkę i pobiegła schodami na górę. Zaczęły się jakieś nieprzyjemności z mokrzakami w naszym mieście. Coś się wokół nich dzieje. Jakby nagle zaczęli wszystkim przeszkadzać, nawet dyrektorowi gimnazjum. Nawet Loli, przypomniał sobie nagle. Zdaje się, że też coś o nich wspomniała... Spojrzał na mokrzaka. Mokrzak patrzył na niego.

- Jak pan się czuje? - zapytał Wiktor. Mokrzak milczał.

- Może panu czegoś trzeba? - zapytał Wiktor podnosząc głos. - Trochę dzinu?

- Niech pan się nie drze - powiedział mokrzak. - Słyszę.

- Boli? - zapytał Wiktor współczująco.

- A jak pan myśli?

Wyjątkowo nieprzyjemny człowiek, pomyślał Wiktor. Zresztą Bóg z nim - widzę go po raz pierwszy i ostatni. A teraz go boli...

- To nic... - rzekł. - Jeszcze tylko kilka minut. Zaraz po pana przyjadą.

Mokrzak nic nie odpowiedział, jego czoło pokryły bruzdy, przymknął oczy. Przypominał teraz trupa - płaski, nieruchomy pod ulewnym deszczem. Wybiegła Diana z lekarską walizką, przysiadła obok i zaczęła coś robić z poharataną nogą. Mokrzak cicho krzyknął, ale Diana nie mówiła uspokajających słów jak zwykle w takich wypadkach lekarze. "Pomóc ci?" - zapytał Wiktor. Diana nie odpowiedziała. Wstał, wtedy Diana nie unosząc głowy powiedziała: "Poczekaj, nie odchodź".

- Nigdzie nie idę - odparł Wiktor. Patrzył jak zręcznie zakłada szynę.

- Będiesz jeszcze potrzebny - powiedziała Diana.

- Nigdzie nie idę, - powtórzył Wiktor.

Potem gdzieś za zasłoną deszczu zawarczał silnik, błysnęły reflektory. Wiktor zobaczył jeepa, który ostrożnie skręcał w bramę. Jeep podjechał do wejścia i niezgrabnie wyładował się z niego Jul Golem w swoim niezgrabnym płaszczu. Wszedł po schodkach, pochylił się nad mokrzakiem i wziął go za rękę. Mokrzak powiedział głucho:

- Żadnych zastrzyków.

- Dobra - powiedział Golem i spojrzał na Wiktora. - Niech go pan podniesie.

Wiktor wziął mokrzaka na ręce i zaniósł go do jeepa. Golem wyprzedził go, otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Niech pan go daj e tutaj - powiedział z ciemności. - Nie, nogami do przodu... Śmielej... Przytrzymać za ramiona...

Sapał i krzątał się w samochodzie. Mokrzak znowu krzyknął i Golem powiedział coś niezrozumiałego, coś w rodzaju "Sześć kątów na szyi..." Potem zatrzasnął drzwi i siadając przy kierownicy, zapytał Dianę:

- Dzwoniłaś do nich?

- Nie - powiedziała Diana. - Zadzwoń?

- Teraz już nie warto - powiedział Golem - bo inaczej wszystko zatuszują. Do widzenia. Jeep ruszył, objechał klomb i odjechał aleją.

- No, to idziemy - powiedziała Diana.

- Płyniemy - poprawił ją Wiktor. Teraz, kiedy wszystko się skończyło, nie czuł nic oprócz

irytacji. W holu Diana wzięła go pod rękę.

- To nic - powiedziała - zaraz przebierzesz się w suche ubranie, strzelisz sobie kielicha i wszystko będzie dobrze.

- Jestem przemoczony jak pies - gniewnie poskarżył się Wiktor. - A poza tym, może wreszcie wytłumaczysz mi, co się tu stało?

Diana westchnęła ze znużeniem.

- Nic szczególnego się nie stało. Nie trzeba było zapominać latarki.

- A te potrzaski na drodze - to u was na porządku dziennym?

- Burmistrz je stawia, kanalia...

Weszli na pierwsze piętro i szli teraz korytarzem.

- Zwariował? - zapytał Wiktor. - To przecież kryminalna sprawa. Czy może naprawdę oszalał?

- Nie. To zwykła kanalia i nienawidzi mokrzaków. Jak zresztą całe miasto.

- To już zauważyłem. My ich też nie lubimy, ale potrzaski... A co im mokrzaki zrobiły?

- Przecież trzeba kogoś nienawidzić - powiedziała Diana. - W jednych miejscach nienawidzą Żydów, gdzie indziej - Murzynów, a u nas - mokrzaków.

Zatrzymali się przed drzwiami, Diana przekreśliła klucz, weszła i zapaliła światło.

- Poczekaj - powiedział Wiktor rozglądając się. - Gdzieś ty mnie przyprowadziła?

- To laboratorium - odpowiedziała Diana. - Ja zaraz...

Wiktor został w drzwiach i patrzył jak Diana chodzi po ogromnym pokoju i zamyka okna. Pod oknami ciemniały kałuże.

- A co on tam robił w nocy? - zapytał Wiktor.

- Gdzie? - zapytała Diana nie odwracając się.

- Na ścieżce... Przecież wiedziałaś, że on tu jest?

- No, bo wiesz - powiedziała - w leprozorium jest nie najlepiej z lekarstwami. Czasami przychodzą, do nas i proszą...

Zamknęła ostatnie okno, przespacerowała się po laboratorium oglądając stoły zastawione aparaturą, chemicznymi kolbami i retortami.

- Wszystko to jest obrzydliwe - powiedział Wiktor. - Co to za kraj! Gdzie się człowiek ruszy - wszędzie jakieś świństwa... Chodźmy, bo zmarzłem.

- Zaraz - powiedziała Diana.

Zdjęła ze stołu jakieś ciemne męskie ubranie i potrząsnęła nim. Był to ciemny, wieczorowy garnitur. Starannie powiesiła go w szafie na ubrania robocze. Skąd tu garnitur? - pomyślał Wiktor. I do tego taki znajomy garnitur...

- No tak - powiedziała Diana - ty jak chcesz, ale ja zaraz włożę do gorącej wanny.

- Posłuchaj Dianu - powiedział ostrożnie Wiktor. - Kto to był ten... z takim nosem... żółty na twarzy? Z którym tańczyłaś...

Diana wzięła go za rękę.

- Widzisz - odpowiedziała po chwili milczenia - to mój mąż, ...Mój były mąż.

*

Dawno nie widziałem pana w mieście - powiedział Pawor zakatarzonym głosem. Nie tak znowu dawno - powiedział Wiktor - wszystkiego dwa dni temu. Można się do was przysiąść, czy wolicie być sami? - zapytał Pawor.

- Niech pan siada - powiedziała uprzejmie Diana.

Pawor usiadł naprzeciw niej i krzyknął: "Kelner, podwójny koniak!" Zmierzchało się, portier zaciągał story na oknach. Wiktor zapalił stojącą lampę.

- Jestem zachwycony pani wyglądem - Pawor zwrócił się do Diany - żyć w takim klimacie i zachować tak wspaniałą cerę... - kichnął. - Przepraszam. Te deszcze mnie wykończą... - Jak się

pracuje? - zapytał Wiktora.

- Kiepsko. Nie mogę pracować, kiedy jest pochmurno - wciąż mam ochotę czegoś się napić.

- Co za skandal wywołał pan u policmajstra? - zapytał Pawor.

- A tam, głupstwo - odpowiedział Wiktor. - Szukałem sprawiedliwości.

- Ale co się stało?

- Ten bydlak burmistrz zastawia potrzaski na mokrzaków. Jeden się złapał, zmiażdżyło mu nogę. Zabrałem ten potrzask, poszedłem na policję i zażądałem dochodzenia.

- Tak - powiedział Pawor. - I co dalej?

- W tym mieście są dziwne prawa. Ponieważ nie było wniosku poszkodowanego, uważa się, że nie było także przestępstwa, tylko nieszczęśliwy wypadek, któremu nikt nie jest winien z wyjątkiem poszkodowanego. Powiedziałem policmajstrowi, że przyjmę to do wiadomości i wtedy on oznajmił mi, że jest to groźba i na tym się rozstaliśmy. t

- A gdzie to się stało? - zapytał Pawor.

- Niedaleko sanatorium.

- Niedaleko sanatorium? Czego szukał mokrzak koło sanatorium?

- To nikogo nie powinno obchodzić - ostro powiedziała Diana.

- Oczywiście - odparł Pawor. - Ja się tylko zdziwiłem - skrzywił się, zmrużył oczy i dźwięcznie kichnął. - O do diabła - rzekł. - Przepraszam.

Wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął ogromną chustkę do nosa. Coś z hałasem upadł na podłogę. Wiktor nachylił się. To był kastet. Wiktor podniósł go i podał Faworowi.

- I po co pan to nosi przy sobie? - zapytał.

Pawor z twarzą ukrytą w chustce do nosa patrzył na kastet zaczerwienionymi oczami.

- To wszystko przez pana - powiedział zduszonym głosem i wydmuchał nos. - To pan mnie przestraszył swoją opowieścią... A tak przy okazji, ludzie powiadają, że grasuje tu jakaś miejscowa banda. Ni to bandyci, ni to chuligani. A ja, wie pan, nie lubię, kiedy mnie biją.

- A często pana biją? - zapytała Diana.

Wiktor spojrzał na nią. Siedziała w fotelu założywszy nogę na nogę i paliła papierosa nie patrząc na nikogo. Biedny Pawor, pomyślał Wiktor. Zaraz coś usłyszy... Wyciągnął rękę i obciągnął spódnicę na jej kolanach.

- Mnie? - zapytał Pawor. - Czyżbym wyglądał na człowieka, którego często biją? To trzeba poprawić. Kelner, jeszcze raz podwójny koniak! Tak, a więc następnego dnia poszedłem do warsztatu ślusarskiego i raz dwa zrobili mi tę zabawkę... - z zadowoleniem obejrzał kastet. - Niezła rzecz, nawet Golemowi się spodobała...

- Nadal nie wpuszczają pana do leprozorium? - zapytał Wiktor.

- Nie. Nie wpuszczają i jak należy sądzić, nie wpuszczą. W każdym razie już w to nie wierzę. Napisałem skargi do trzech departamentów, a teraz siedzę i piszę sprawozdanie. Na jaką sumę leprozorium otrzymało w minionym roku kalesony. Oddzielnie dla kobiet, oddzielnie dla mężczyzn. Diabelnie pasjonujące.

- Niech pan napisze, że im brakuje lekarstw - poradził Wiktor. Pawor ze zdziwieniem uniósł brwi, a Diana powiedziała leniwie.

- Lepiej niech pan zostawi tę swoją pisaninę i zamiast tego napije się grzanego wina i położy do łóżka.

- Zrozumiałem aluzję - powiedział Pawor z westchnieniem. - Trzeba będzie iść... Czy pan wie, w którym numerze mieszkam? - zapytał Wiktora. - Wpadłby pan kiedyś.

- W dwieście dwudziestym trzecim - powiedział Wiktor. - Z całą pewnością.

- Do widzenia - powiedział Pawor wstając. - Życzę przyjemnego wieczoru.

Oboje patrzyli jak podszedł do baru, wziął butelkę czerwonego wina i skierował się do wyjścia.

- Masz za długi język - powiedziała Diana.

- Tak - zgodził się Wiktor. - Moja wina. Rozumiesz, on mi się w jakiś sposób podoba.
- A mnie nie - powiedziała Diana.
- I doktorowi R. Kwadrydze - też nie. Ciekawe dlaczego?
- Ma wstrętny pysk - odpowiedziała Diana. - Blond bestia. Znam ten gatunek. Prawdziwi mężczyźni. Bez czci i wiary. Atamani głupców.
- Masz ci los - zdziwił się Wiktor. - A ja myślałem, że tacy mężczyźni powinni ci się podobać.
- Teraz już nie ma mężczyzn - zaprzeczyła Diana. - Teraz są albo faszyci, albo baby.
- A ja? - zapytał Wiktor z zaciekawieniem.
- Ty? Ty za bardzo lubisz marynowane minogi. I jednocześnie - sprawiedliwość.
- Racja. Ale moim zdaniem to całkiem niezłe.
- Nie najgorzej. Ale gdybyś musiał wybierać, wybrałbyś minogi, a to już niedobrze.

Poszcześciło ci się, że masz talent.

- Coś ty dzisiaj taka zła? - zapytał Wiktor.
- A ja w ogóle jestem zła. Ty masz talent, a ja - złość. Jeżeli tobie odebrać talent, a mnie złość to pozostaną dwa kopulujące ze sobą zera.

- Zero zera nierówne - zauważył Wiktor. - Ty nawet jako zero wyglądałabyś niezłe - przystojne, świetnie zbudowane zero. A poza tym, gdyby ci odebrać twoją złość, staniesz się dobra, co w końcu też nie jest najgorsze...

- Jeśli odebrać mi złość, to stanę się meduzą. Żebym stała się dobra, należałoby zastąpić złość dobrocią.

- Zabawne - powiedział Wiktor - przeważnie kobiety nie lubią dyskutować. Ale kiedy już zaczynają, stają się zdumiewająco kategoryczne. Skąd ci się właściwie wzięło, że jesteś wyłącznie zła i ani trochę dobra. Tak nigdy nie jest. Masz w sobie dobroć, tylko że jej nie widać spoza złości. W każdym człowieku jest wszystkiego po trochu, a życie z tej mieszaniny wyciska na wierzch to albo tamto...

Na salę wtoczyło się towarzystwo młodych ludzi jod raz zrobiło się głośniejsze. Młodzi ludzie zachowywali się dość swobodnie - nawymyślali kelnerowi, pogonili go po piwo, sami obsiedli stolik w odległym kącie, zaczęli głośno rozmawiać i śmiać się na całe gardło. Ogromny drab o grubych wargach i rumianych policzkach pstrykając palcami skierował się tanecznym krokiem do baru. Teddy coś mu podał i drab odstawiając mały palec ujął dwoma palcami kieliszek, odwrócił się plecami do lady, oparł się o nią łokciami, skrzyżował nogi i zwycięsko rozejrzał się po pustej sali. "Witam Dianę! - wrzasnął. - Co słyszać?" Diana uśmiechnęła się do niego obojętnie.

- Co to za cudo? - zapytał Wiktor.

- Niejaki Flamen Juventa - odpowiedziała Diana. - Bratanek policmajstra.

- Gdzieś go już widziałem - powiedział Wiktor.

- Do diabła z nim - niecierpliwie powiedziała Diana. - Wszyscy ludzie to meduzy i niczego w nich takiego nie ma. Z rzadka trafiają się prawdziwi, tacy którzy mają coś własnego - dobroć, talent, złość... ale jeśli im to zabrać, nic z nich nie pozostanie, zostaną meduzami jak wszyscy. Ty, mam wrażenie wyobraziłeś sobie, że podoba mi się twoje umiłowanie minóg i sprawiedliwości? Zawracanie głowy! Masz talent, masz swoje książki, masz sławę, ale jeśli chodzi o resztę, to jesteś taki sam jaskiniowy niedorajda jak wszyscy.

- To, co teraz mówisz - oznajmił Wiktor - jest tak bardzo niesłuszne, że nawet nie czuję się urażony. Ale mów dalej, bardzo interesująco zmienia ci się wyraz twarzy, kiedy mówisz - zapalił papierosa i podał jej. - Mów dalej.

- Meduzy - powiedziała Diana gorzko. - Oślizgłe, głupie meduzy. Kotłują się, pełzają, strzelają, same nie wiedzą czego chcą, nic nie umieją, niczego naprawdę nie kochają... jak robaki w wychodku...

- To nieprzyzwoite - powiedział Wiktor. Obraz niewątpliwie jest wypukły, ale zdecydowanie nieprzyzwoity. I w ogóle to są banały, Diana, moja najmilsza, nie jesteś

myślicielem. W ubiegłym wieku, gdzieś na prowincji może by to nieźle wyglądało... w każdym razie towarzystwo byłoby rozkosznie zaszokowane, a bladzi młodzieńcy o gorejących oczach łaziliby za tobą jak psy. Ale dzisiaj to są rzeczy oczywiste. Dzisiaj wszyscy wiedzą, czym jest człowiek. Co z tym człowiekiem robić - oto na czym polega problem. Zresztą też przeważający do znużenia.

- A co robią z meduzami?

- Kto? Meduzy?

- My.

- O ile wiem - nic. Zdaje się, że robią z nich konserwy.

- No i bardzo dobrze - powiedziała Diana. - Czy ty coś zdziałałeś przez ten czas?

- No a jak! Napisałem potwornie wzruszający list do swojego przyjaciela Roc-Tusowa.

Jeśli po tym liście nie załatwi pensji dla Armii, to znaczy, że jestem już do niczego!

- I to wszystko?

- Tak - powiedział Wiktor. - Całą resztę wyrzuciłem.

- O Boże - powiedziała Diana. - A ja opiekowałam się tobą, starałam się nie przeszkadzać, odganiałam Roschepera...

- Kapałaś mnie w wannie - przypomniał Wiktor.

- Kapałam w wannie, poiłam kawą...

- Poczekaj - powiedział Wiktor - ale przecież ja też kapałem cię w wannie...

- Wszystko jedno.

- Jak to wszystko jedno? Myślisz, że łatwo pracować, kiedy się siebie kąpie w wannie?

Opisałem sześć wariantów tego procesu, wszystkie są do niczego.

- Daj przeczytać.

- Tylko dla mężczyzn - powiedział Wiktor. - Poza tym wyrzuciłem je, czy ci nie powiedziałem? I w ogóle było w nich tak mało patriotyzmu i świadomości narodowej, że tak czy inaczej nikomu nie można byłoby ich pokazać.

- Powiedz, jak ty to robisz - najpierw piszesz, a dopiero potem wstawiasz świadomość narodową?

- Nie - odpowiedział Wiktor. - Na początek nasiąkam świadomością narodową do głębi duszy: czytam przemówienie pana prezydenta, wykuwam na pamięć eposy bohaterskie, uczęszczam na zebrania patriotyczne. Potem, kiedy zaczynam rzygać - kiedy już mnie nie mdli, tylko rzygam - biorę się do dzieła... Wiesz, porozmawiajmy lepiej o czymś innym. Na przykład o tym, co będziemy robili jutro.

- Jutro masz spotkanie z gimnazjalistami.

- To pójdzie szybko. A potem?

Diana nie odpowiedziała. Patrzyła na niego. Wiktor odwrócił się. Zbliżał się do nich mokrzak - w całej swojej krasie - czarny, mokry, z przepaską na twarzy.

- Dzień dobry - przywitał się z Dianą. - Golem jeszcze nie wrócił?

Twarz Diany wstrząsnęła Wiktoorem. Jak na starym obrazie. Nawet nie na portrecie - na ikonie. Dziwna nieruchomość rysów, i już nie wiesz - czy to zamysł mistrza czy bezradność rzeźmieszka. Diana nie odpowiedziała. Milczała i mokrzak również patrzył na nią w milczeniu, i nie było w tym milczeniu żadnej niezręczności - oni po prostu byli razem, a Wiktor i wszyscy pozostali byli oddzielnie. Wiktorowi bardzo się to nie podobało.

- Golem zapewne zaraz przyjdzie - powiedział głośno.

- Tak - powiedziała Diana. - Proszę, niech pan usiądzie i zaczeka.

Jej głos był zwyczajny i uśmiechała się do mokrzaka obojętnym uśmiechem. Wszystko było jak zwykle - Wiktor był z Dianą, a wszyscy pozostali byli osobno.

- Proszę - wesoło powiedział Wiktor wskazując na fotel doktora R. Kwadrygi.

Mokrzak usiadł, położył na kolanach obie dłonie w czarnych rękawiczkach. Wiktor nalał mu koniaku. Mokrzak wprawnym i niedbałym gestem wziął kieliszek, zakotłosał nim jakby

sprawdzając wagę i odstawił na stół.

- Mam nadzieję, że pani nie zapomniała? - powiedział do Diany.

- Tak - powiedziała Diana. - Tak. Zaraz przyniosę. Wiktorze, daj mi klucz do pokoju, za chwilę wrócę.

Wzięła klucz i szybko poszła do wyjścia. Wiktor zapalił papierosa. Co z tobą przyjacielu, powiedział do siebie. Jakoś za dużo ci się zwiduje w ostatnich czasach. Jakiś taki przeczulony się zrobiłeś i nadwrażliwy... Zazdrosny. I niepotrzebnie. Ciebie to w ogóle nie dotyczy - ci wszyscy byli mężowie, te wszystkie dziwne znajomości... Diana - to Diana, a ty - to ty. Roscheper jest impotentem? Impotentem. I to ci powinno wystarczyć... Wiedział, że to wszystko nie jest takie proste, że już połknął truciznę, ale powiedział sobie - wystarczy. Na dzisiaj, na teraz, na chwilę - i udało mu się przekonać siebie, że naprawdę wystarczy.

Naprzeciw siedział mokrzak nieruchomy i straszny jak manekin. Ciągnęło od niego wilgocią i jeszcze czymś jakby medycznym. Czy mogłem sobie wyobrazić, że będę kiedyś siedział z mokrzakiem w knajpie przy jednym stoliku? Jednak postęp, chłopcy, następuje powoli. Albo też my staliśmy się tacy wszystko - żerni i wreszcie do nas dotarło, że wszyscy ludzie są braćmi? Ludzkości, moja przyjaciółko, jestem z ciebie dumny... A czy pan, mój drogi, wydałby swoją córkę za mokrzaka?...

- Nazywam się Baniew - przedstawił się Wiktor i zapytał. - Jak zdrowie tego... rannego? Tego, który wpadł w potrzask?

Mokrzak szybko odwrócił ku niemu twarz. Patrzy jak z okopu, pomyślał Wiktor.

- Zadowolająco - odpowiedział sucho mokrzak.

- Na jego miejscu zawiadomiłbym policję.

- To nie ma sensu - powiedział mokrzak.

- A dlaczego? - zapytał Wiktor. - Niekoniecznie musi zgłaszać na miejscowej policji, można zwrócić się do okręgowej...

- Nam to niepotrzebne. Wiktor wzruszył ramionami.

- Każde przestępstwo, które pozostaje bezkarne, rodzi nowe przestępstwo.

- Tak. Ale nas to nie interesuje.

Przez chwilę obaj milczeli. Potem mokrzak powiedział:

- Moje nazwisko - Zurtzmansor.

- Słynne nazwisko - uprzejmie powiedział Wiktor. - Czy nie jest pan krewnym Pawła Zurtzmansora, tego socjologa?

Mokrzak zmrużył oczy.

- Nie nosimy nawet tego samego nazwiska - powiedział. - Powiedziano mi, Baniew, że jutro ma pan spotkanie w gimnazjum...

Wiktor nie zdążył odpowiedzieć. Za jego plecami ktoś przesunął fotel i dziarski baryton powiedział:

- Ano, zjeżdżaj stąd zaraz!

Wiktor odwrócił się. Wznosił się nad nim grubowargi Flamenco Juventa, czy jak mu tam, słowem - bratanek. Wiktor patrzył na niego dłużej niż sekundę, ale to wystarczyło, żeby poczuł wyjątkową irytację.

- Do kogo pan mówi, młody człowieku? - zainteresował się.

- Do pańskiego przyjaciela - grzecznie wyjaśnił mu Flamenco Juventa i ponownie wrzasnął. - Do kogo mówię, ty mokra szmato!

- Chwileczkę - powiedział Wiktor i wstał. Flamenco Juventa z uśmiechem patrzył na niego z góry. Taki młody Goliat w sportowej kurtce błyskającej niezliczonymi emblematami, nasz prosty, ojczysty sturmfuerer, opoka narodu z gumową pałką w tylnej kieszeni spodni, postrach prawicowców, lewicowców i umiarkowanych. Wiktor sięgnął ręką do jego krawata i zapytał z troską i zainteresowaniem "Co pan tu ma?". I kiedy młody Goliat automatycznie pochylił głowę, żeby zobaczyć co tam ma, Wiktor mocno złapał go za nos dużym i wskazującym palcem. "E!" -

krzyknął młody Goliat kompletnie oszołomiony i spróbował się wyrwać, ale Wiktor go nie wypuścił i przez jakiś czas bardzo starannie, z lodowatą zawziętością zakręcał i obracał ten bezczelny, mocny nos przygadując "Następnym razem zachowuj się przyzwoicie, szczeniaku, bratanek, parszywy bojówkarzu, chamski sukinsynu..." Pozycja była wyjątkowo korzystna - młody Goliat rozpaczliwie wierzgał, ale między nimi stał fotel i młody Goliat pięściami ubijał powietrze, za to Wiktor miał dłuższe ręce i ciągle wykręcał, rozgniatał, obracał i wyciągał do

chwili, kiedy nad głową przeleciała mu butelka. Wtedy obejrzał się - odsuwając stoliki i przewracając fotele pędziła na niego cała pięcioosobowa banda, dwóch w niej było wyjątkowo roślących. Na mgnienie oka wszystko zastygło jak na fotografii - czarny Zurtzmansor spokojnie rozwalony w fotelu, Teddy w powietrzu - przeskakujący przez ladę baru, Diana z białym pakunkiem na środku sali - a na drugim planie w drzwiach straszliwa, wąsata twarz portiera, i tuż obok wściekle pyski z rozwartymi paszczkami. Następnie skończyła się fotografia i zaczęło się kino. . .

Pierwszego dryblasza Wiktor nadzwyczaj fartownie powalił ciosem w policzek. Ten przepadł i przez jakiś czas się nie pojawił. Ale drugi dryblasz trafił Wiktora w ucho. Ktoś inny uderzył go kantem dłoni w policzek - chybił, widocznie celował w gardło. A jeszcze ktoś - wyzwolony Goliat? - skoczył mu na plecy. To były brutalne uliczne łobuzy, opoka narodu - tylko jeden z nich znał boks, a pozostali chcieli nie : tyle walczyć, ile okaleczyć - wyłupić oko, rozerwać usta, kopnąć w pachwinę. Gdyby Wiktor nie był sam, na pewno by go zmasakrowali, ale od tyłu zaatakował ich Teddy, który święcie przestrzegał złotej zasady wszystkich wikidajłów - tłumić każdą bójkę w zarodku, z flanki zaś pojawiła się Diana, Diana Wścieklica, z zębami wyszczerzonymi z nienawiści, niepodobna do siebie, już bez białego pakunku, tylko z ciężkim oplatanym gąsiorem w ręku, nadsciągnął też portier - niemłody już mężczyzna, ale sądząc po metodach walki, były żołnierz - walczył pękiem kluczy, jakby to był pas z bagnetem w pochwie. Kiedy więc z kuchni przybiegło dwóch kelnerów, nie mieli już nic do roboty. Bratanek zwiął, nawet zapomniał na stoliku swój tranzystor. Jeden z chłopaczków leżał pod stołem - był to ten, którego Diana powaliła oplecionym gąsiorem, pozostałych zaś czterech Wiktor z Teddym dosłownie wynieśli na pięściach z sali, przepędzili przez hol i kopniakami wbili w drzwi obrotowe. Z rozpędu sami też wylecieli na ulicę i dopiero tam, na deszczu uświadomili sobie całkowite zwycięstwo i trochę się uspokoili.

- Parszywi smarkacze - powiedział Teddy, zapalając jednocześnie dwa papierosy, dla siebie i dla Wiktora. - Przyzwyczajali się, co czwartek rozróżba. Zeszłym razem zagapiłem się i połamali dwa fotele. A kto potem płaci? Ja!

Wiktor macał puchnące ucho.

- Bratanek uciekł - powiedział z żalem. - Nie dobrałem się do niego, niestety.

- To dobrze - powiedział rzeczowo Teddy. - Od niego lepiej się trzymać z daleka. Jego stryjek jest sam wiesz kim, zresztą i on sam... Opoka Ojczyzny i Porządku, czy jak tam oni się nazywają... A ty, panie pisarzu, jak widzę nauczyłeś się bić. Pamiętam kiedyś byłeś taki smarkacz, słaby jak mucha - bywało przyłożą ci - a ty pod stół. Zuch.

- Taki mam zawód - westchnął Wiktor. - Produkt walki o byt. U nas przecież tak jest - wszyscy na jednego. A pan prezydent - za wszystkich.

- I dochodzi do mordobicia? - prostodusznie zdziwił się Teddy.

- No a jak myślisz! Napiszą na ciebie pochwalny artykuł, że jesteś przepełniony świadomością narodową, idziesz szukać krytyka, a on już w towarzystwie - wszyscy młodzi, silni i dziarscy, dzieci prezydenta...

- Coś podobnego - powiedział Teddy. - I co dalej?

- Różnie. Bywa i tak, i nie tak.

Pod wejście podjechał jeep, drzwi się otworzyły i na deszcz wysiadł młody człowiek w okularach i z teczką oraz jego wysoki współtowarzysz. Zza kierownicy wygrzebał się Golem. Wysoki z intensywnym, można powiedzieć zawodowym zainteresowaniem patrzył, jak portier

wykopuje przez obrotowe drzwi ostatniego awanturnika, który jeszcze nie całkiem przyszedł do siebie. "Szkoda, że tego z nami nie było - szeptem powiedział Teddy wskazując oczami na wysokiego. - To jest specjalista z klasą! Nie to, co ty. Zawodowiec, rozumiesz?" "Rozumiem" - również szeptem odpowiedział Wiktor. Młody człowiek z teczką oraz wysoki klusem przebiegli obok i dali nura w drzwi. Golem w pierwszej chwili ruszył za nimi niespiesznie, już z daleka uśmiechając się do Wiktora, ale zastąpił mu drogę pan Zurtzmansor z białą paczką pod pachą. Powiedział coś półgłosem, a wtedy Golem przestał się uśmiechać i wrócił do samochodu. Zurtzmansor wgramolił się na tylne siedzenie i jeep odjechał.

- Ech - powiedział Teddy - biliśmy nie tych co trzeba, panie Baniew. Ludzie za niego krew przelewają, a ten wsiada do cudzego samochodu i odjeżdża.

- Chyba nie masz racji - powiedział Wiktor. - Chory, nieszczęśliwy człowiek, dzisiaj on, jutro ty. My z tobą zaraz pójdziemy się napić, a jego zawieźli do leprozorium.

- Dobrze wiem, gdzie go zawieziono! - nieubłagane powiedział Teddy. - Nic nie rozumiesz z naszego życia, pisarzu.

- Oderwałem się od narodu?

- Od narodu, nie od narodu, ale życia nie znasz. Pomieszkaj no u nas - który to już rok tylko deszcze i deszcze, na polach wszystko wygniło, z dziećmi nie można dojść do ładu... Zresztą, co tu gadać - w całym mieście nie ma ani jednego kota, myszy niedługo nas zagryzą... E - ech! - powiedział i machnął ręką. - No, to chodźmy.

Wrócili do holu i Teddy zapytał portiera, który już wrócił na swój posterunek:

- No i jak? Dużo połamali?

- E, nie - odpowiedział portier. - Można powiedzieć, że wyszliśmy bez szwanku. Jedną lampę pokaleczyli, ścianę uświnili, ale pieniądze to ja temu... ostatniemu odebrałem, masz, weź.

Teddy skierował się do restauracji licząc po drodze pieniądze. Wiktor poszedł za nim. Na sali znowu zapanował spokój. Młody mężczyzna w okularach i wysoki już nudzili się nad butelką mineralnej, przeżuwając melancholijnie firmową kolację. Diana siedziała na dawnym miejscu, prześliczna, ogromnie ożywiona i nawet uśmiechała się do siedzącego już w swoim fotelu doktora R. Kwadrygi, którego zwykle nie tolerowała. Przed R. Kwadrygą stała butelka rumu, ale doktor był jeszcze trzeźwy i dlatego wyglądał, dziwnie.

- Gratuluję! - ponuro przywitał Wiktora. - Żałuję, że nie byłem obecny, choćby jako szeregowiec. Wiktor opadł n& fotel.

- Jakie piękne ucho - powiedział R. Kwadrygą. - Gdzieś ty takie dostał? Jak koguci grzebień.

- Koriiak! - zażądał Wiktor. Diana nalała mu koniaku. - Jej i tylko jej zawdzięczani Wiktorię swą - powiedział wskazując na Dianę. - Zapłaciłaś za gąsior?

- Gąsior wcale się nie stłukł - powiedziała Diana. - Za kogo ty mnie bierzesz? Ach, jak on upadł! Mój Boże, jak on cudownie się zwał! Żeby oni tak wszyscy....

- Zaczynamy - ponuro powiedział R. Kwadrygą i nalał sobie pełną szklankę rumu.

- Potoczył się jak manekin - powiedziała Diana. - Jak kręgle. Wiktor, wszystko masz w porządku? Widziałam jak cię kopali.

- To, co najważniejsze - w porządku - powiedział Wiktor. - Specjalnie bronilem.

Doktor R. Kwadrygą z .bulgotem wysłał ze szklanki ostatnie krople rumu, dokładnie tak, jak zlew kuchenny wysysa resztki wody po myciu naczyń. Oczy mu z miejsca zmętniały.

- My się znamy - spieszenie powiedział Wiktor. - Ty jesteś doktor Rem Kwadrygą, a ja - pisarz Banie w.

- Przestań - powiedział R. Kwadrygą. - Jestem absolutnie trzeźwy. Ale się spiję. To jedyne, czego jestem teraz pewny. Nie uwierzcie mi, ale przyjechałem tu pół roku temu jako zupełnie niepijący człowiek. Mam chorą wątrobę, katar kiszek i jeszcze coś tam z żołądkiem. Absolutnie nie wolno mi pić, a piję przez dwadzieścia cztery godziny na dobę... Jestem kompletnie nikomu niepotrzebny. Nigdy w życiu coś takiego mi się nie wydarzyło. Nawet listów nie dostaję, dlatego że

starzy przyjaciele siedzą bez prawa korespondencji, a nowi są niepiśmienni...

- Nie chcę słyszeć żadnych tajemnic państwowych - powiedział Wiktor. - Jestem nieprawomyślny. R. Kwadrygą znowu napełnił szklanekę i zaczął popijać rum małymi łykami jak wystygłą herbatę.

- Tak prędzej podziela - oznajmił. - Próbuj, Baniew. Przyda się... I nie ma co się na mnie gapić! - zniecierpliwiony powiedział do Diany z wściekłością. - Proszę nie ujawniać swoich uczuć! A jeżeli się wam nie podoba...

- Cicho, cicho - powiedział Wiktor i R. Kwadrygą skisł.

- Oni ni cholery mnie nie rozumieją - powiedział żałośnie. - Nikt. Tylko ty mnie troszeczkę rozumiesz. Zawsze mnie rozumiałeś. Tyle, że jesteś bardzo ordynarny, Baniew, i zawsze raniłeś moje uczucia. Cały jestem poraniony... Oni teraz boją się urnie zjeżdżać, teraz tylko mnie chwala. Jak mnie jakieś ścierwo pochwali - rana. Następne ścierwo pochwali - następna rana. Ale teraz już to wszystko jest za mną. Oni jeszcze nie wiedzą... Słuchaj, Baniew! Masz taką wspaniałą dziewczynę... Proszę cię... Poproś ją, żeby przyszła do mojego studia... Ależ nie, idioto! Modelka! Ty nic nie rozumiesz, a ja takiej modelki szukam już dziesięć lat...

- Portret - alegoria - wyjaśnił Dianie Wiktor. - "Prezydent i Wiecznie Młody Naród".

- Dureń - smutnie powiedział doktor R. Kwadryga. - Wszyscy myślicie, że się sprzedałem... No i słusznie, tak było! Ale ja już więcej nie maluję prezydentów... Autoportret! Rozumiesz?

- Nie - przyznał się Wiktor - nie rozumiem. Chcesz malować autoportret z Dianą jako modelką?

- Dureń - powiedział R. Kwadryga. - To będzie twarz artysty.

- Mój tyłek - wyjaśniła Diana Wiktorowi.

- Twarz artysty! - powtórzył R. Kwadryga. - Przecież ty też jesteś artystą... I wszyscy, którzy siedzą bez prawa korespondencji... i wszyscy, którzy mieszkają w moim domu... to znaczy nie mieszkają... Ty wiesz, Baniew, ja się boję. Przecież cię prosiłem - przyjdź, pomieszkaj u mnie chociaż trochę. Mam willę, fontannę... A ogrodnik uciekł. Tchórz... Nie mogę sam tam mieszkać, lepiej w hotelu... Myślisz, że piję, bo się sprzedałem? Zawracanie głowy, to nie nowomodna powieść... Pomieszkasz u mnie trochę i sam się zorientujesz.. Może nawet rozpoznasz ich. Możliwe, że to w ogóle nie są moi znajomi, tylko twój. Wtedy zrozumiałbym, dlaczego oni mnie nie poznają... Chodzą na bosaka... śmieją się... - nagle jego oczy napełniły się łzami. - Panowie! - powiedział. - Co za szczęście, że nie ma z nami tego Pawora! Wasze zdrowie.

- I twoje - powiedział Wiktor i wymienił spojrzenia z Dianą. Diana patrzyła na R. Kwadrygę z odrazą i lękiem. - Nikt tu nie lubi Pawora - powiedział. - Tylko ja jeden, nieszczęsny odmieniec.

- Stojąca woda - oświadczył R. Kwadryga. - I skacząca żaba. Gaduła. Zawsze milczy.

- Po prostu on już jest gotów - powiedział Wiktor do Diany. - Nic strasznego...

- Panowie! - powiedział doktor R. Kwadryga. - Szanowna pani! Uważam za swój obowiązek przedstawić się! Rem Kwadryga, doktor honoris causa...

Wiktor przyszedł do gimnazjum na pół godziny przed wyznaczonym czasem, ale Bol-Kunac już na niego czekał. Zresztą był on chłopcem taktownym, poinformował więc Wiktora, że spotkanie odbędzie się w auli i poszedł sobie powołując się na jakieś niecierpiące zwłoki sprawy... Zostawszy sam, Wiktor powędrował korytarzami, zaglądając do pustych klas, wdychał zapomniany zapach atramentu, kredy, wiecznie wiszącego w powietrzu kurzu, zapachy bójek "do pierwszej krwi", wyniszczających przesłuchań przy tablicy, zapachy więzienia, bezprawia, kłamstwa podniesionego do rangi przykazania. Wciąż miał nadzieję wywołać w pamięci jakieś słodkie wspomnienia dzieciństwa i młodości, rycerstwa, koleżeństwa, pierwszej czystej miłości, ale nic z tego nie wychodziło, chociaż tak bardzo się starał, gotów rozczulić się przy pierwszej stosownej okazji. Wszystko tu było jak dawniej - i jasne, zatechłe klasy, podrapane tablice, ławki pocięte zamalowanymi monogramami a także apokryficznymi sentencjami o żonie, prawej ręce i ściany jak w kazamatach pomalowane do połowy wysokości wesołą, zieloną farbą i tynk obtłuczony na krawędziach ścian - wszystko było jak dawniej, znieawidzone, ohydne, budziło wściekłość i beznadziejność.

Znalazł swoją klasę, chociaż nie od razu. Znalazł swoje miejsce przy oknie, ale ławka była inna, tylko na parapecie ciągle jeszcze było widać głęboko wycięty emblemat Legii Wolności i Wiktor bardzo wyraźnie przypomniał sobie odurzający entuzjazm tamtych czasów, czerwono - białe opaski, blaszane skarbonki na "fundusz Legii", krwawe bójki z czerwonymi i portrety we wszystkich gazetach, we wszystkich podręcznikach, na wszystkich murach - twarz, która wtedy wydawała się piękna i niezwykła, a teraz stała się tępa, obwisła, podobna do świńskiego ryja z ogromną, zębatą, bryzgającą śliną paszczą. Tacy młodzi, tacy bezbarwni, tacy jednakowi... I głupi. A ta głupota teraz już nie cieszy, nie cieszysz się, że zmądrzałeś, czujesz tylko palący wstyd za siebie, za tamtego, bezbarwnego, rzeczowego żółtodzioba, który wyobrażał sobie, że jest niezastąpiony, nietuzinkowy i niezwykły... I jeszcze wstydlive dziecinne pragnienia, paniczny strach przed dziewczyną, o której już tyle naopowiadałem, że już w żaden sposób nie mogłem się wycofać, a następnego dnia - dziki gniew ojca, płonące uszy, i to wszystko nazywa się najszcześniejszym czasem - bezbarwność i pragnienia, entuzjazm. Kiepska sprawa, pomyślał. A jeżeli nagle, za piętnaście lat okaże się, że ja dzisiejszy, jestem równie przeciętny i zniewolony jak w dzieciństwie, może nawet bardziej, ponieważ teraz uważam się za dorosłego, który wie dostatecznie dużo i wystarczająco dużo przeżył więc ma prawo do zadowolenia z siebie i osądzania innych.

Skromność i tylko skromność do pokory włącznie... i tylko prawda, nigdy nie okłamuj, przynajmniej samego siebie, ale to okropne - być pokornym, kiedy dookoła tylu idiotów, rozpustników, interesownych kłamców, kiedy nawet najlepsi też są splamieni niczym trędowaci... Czy chcesz znowu być młodym? Nie. A czy chcesz pożyć jeszcze z piętnaście lat? Tak. Ponieważ życie jest dobrem samym w sobie. Nawet kiedy otrzymujesz cios za ciosem. Żeby tylko można było oddać uderzenie... No dobra, wystarczy. Trzymajmy się tego, że prawdziwe życie jest sposobem istnienia pozwalającym oddawać ciosy, A teraz pójdziemy i zobaczymy, co z nich wyrosło...

Na sali było dosyć dużo dzieci i panował normalny hałas, który ucichł, kiedy Bol-Kunac wprowadził Wiktora na scenę i usadowił pod ogromnym portretem prezydenta - darem doktora R. Kwadrygi - za stołem przykrytym czerwono - białym obrusem. Potem Bol-Kunac wyszedł na brzeg sceny i powiedział:

- Dziś będzie z nami rozmawiać znany pisarz Wiktor Baniew, który urodził się w naszym mieście. - Odwrócił się do Wiktora. - Jak pan woli, panie Baniew, żeby pytania zadawano z miejsca, czy na kartkach?

- Wszystko mi jedno - powiedział Wiktor lekkomyślnie. - Żeby tylko było ich dużo.

- W takim razie, proszę.

Bol-Kunac zeskoczył ze sceny i usiadł w pierwszym rzędzie. Wiktor poskrobał brew

oglądając salę. Było ich około pięćdziesięciu - dziewcząt i chłopców w wieku od dziesięciu do czternastu lat - patrzyli na niego spokojnie i wyczekująco. Zdaje się, że tu są same wunderkindy, pomyślał mimochodem. W drugim rzędzie z prawej zauważył Irmę i uśmiechnął się do niej. Irma odpowiedziała uśmiechem.

- Uczyłem się w tym samym gimnazjum - zaczął Wiktor - i na tej samej scenie wypadło mi kiedyś grać Ozryka. Roli nie umiałem, więc musiałem ją wymyślić w trakcie przedstawienia. To był pierwszy wypadek w moim życiu, kiedy musiałem wymyślić coś nie pod groźbą dwójki. Podobno teraz trudniej się uczyć niż w moich czasach. Podobno macie teraz nowe przedmioty i to, co my przerabialiśmy w trzy lata, musicie przerabiać w ciągu roku. A wy zapewne nawet nie zauważacie, że jest wam trudniej. Uczni przypuszczają, że ludzki mózg jest w stanie pomieścić znacznie więcej informacji, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka przeciętnemu człowiekowi. Trzeba tylko umieć te informacje wtłoczyć... - Aha, pomyślał, zaraz im opowiem o hypnopedii. Ale w tym momencie Bol-Kunac przekazał mu karteczkę: Prosimy nie opowiadać nam o osiągnięciach nauki. Proszę rozmawiać z nami jak z równymi. Walerians kl. 6

- Tak - powiedział Wiktor. - Tu niejaki Walerians z szóstej klasy proponuje mi, żebym rozmawiał z wami jak z równymi, i ostrzega mnie przed referowaniem wam osiągnięć nauki... Muszę się przyznać, Walerians, że istotnie zamierzałem porozmawiać z wami o osiągnięciach hypnopedii. Jednakże chętnie zrezygnuję ze swojego zamierzenia, chociaż uważam za swój obowiązek poinformować cię, że większość równych mi, dorosłych ludzi ma nadzwyczaj umiarkowane wyobrażenie o hypnopedii. - Poczul, że jest mu niewygodnie mówić na siedząco, wstał i przespacerował się po scenie. - Muszę się wam zwierzyć, moi drodzy, że niespecjalnie lubię spotkania z czytelnikami. Z reguły nie sposób zrozumieć, z jakim czytelnikiem ma się do czynienia, czego on chce od ciebie i co go właściwie interesuje. Dlatego każde swoje wystąpienia staram się zmienić w wieczór pytań i odpowiedzi. Czasami wychodzi dosyć zabawnie. Wiecie co, może na początek ja zacznę zadawać pytania. A więc... Czy wszyscy obecni czytali moje książki?

- Tak - rozległy się dziecięce głosy. - Czytaliśmy... Wszyscy...

- Świetnie - powiedział Wiktor zakłopotany. - Jestem mile zaskoczony i nieco zdumiony. No dobrze, jedźmy dalej... Czy zebrani życzą sobie usłyszeć historię napisania jakiejś mojej powieści?

Nastąpiło niedługie milczenie, następnie ze środka sali wstał chudy, pryszczaty chłopiec, rzekł: "Nie" i usiadł.

- To świetnie - stwierdził Wiktor. - Tym bardziej świetnie, że wbrew szeroko rozpowszechnionym poglądom w takich historiach nie ma na ogół nic ciekawego. Idźmy jeszcze dalej... Czy szanowni słuchacze życzą sobie usłyszeć o moich planach twórczych?

Bol-Kunac wstał i oznajmił grzecznie:

- Widzi pan, panie Baniew, problemy związane bezpośrednio z techniką pańskiej twórczości lepiej byłoby przedyskutować pod koniec rozmowy, kiedy ogólny obraz będzie bardziej jasny.

Usiadł. Wiktor wsadził ręce w kieszenie i znowu przespacerował się po estradzie. Robiło się interesująco, a w każdym razie niecodziennie.

- A może interesują was anegdoty literackie? - zapytał podstępnie. - Jak polowałem z Hemingway - em. Jak Erenburg podarował mi rosyjski samowar. Albo, co też mi powiedział Zurtzmansor, kiedy razem jechaliśmy tramwajem...

- Naprawdę znał pan Zurtzmansora? - padło pytanie z sali.

- Nie, to był żart - powiedział Wiktor. - Co więc będzie z literackimi anegdotami?

- Czy można zadać pytanie? - rzekł, unosząc się z miejsca pryszczaty chłopiec.

- Tak, oczywiście.

- Jakimi chciałby pan nas widzieć w przyszłości?

Bez pryszczy, przeleciało przez głowę Wiktorowi, ale odgonił tę myśl, ponieważ zrozumiał - robi się gorąco. Pytanie było dobre. Bardzo bym chciał, żeby ktokolwiek mi powiedział, jak chcę

widzieć siebie w terażniejszości, pomyślał. Jednak trzeba było odpowiadać.

- Żebyście byli mądrzy - powiedział na chybił trafił. - Uczciwi. Dobrzy. Chciałbym, żebyście lubili swoją pracę... i pracowali tylko dla szczęścia innych ludzi... (Truję, pomyślał. Ale jak tu nie truć?) Mniej więcej tak...

Sala cichutko zaszumiała, potem ktoś zapytał nie wstając z miejsca:

- Czy rzeczywiście pan uważa, że żołnierz jest ważniejszy od fizyka?

- Ja?! - oburzył się Wiktor.

- Tak zrozumiałem pańską książkę "Nieszczęście przychodzi nocą". - Był to jasnowłosy skrzat, mniej więcej dziesięcioletni. Wiktor odchrząknął. "Nieszczęście" mogło być dobrą książką, mogło być złą książką, ale w żadnym przypadku nie mogło być książką dla dzieci. Do takiego stopnia nie była książką dla dzieci, że nie zdołał jej zrozumieć ani jeden krytyk: wszyscy uznali, że jest to pornograficzne, deprawatorskie czytało obrażające świadomość narodową. A co najstraszniejsze, jasnowłosy skrzat miał pewne podstawy przypuszczać, że autor "Nieszczęścia" uważa żołnierza za ważniejszego od fizyka - w każdym razie w niektórych aspektach.

- Chodzi o to - powiedział Wiktor sugestywnie - że... jak by ci tu powiedzieć... Różnie bywa,

- Wcale nie mam na myśli fizjologii - zaprotestował jasnowłosy skrzat. - Mówię o ogólnej koncepcji książki, być może "ważniejszy" nie jest odpowiednim słowem...

- Ja też nie mam na myśli fizjologii - odparł Wiktor. - Chcę powiedzieć, że bywają sytuacje, w których poziom erudycji nie ma znaczenia.

Bol-Kunac przyjął z sali i przekazał dwie karteczki. Czy człowiek, który pracuje dla wojny może się uważać za uczciwego? i Co to takiego człowiek mądry? Wiktor zaczął od drugiego pytania, było łatwiejsze.

- Mądry człowiek - rzekł - to taki człowiek, który uświadamia sobie własną niedoskonałość, ograniczoność swojej wiedzy, stara się je uzupełnić i osiąga w tej dziedzinie sukces... Zgadza się ze mną?

- Nie - powiedziała prześliczna dziewczynka wstając.

- A o co chodzi?

- Pańska definicja jest нефunkcjonalna. Każdy głupiec wykorzystując tę definicję może uważać się za mądrego. Szczególnie, jeżeli utwierdza go w tym otoczenie.

Tak, pomyślał Wiktor. Ogarnęła go lekka panika. To zupełnie nie pogawędka z kolegami pisarzami.

- W jakimś sensie masz rację - powiedział. - Ale chodzi o to, że w ogóle "mądry" i "głupi" - to pojęcia historyczne i chyba raczej subiektywne.

- To znaczy, że pan sam nie podejmuje się odróżnić głupca od człowieka mądrego? - zapytało z tylnych rzędów prześliczne stworzenie o przepięknych, biblijnych oczach, ogolone na zero.

- Nie, dlaczego - odpowiedział Wiktor. - Podejmuję się. Ale nie jestem pewien, czy zawsze się ze mną zgodzicie. Jest taki stary aforyzm - głupiec, to ten, który myśli inaczej... - zwykle to porzekadło wywoływało śmiech słuchaczy, ale teraz sala w milczeniu oczekiwała dalszego ciągu. - Albo inaczej czuje - dodał Wiktor.

Ostro odczuwał rozczarowanie sali, ale nie wiedział, co by tu jeszcze powiedzieć. Kontakt nie było. Audytorium z reguły łatwo przechodzi na stronę tego, kto występuje, zgadza się z jego sądami i dla wszystkich staje się jasne, kto to są ci głupcy, przy czym rozumie się samo przez się, że tu, na tej sali głupców nie ma. W najgorszym wypadku audytorium nie zgadzało się, ogarniał je wrogi nastrój, ale i wtedy było łatwo, dlatego, że pozostała możliwość sarkastycznego ośmieszania, a jednemu nie sprawia trudności dyskusowanie z wieloma, ponieważ przeciwnicy zawsze przeczą sobie nawzajem i zawsze znajdzie się wśród nich jeden najhałaśliwszy i najgłupszy, po którym można się przejechać ku ogólnemu zadowoleniu.

- Ja niezupełnie rozumiem - powiedziała prześliczna dziewczynka. - Chce pan, żebyśmy

byli mądrzy, to znaczy zgodnie z pańskim aforyzmem myśleli i czuli dokładnie tak jak pan. Ale przeczytałam wszystkie pańskie książki i znalazłam w nich wyłącznie negację. Żadnego pozytywnego programu. Z drugiej strony chciałby pan, abyśmy pracowali dla dobra innych ludzi. To znaczy faktycznie dla dobra tych brudnych i antypatycznych facetów, którymi przepelnione są pańskie książki. A pan przecież przedstawia rzeczywistość, prawda?

Wiktorowi wydało się, że wreszcie odnalazł dno pod stopami.

- Widzicie - rzekł - przez pracę dla dobra ludzi rozumiem właśnie przekształcanie ich w czystych i sympatycznych. I to moje życzenie nijak się nie ma do mojej twórczości. W książkach próbuję pokazać wszystko tak jak jest naprawdę i nie próbuję uczyć, czy też pokazywać, co należy robić. W najlepszym razie wskazuję punkt przyłożenia siły, zwracam uwagę na to, z czym trzeba walczyć. Ja nie wiem, jak należy zmieniać ludzi, a gdybym wiedział, to nie byłbym modnym pisarzem, tylko wielkim pedagogiem albo sławnym psychosocjologiem. Dla literatury pięknej w ogóle jest przeciwwskazane pouczać, przewodzić, proponować konkretne drogi wyjścia, albo tworzyć konkretną metodologię. Można to zobaczyć na przykładzie największych pisarzy. Chylę czoło przed Lwem Tołstojem, ale tylko dopóty, dopóki jest jedynym w swoim rodzaju, unikatowym jeśli chodzi o siłę talentu zwierciadłem rzeczywistości. Ale gdy tylko zaczyna mnie uczyć chodzenia boso czy też podstawiania drugiego policzka, ogarnia mnie litość i trwoga... Pisarz - to instrument ukazujący stan społeczeństwa i tylko w mizernym stopniu narzędzie do jego zmieniania. Historia poucza, że społeczeństwa zmienia się nie za pośrednictwem literatury, tylko za pomocą karabinów maszynowych lub reform, a obecnie jeszcze i nauki. Literatura w najlepszym razie pokazuje, do kogo należy strzelać lub też co wymaga zreformowania... zrobił pauzę, przypomniał sobie, że istnieje jeszcze Dostojewski i Faulkner. Ale póki zastanawiał się jakby tu coś wtrącić na temat roli literatury przy poznawaniu wnętrza istoty ludzkiej, z sali zawiadomiono go:

- Daruje pan, ale to wszystko jest dosyć banalne. Przecież nie o to chodzi. Chodzi o to, że przedstawiane przez pana obiekty wcale nie chcą, żeby ktoś je zmieniał. A poza tym są tak antypatyczne, do takiego stopnia zapuszczone, tak beznadziejne, że nie ma się ochoty ich zmienić. Rozumie pan, one nie są tego warte. Niechaj sobie gniją - przecież nie odgrywają żadnej roli. Więc dla czyjego dobra pańskim zdaniem powinniśmy pracować?

- Ach, więc o to wam chodzi! - wolno powiedział Wiktor.

Nagle dotarło do niego: mój Boże, przecież ci smarkacze poważnie myślą, że piszę tylko o kanaliach, że wszystkich uważam za łajdaków, nic nie rozumieją, zresztą skąd mają rozumieć, to są dzieci, dziwaczne dzieci, chorobliwie mądre dzieci, ale tylko dzieci, z dziecinnym doświadczeniem życiowym, z dziecinną znajomością ludzi plus stosami przeczytanych książek, z dziecinnym idealizmem i z dziecinnym dążeniem do tego, aby wszystko poukładać w szufladkach z napisami "dobrze" i "źle". Dokładnie jak koledzy literaci...

- Wprowadziło mnie w błąd to, że mówicie jak dorośli - rzekł Wiktor. - I nawet zapomniałem, że jednak nie jesteście dorośli. Rozumiem, że niepedagogicznie jest tak mówić, ale niestety trzeba to powiedzieć, inaczej nigdy się nie wypłacemy. Cała rzecz w tym, że wy najprawdopodobniej nie rozumiecie, jak nieogolony, histeryczny, wiecznie pijany mężczyzna może być wspaniałym człowiekiem, którego nie sposób nie kochać, dla którego można mieć najwyższe uznanie i uważać za zaszczyt uściśnięcie jego ręki. Ponieważ przeszedł przez takie piekło, że strach pomyśleć, ale mimo wszystko pozostał człowiekiem. Wszystkich bohaterów moich książek uważacie za łajdaków, ale to dopiero połowa nieszczęścia. Uważacie jednak, że i ja traktuję ich tak samo jak i wy. A to już jest całe nieszczęście. Nieszczęście, które polega na tym, że w ten sposób nigdy nie zrozumiemy się nawzajem.

Diabli wiedzą jakiej reakcji oczekiwał w odpowiedzi na to niezmiernie pocziwe wystąpienie. Speszonych spojrzeń, twarzy rozjaśnionych nagłym zrozumieniem, westchnienia ulgi na sali na znak, że nieporozumienie zostało szczęśliwie wyjaśnione i teraz wszystko można zaczynać od początku, na nowej, bardziej realistycznej podstawie... W każdym razie nic takiego nie zaszło. Z tylnych rzędów znowu wstał chłopiec o biblijnych oczach i zapytał:

- Czy nie mógłby nam pan powiedzieć, czym jest postęp?

Wiktor poczuł się obrażony. No oczywiście, pomyślał. A potem zapytają, czy maszyna może myśleć i czy istnieje życie na Marsie. Wszystko powraca na swoje miejsce.

- Postęp - powiedział - jest to rozwój społeczeństwa w takim kierunku, którego cel stanowi doprowadzenie go do stanu, kiedy ludzie nie zabijają, nie depczą i nie męczą się nawzajem.

- A czym się zajmują? - zapytał tęgi chłopiec siedzący po prawej stronie.

- Popijają, zakąszając quantum satis - mruknął ktoś z lewej.

- A dlaczego by nie? - spytał Wiktor. - Historia ludzkości nie zna znowu tak wiele epok, w których ludzie mogli sobie popijać i zakąszać quantum satis. Dla mnie postęp - to dążenie do stanu, w którym nie depczą i nie zabijają. A czym się wtedy będą ludzie zajmować - to moim zdaniem nie jest już tak bardzo istotne. Jeżeli chcecie - dla mnie najważniejsze są przede wszystkim konieczne warunki postępu, a wystarczające - to rzecz nabyta...

- Pan pozwoli - powiedział Bol-Kunac. - Spróbujemy rozpatrzyć następujący schemat. Założmy, że automatyzacja rozwija się w takim tempie jak obecnie. W takim razie za kilkadziesiąt lat przeważająca większość aktywnej ludzkości zostanie wyrzucona poza nawias procesów produkcyjnych i sfery usług ze względu na nieprzydatność. Będzie po prostu znakomicie - wszyscy są syci i nie ma powodu zadeptywać się nawzajem, nikt nikomu nie przeszkadza... i nikt nikogo nie potrzebuje. Jest oczywiście kilkaset tysięcy ludzi zabezpieczających ciągłość pracy starych maszyn i powstawanie maszyn nowych, ale pozostałe miliardy są sobie po prostu niepotrzebne. To dobrze?

- Nie wiem - stwierdził Wiktor. - Właściwie, może nie całkiem dobrze... I w jakiś sposób przykre... Ale muszę wam powiedzieć, że pomimo wszystko lepsze niż to, co mamy teraz. Więc pewien postęp jest chyba oczywisty.

- A czy pan sam chciałby żyć w takim świecie? Wiktor pomyślał.

- Wiecie - rzekł - ja ten świat jakoś słabo sobie wyobrażam, ale szczerze mówiąc, może warto byłoby spróbować.

- A czy potrafi pan wyobrazić sobie człowieka, który kategorycznie odmawia życia w takim świecie?

- Oczywiście, że potrafię. Są ludzie, sam znam takich, którym byłoby tam okropnie nudno. Władza jest tam niepotrzebna, nie ma komu rozkazywać, rozpychać się, iść po trupach nie ma po co. Co prawda, tacy raczej nie odmówią - jednak to wyjątkowa okazja, aby spróbować raj przerobić na chlew... albo na koszary. Z największą przyjemnością zburzyliby taki świat... Tak, że chyba raczej nie potrafię.

- A bohaterów pańskich ksiązek, których pan tak kocha, urządziłaby taka przyszłość?

- Tak, oczywiście. Znalezliby wreszcie zasłużony spokój.

Bol-Kunac usiadł, za to wstał pryszczaty nastolatek i kiwając głową powiedział z goryczą:

- No i właśnie o to chodzi. Nie o to, czy rozumiemy prawdziwe życie, czy nie, lecz o to, że dla pana i pańskich bohaterów taka przyszłość jest całkowicie do przyjęcia, a dla nas - to trupiarnia. Koniec nadziei. Koniec ludzkości. Właściwie dlatego nie mamy ochoty marnować sił, żeby pracować dla dobra pańskich uświnionych od stóp do głów i marzących o spokoju facetów. Naładować ich energią, żeby mogli żyć, naprawdę już nie sposób. I jak tam pan sobie chce, panie Baniew, ale pokazał pan nam w swoich książkach - w ciekawych książkach, jestem całkowicie "za" - pokazał pan nam nie punkt przyłożenia siły ale to, że punkty przyłożenia siły, jeżeli chodzi o ludzkość nie istnieją, przynajmniej jeżeli mowa o pańskim pokoleniu... Proszę mi darować, ale zagryźliście się, roztrwoniliście się na wewnętrzne waśnie, na kłamstwa i na walkę z kłamstwem, którą prowadzicie wymyślając nowe kłamstwa... Jak w pańskiej piosence:

*Kłamstwo czy prawda to kwestia odcieni
i prawda wczorajsza dziś w kłamstwo się zmieni.
A kłamstwo wczorajsze przemienia się żywo
dziś w prawdę powszednią i prawdę prawdziwą*

Właśnie tak się miotacie od kłamstwa do kłamstwa. Po prostu, w żaden sposób nie możecie uwierzyć, że jesteście już martwi, że własnoręcznie zbudowaliście świat, który stał się dla was kamieniem nagrobnym. Gniliście w okopach, rzucaliście się z granatami podczołgi, a komu od tego lepiej? Narzekaliście na rząd, na panujące porządki, jakbyście nie wiedzieli, że na lepszy rząd, na inne porządki wasze pokolenie... po prostu nie zasłużyło. Pan daruje, ale bito was po twarzy, a wy powtarzaliście z uporem, że człowiek z natury jest dobry... albo co gorsza, że człowiek to brzmi dumnie. I kogo tylko nie nazywaliście człowiekiem!...

Pryszczaty mówca machnął ręką i usiadł. Zapanowało milczenie, następnie chłopiec znowu wstał i oznajmił:

- Kiedy mówiłem "wy", nie miałem na myśli personalnie pana, panie Baniew.

- Dziękuję - powiedział gniewnie Wiktor.

Był zirytowany - pryszczaty smarkacz nie miał prawa mówić tak bezapelacyjnie, to bezczelność i brak wychowania... dać w łeb i wyprowadzić za ucho z sali. Czuł się głupio - wiele z tego, co powiedział chłopak było prawdą, sam tak myślał, a teraz znalazł się w sytuacji człowieka, który musi bronić czegoś, czego nienawidzi, a poza tym - nie było całkiem jasne, jak się zachować dalej, jak kontynuować rozmowę i czy w ogóle warto ją kontynuować... Rozejrzał się po sali i zobaczył, że czekają na jego odpowiedź, że Irma czeka na jego odpowiedź, że wszystkie te rumiane i piegowate potwory myślą jednakowo, a pryszczaty arogant tylko wyraził wspólną opinię i wyraził ją szczerze, z głębokim przekonaniem, a nie dlatego, że wczoraj przeczytał nielegalną broszurę. Że oni rzeczywiście nie czują nawet odrobiny wdzięczności albo chociażby elementarnej szacunku dla niego, Baniewa, za to, że na ochotnika zaciągnął się do ułanów i uczestniczył w szarżach kawalerii na "rheinmetale", że omal nie zdechł na dezynтеріę w okrążeniu i zabił wartownika samodzielnie wykonanym nożem, a potem, już w cywilu, dał po mordzie oficerowi tajnej policji, który zaproponował mu podpisanie donosu, łąził bez pracy z dziurą w płucach, spekulował owocami, chociaż proponowano mu bardzo wygodne posady... A właściwie, dlaczego oni powinni mnie szanować za to wszystko? Że szedłem z szablą naczołgi? Przecież trzeba być idiotą, żeby mieć rząd, który doprowadził armię do takiego stanu... Aż się wzdrygnął, kiedy uzmysłowił sobie, jak ogromną pracę myśli musiały wykonać te dzieciaki, żeby dojść do wniosków, do których dorośli dochodzą, kiedy duszę mają już w strzępach, zrujnowane życie, nie tylko własne oraz przetrącony grzbiet... zresztą nawet i to dotyczy nie wszystkich, zaledwie nielicznych, zaś większość do tej pory uważa, że wszystko jest jak należy, bardzo fajnie i jeśli zajdzie potrzeba, gotowi są zacząć wszystko od początku... Czyżby pomimo wszystko nastały nowe czasy? Patrzył na salę nieomal ze strachem. Zdaje się, że pomimo wszystko przyszłości udało się zapuścić macki w samo serce czasu teraźniejszego i ta przyszłość była zimna, pozbawiona litości i miała gdzieś wszystkie zasługi przeszłości - prawdziwe i domniemane.

- Dzieci - powiedział Wiktor. - Zapewne sami tego nie widzicie, ale jesteście okrutne. Jesteście okrutne z najlepszych pobudek, ale okrucieństwo - to zawsze okrucieństwo. I nie może przynieść nic oprócz nowego cierpienia, nowych łez i nowych podłości. Mieście to na względzie. I nie wyobrażajcie sobie, że wymyśliłyście coś szczególnie nowego. Zburzyć stary świat i na jego kościach zbudować nowy - to bardzo stary pomysł. I jak dotychczas ani razu nie udało się osiągnąć oczekiwanych rezultatów. To samo, co w starym świecie wywołuje pragnienie, aby burzyć bez najmniejszej litości, szczególnie łatwo przystosowuje się do procesu burzenia, do okrucieństwa, do bezwzględności, okazuje się dla tego procesu niezbędne, trwa nienaruszone, staje się gospodarzem nowego świata i w ostatecznym rachunku morduje śmiałych burzycieli. Kruk krukowi oka nie wykole, okrucieństwa nie można zniszczyć okrucieństwem. Ironia i litość! Ironia i litość, dzieci!

I nagle wszyscy wstali. Było to tak nieoczekiwane, że Wiktorowi przeleciała przez głowę szalona myśl, że udało mu się wreszcie powiedzieć coś takiego, co wstrząsnęło wyobraźnią słuchaczy. Ale już widział, że od drzwi idzie mokrzak, chudy, lekki, prawie niematerialny niczym cień i dzieci patrzą na niego, i nie zwyczajnie patrzą, tylko lgną do niego, a mokrzak powściągliwie

ukłonił się Wiktorowi, wymamrotał słowa przeprosin i usiadł na brzegu, obok Irmy, wszystkie dzieci również usiadły, a Wiktor patrzył na Irmę i widział, że jest szczęśliwa, że stara się tego nie okazać, ale po prostu promienieje radością i zadowoleniem. Zanim zdążył się opamiętać, zabrał głos Bol-Kunac.

- Obawiam się, że pan nas źle zrozumiał, panie Baniew - oznajmił. - Wcale nie jesteśmy okrutni, a jeżeli z pańskiego punktu widzenia jesteśmy okrutni, to wyłącznie teoretycznie. Przecież my wcale nie chcemy burzyć waszego starego świata, tylko zamierzamy zbudować nowy. To pan jest okrutny - nie wyobraża pan sobie budowania nowego świata bez zburzenia starego. A my wyobrażamy to sobie bardzo dobrze. My nawet pomożemy pana pokoleniu stworzyć ten wasz raj, popijajcie i jedźcie na zdrowie. Budować, panie Baniew, tylko budować. Niczego nie burzyć, tylko budować.

Wiktor oderwał wreszcie oczy od Inny i zebrał myśli.

- Tak - powiedział. - Jasne. No, to budujcie. Jestem całkowicie po waszej stronie. Zaskoczyliście mnie dzisiaj, ale i tak jestem z wami... Jeżeli zajdzie potrzeba, nawet zrezygnuję z kielicha i zakąski... Tylko nie zapominajcie, że stare światy trzeba było burzyć właśnie dlatego, że przeszkadzały... przeszkadzały budować nowe, nie lubiły tego co nowe, hamowały...

- Dzisiejszy stary świat - zagadkowo powiedział Bol-Kunac - nie będzie nam przeszkadzał. Będzie nam nawet pomagać. Poprzednia historia zakończyła swój bieg, nie trzeba się na nią powoływać.

- No cóż, tym lepiej - rzekł Wiktor ze znużeniem. - Jestem niezmiernie rad, że wszystko się wam tak szczęśliwie układa.

Fajni chłopcy i dziewczęta, pomyślał. Dziwni, ale fajni. Szkoda ich... wyrosną, będą się zagryzać, rozmnażać i rozpocznie się praca na chleb nasz powszedni... Nie, pomyślał z rozpaczą. Być może jakoś się uda... Zagarnął ze stołu karteczki. Zebrało się ich nawet sporo. Co to takiego fakt? Czy można uważać za dobrego i uczciwego człowieka, który pracuje dla wojny? Dlaczego pan tak dużo pije? Jaka jest pana opinia o Spenglerze?...

- Przysłano mi kilka pytań - powiedział. - Tylko nie wiem, czy teraz warto...

Wstał pryszczaty nihilista i oznajmił:

- Widzi pan, panie Baniew, nie wiem, jakie tam są pytania, ale właściwie to nie jest takie ważne. Po prostu chcieliśmy poznać współczesnego, znanego pisarza. Każdy znany pisarz jest wyrazicielem ideologii społeczeństwa, czy też części społeczeństwa, a my powinniśmy znać ideologów współczesnego społeczeństwa. Teraz wiemy więcej, niż wiedzieliśmy przed spotkaniem z panem. Dziękujemy.

Na sali zaczął się ruch, słychać było "Dziękujemy... Dziękujemy, panie Baniew" dzieci zaczęły wstawać, opuszczać swoje miejsca, a Wiktor stał zaciskając w pięści karteczki, czuł się jak krety, wiedział, że jest purpurowy, że minę ma speszoną i żalowaną, ale wziął się w garść, kartki wsadził do kieszeni i zszedł ze sceny.

Najgorsze było to, że nie zrozumiał w końcu jak ma traktować te dzieci. One były irrealne, były nieprawdopodobne, ich wypowiedzi, ich stosunek do tego, co Wiktor pisał i do tego, co mówił, nie miał żadnych punktów stykowych ze sterczącymi warkoczami, rozczochranymi czuprynami, niedomytymi szyjami, z gęsią skórą na chudych rękach, z piskliwym hałasem dookoła. Jakby nieznaną siłą dla zabawy zespoliła w przestrzeni przedszkole i dyskusję w instytucie naukowym. Połączyła niepołączalne. Zapewne tak czuł się doświadczalny kot, któremu dano kawałek ryby, podrapano za uchem i w tej samej chwili eksplodowano pod nosem ładunek, porażono prądem i oślepiono reflektorem... Tak, ze współczuciem powiedział Wiktor do kota, którego stan wyobrażał sobie teraz znakomicie. Ani moja, ani twoja psychika nie jest przygotowana na taki szok, od takiego szoku możemy nawet umrzeć...

I w tym momencie uświadomił sobie, że ugrzązł. Obstąpiono go i nie pozwalano przejść. Na sekundę ogarnęła go straszliwa panika. Nie zdziwiłby się, gdyby teraz spokojnie i w milczeniu powalono go na podłogę w celu przeprowadzenia sekcji na okoliczność przeanalizowania ideologii.

Ale dzieci nie zamierzały go preparować. Wyciągały do niego otwarte książki, tanie notesy, kartki papieru. Szeptaly: "Proszę o autograf!" Piszczaly: "Tu, w tym miejscu!" Chrypiały łamliwym basem: "Pan będzie łaskaw!".

I Wiktor wyjął wieczne pióro, zdjął nakrętkę, z zaciekawieniem postronnego człowieka przysłuchał się swoim odczuciom i wcale się nie zdziwił, czując wzburzoną dumę. To były upiory przeszłości i cieszyć się ich uznaniem było jednak przyjemnie.

*

W numerze hotelowym natychmiast otworzył barek, nalał sobie dzinu i wypił jednym haustem jak lekarstwo. Z włosów, po twarzy i za kołnierz spływała woda - okazało się, że zapomniał włożyć kaptur. Spodnie przemokły do kolan - prawdopodobnie szedł wprost po kałużach na nic nie zważając. Straszliwie chciało mu się palić - zdaje się, że ani razu nie zapalił przez te dwie godziny z hakiem...

Akceleracja, powtarzał sam sobie, kiedy zrzucił wprost na podłogę mokry płaszcz, przebierał się, wycierał głowę ręcznikiem. To tylko akceleracja, uspokajał się, zapalając papierosa i zaciągając się chciwie. To jest właśnie akceleracja w praktyce, myślał z przerażeniem, wspominając pewne siebie dziecięce głosy wypowiadające niemożliwe teksty. Boże, ratuj dorosłych, Boże ratuj ich rodziców, oświeć ich, spraw, aby zmądrzeli, to ostatni moment... Ze względu na Ciebie samego błagam cię, Boże, bo inaczej zbudują ci wieżę Babel, kamień nagrobny dla wszystkich głupców, których wypuściłeś na tę Ziemię, aby się płodzili i rozmnażali nie przemyślawszy jak należy skutków akceleracji... Okazałeś się prostaczkim, bracie Boże...

Wiktor wypluł niedopałek na dywan i zapalił nowego papierosa. A właściwie dlaczego tak się zdenerwowałem? - pomyślał. Rozhulała mi się wyobraźnia... No dobra, dzieci, no dobra - akceleracja, no dobra, rozwinięte ponad wiek. Co to, nie widziałem dzieci ponad wiek rozwiniętych? Skąd mi przyszło do głowy, że one same to wszystko wymyśliły? Napatrzyły się w mieście wszelakiego paskudztwa, nacztały się książek, wszystko uprościły i naturalnie doszły do wniosku, że należy zbudować nowy świat. I wcale nie wszystkie są takie. Mają przywódców, krzykaczy - Bol-Kunac... ten przyszczaty... i jeszcze ta śliczna dziewczynka. Liderzy. A reszta - dzieci jak dzieci, siedziały, słuchały, nudziły się... Wiedział, że to nieprawda. No, powiedzmy, nie nudziły się, słuchały z ciekawością - to jednak prowincja, znany pisarz... Diabła tam, w ich wieku nie czytałbym moich książek. Diabła tam, w ich wieku poszedłbym gdzieś - tylko nie na film ze strzelaniną albo do wędrownego cyrku - oglądać gołe nogi tancerki na linie. Równie zwiślał mi stary świat i nowy świat, nie miałem o tym zielonego pojęcia - piłka nożna do kompletnego wyczerpania, wykręcić gdzieś żarówkę i trzasnąć nią o ścianę, albo dorwać gdzieś jakiegoś eleganta i nakłaść mu po ryju... Wiktor rozwalił się w fotelu i wyciągnął nogi. Wszyscy wspominamy z rozczuleniem szczęśliwe dzieciństwo i jesteśmy przekonani, że od czasów Tomka Sawyera tak było, jest i będzie. Powinno być. A jeśli tak nie jest, to znaczy, że dziecko nienormalne, budzi, jeśli popatrzeć na nie z boku, lekką litość a przy bezpośrednim zderzeniu - pedagogiczne oburzenie. A dziecko łagodnie patrzy na ciebie i myśli: ty oczywiście jesteś dorosły, duży, możesz mi przyłożyć, jednakże jak od najwcześniejszego dzieciństwa byłeś głuptakiem, tak głuptakiem pozostaniesz i głuptakiem umrzesz, ale nawet tego ci mało, jeszcze i ze mnie chcesz zrobić głuptaka...

Wiktor nalał nową porcję dzinu i zaczął wspominać, jak to wszystko wyglądało i musiał pośpiesznie sobie golnąć, żeby nie zawyć ze wstydu. Jak przyszedł do tych dzieciaków zadowolony i pewny siebie, patrzący z góry, modny bęcwał, jak na dzień dobry uczył je szlachetną głupotą, płaskimi dowcipami i pseudobohaterskim gaworzeniem, jak go usadzono, ale nie uspokoił się i nadal demonstrował swoją ostrą niewydolność intelektualną, jak uczciwie próbowano skierować go na właściwą drogę i ostrzegano go, a on nadal plótł trywialne banały, wciąż licząc, że jakoś wyjdzie na swoje, że co tam, nie ma co się przesadnie wysilać - a kiedy wreszcie straciwszy

cierpliwość dali mu po mordzie, małodusznie zaczął szlochać i skarżyć się, że go źle potraktowano... kiedy zaś z litości poproszono go o autografy, wpadł w taką euforię, że aż wstyd pomyśleć... I Wiktor zaryczał, wiedząc, że o tym, co się dziś wydarzyło, bez względu na swoją wysiloną uczciwość nigdy nikomu nie ośmieli się opowiedzieć, że za jakieś pół godziny przekona sam siebie o konieczności zachowania równowagi duchowej i tak wszystko sprytnie poprzekłada, aby wszystko nieprzyjemne, co z nim dzisiaj uczyniono, obróciło się w największy triumf jego życia albo ostatecznie w zwyczajne i niezbyt interesujące spotkanie z prowincjonalnymi wunderkindami, które - a niby czego się po nich spodziewać? - są dziećmi i dlatego nie najlepiej orientują się w literaturze i w życiu... Należałoby posłać mnie do departamentu oświaty, pomyślał z nienawiścią. Tacy zawsze są tam potrzebni... Mam tylko jedną pociechę, pomyślał. Takich dzieci jest jeszcze bardzo mało i jeżeli akceleracja będzie się rozwijać w takim samym tempie, to do tego czasu kiedy będzie ich dużo, ja już dzięki Bogu szczęśliwie umrę. Jak to dobrze - umrzeć we właściwym czasie!

Ktoś zapukał do drzwi. Wiktor krzyknął "Proszę!". Wszedł Pawor w podrabianym bucharskim szlafroku, rozstrojony, ze spuchniętym nosem.

- Nareszcie - powiedział zakatarzonym głosem, usiadł naprzeciwko, wydobyl zza pazuchy wielką, moką chustkę do nosa i zaczął smarować i kichać. Było to żalosne widowisko - nic nie zostało z dawnego Pawora.

- Co - nareszcie? - zapytał Wiktor. - Chce pan dżinu?

- Och, nie wiem... - odparł Pawor siakając i pochlipując. - To miasto mnie wykończy... R - r - rum - czż - ż - żach! Och...

- Na zdrowie - powiedział Wiktor.

Pawor popatrzył na niego zażawionymi oczami.

- Gdzie się pan podziewał? - zapytał kapryśnie. - Trzy razy pukałem do pana, chciałem wziąć coś do czytania. Ja tu przepadnę, jedyne moje zajęcie - to kichanie i wycieranie nosa... w hotelu nie ma żywego ducha, poszedłem do portiera, to ten stary idiota zaproponował mi książkę telefoniczną i jakieś prospekty sprzed lat... "Witamy w naszym słonecznym mieście". Ma pan coś do czytania?

- Raczej wątpię - rzekł Wiktor.

- Co u diabła, przecież jest pan pisarzem! No, rozumiem, kolegów pan nie czyta, ale siebie chyba pan od czasu do czasu przegląda... Wszyscy dookoła wciąż powtarzają: Baniew, Baniew... Jak to tam u pana się nazywa? "Śmierć po południu"? "Północ po śmierci"? Nie pamiętam...

- "Nieszczęście przychodzi o północy" - powiedział Wiktor.

- O to to. Niech pan da poczytać.

- Nie dam. Nie mam - kategorycznie odparł Wiktor. - A gdybym miał, to i tak bym nie dał. Zasmarowałby mi pan książkę. I do tego nic nie rozumiał.

- A to dlaczego - nie rozumiałbym? - zainteresował się Pawor z oburzeniem. - podobno to coś z życia homoseksualistów, co tu można nie zrozumieć?

- Sam pan... - powiedział Wiktor. - Lepiej napijmy się dżinu. Z wodą?

Pawor kichnął, coś mruknął, rozpaczliwie rozejrzał się dookoła, odrzucił głowę do tyłu i znowu kichnął.

- Głowa mi pęka - poskarżył się. - O w tym miejscu... A gdzie pan był? Podobno na spotkaniu z czytelnikami? Z miejscowymi homoseksualistami?

- Gorzej - powiedział Wiktor. - Miałem spotkanie z miejscowymi wunderkindami. Wie pan, co to jest akceleracja?

- Akceleracja? To coś, co jest związane z przedwczesnym dojrzewaniem. Słyszałem, jakiś czas temu było o tym bardzo głośno, ale potem w naszym departamencie powołano komisję i ta komisja udowodniła, że to rezultat osobistej troski pana prezydenta o dorastające pokolenie lwów i marzycieli, tak że wszystko znalazło się na swoim miejscu. Ale ja wiem, o czym pan mówi, bo widziałem tych miejscowych wunderkindów. Zachowaj nas Boże od takich lwów, ponieważ ich

właściwe miejsce jest w gabinecie osobliwości.

- A może to moje i pana miejsce jest w gabinecie osobliwości? - zaprotestował Wiktor.

- Niewykluczone - zgodził się Pawor. - Tylko że akceleracja nie ma z tym nic wspólnego. Akceleracja - to problem biologiczny i fizjologiczny. Wzrost wagi noworodków, a one potem nieprzytomnie rosną, gdzieś do dwóch metrów, jak żyrafy, a kiedy mają dwanaście lat, już potrafią się rozmnażać. A tutaj - dzieci są najzwyczajniejsze, za to ich nauczyciele...

- Co - nauczyciele?

Pawor kichnął.

- Za to nauczyciele - niezwykajni - powiedział przez nos. Wiktor przypomniał sobie dyrektora gimnazjum.

- Co też niezwykłego jest w tutejszych nauczycielach? - zapytał - że zapominają rozpiąć rozporka?

- Jaki rozporek? - spytał Pawor ze zdumieniem gapiąc się na Wiktora. - Oni w ogóle nie mają rozporków.

- I co jeszcze? - zapytał Wiktor.

- W jakim sensie?

- Co jeszcze jest w nich niezwykle?

Pawor długo wycierał nos, a Wiktor popijał dżin i patrzył na niego z litością.

- Jak widzę, nie ma pan o niczym pojęcia - rzekł Pawor oglądając zasmarkaną chustkę. - Jak słusznie twierdzi pan prezydent, główną właściwością naszych pisarzy jest nieznanostwo życia i oderwanie od interesów narodu... Jest pan już tu ponad tydzień. Czy był pan gdziekolwiek oprócz knajpy i sanatorium? Rozmawiał pan z kimś oprócz tego pijanego bydlaka, Kwadrygi? Diabli wiedzą, za co bierze pieniądze...

- Dobra, dosyć tego - powiedział Wiktor. - Wystarczą mi gazety. Znalazł się usmarkany krytyk, nauczyciel bez rozporka...

- A - a - a, nie podoba się? - stwierdził Pawor z zadowoleniem. - Jeżeli tak, to już nie będę... Niech pan opowie o spotkaniu z wunderkindami.

- Nie ma o czym opowiadać - odparł Wiktor. - Wunderkindy, jak wunderkindy...

- A jednak?

- No więc przyszedłem. Zadali mi kilka pytań. Ciekawe pytania, zupełnie dorosłe. ... - Wiktor umilkł.

- No więc, jeśli mam być całkiem szczery, nieźle mi dali popalić.

- A jakie były pytania? - zapytał Pawor. Patrzył na Wiktora z prawdziwym zainteresowaniem i zdaje się ze współczuciem.

- Nie chodzi o pytania - westchnął Wiktor. - Jeżeli mam mówić otwarcie, to najbardziej mną wstrząsnęło, że te dzieci są jak dorośli, i to nie zwyczajni dorośli, ale jak dorośli najwyższej klasy... Jakaś choroba, piekielna dysproporcja... - Pawor ze współczuciem kiwał głową. - Słowem, źle mi tam było - powiedział Wiktor. - Nie mam ochoty o tym mówić.

- Rozumiem - oznajmił Pawor. - Nie pan pierwszy, nie pan ostatni. Muszę panu powiedzieć, że rodzice dwunastoletniego dziecka - to zawsze istoty godne litości z tysiącem kłopotów na głowie. Ale tutejsi rodzice to coś szczególnego. Przypominają mi tyły armii okupacyjnej w rejonie aktywnych działań partyzantów... No więc, o co pana pytano?

- No, na przykład, co to jest postęp.

- Tak. Więc, ich zdaniem, co to takiego postęp?

- Ich zdaniem, postęp to nadzwyczaj proste. Posłać nas wszystkich do rezerwatów, żebyśmy się nie plątali pod nogami, a wówczas oni na wolności będą mogli spokojnie studiować Zurtzmansora i Spenglera. Ja w każdym razie odniosłem takie wrażenie.

- No cóż, to bardzo możliwe. - powiedział Pawor. - Jaki ksiądz, taka i parafia. Pan tu opowiada - akceleracja, Zurtzmansor... A czy wie pan, co na ten temat mówi naród?

- Kto?!

- Naród!... Naród mówi, że wszystkie nieszczęścia są przez mokrzaków. Dzieci ześwirowały - przez mokrzaków...

- To dlatego, że w mieście nie ma Żydów - zauważył Wiktor. Potem przypomniał sobie mokrzaka, który wszedł na salę, jak dzieci wstały i jaką twarz miała Irma. - Pan poważnie? - zapytał.

- To nie ja - oznajmił Fawor. - To głos narodu. Vox populi. Koty uciekły z miasta, a dzieciaki uwielbiają mokrzaków, łążą za nimi do leprozorium, siedzą tam dniami i nocami, rodziców mają za nic, nikogo nie słuchają. Kradną w domu pieniądze i kupują książki... Podobno na początku rodzice bardzo się cieszyli, że dzieci zamiast drzeć spodnie na płotach, cicho siedzą w domu i czytają książki. Tym bardziej że pogoda jakby nie najlepsza. Ale teraz już wszyscy widzą, do czego to doprowadziło i kto to wszystko zaczął. Teraz już nikt się nie cieszy. Jednakże boją się mokrzaków jak dawniej i tylko warczą im w ślad...

Głos narodu, pomyślał Wiktor. Głos Loli i pana burmistrza. Słyszeliśmy ten głos... Koty, deszcze, telewizory. Krew chrześcijańskich niemowląt...

- Nie rozumiem - powiedział - pan to serio czy z nudów?

- To nie ja! - powtórzył Pawor z uczuciem. - Tak mówią w mieście.

- Co mówią w mieście, jest dla mnie jasne - rzekł Wiktor. - A co pan sam o tym myśli? Pawor wzruszył ramionami.

- Życie płynie - powiedział mgliście. - Płatki pół na pół z prawdą. - Popatrzył na Wiktora znad chustki. - Proszę mnie nie uważać za idiotę - powiedział. - Niech pan lepiej przypomniał sobie te dzieci - gdzie jeszcze widział pan takie dzieci? Albo ostatecznie, tyle takich dzieci?

Fakt, pomyślał Wiktor, takie dzieci... Koty kotami, ale ten mokrzak na sali - to już nie koty pół na pół z deszczem... Jest takie określenie - twarz rozświetlona od wewnątrz. Właśnie taką twarz miała Inna, a kiedy rozmawia ze mną, jej twarz oświetlona jest tylko z zewnątrz. Z matką zaś w ogóle nie rozmawia - cedzi coś przez zęby z pobłażliwą odrazą... Ale jeżeli to tak, jeżeli to prawda, a nie wstrętne gadanie, to sprawa wygląda wyjątkowo paskudnie. Czego oni chcą od dzieci? To przecież chorzy ludzie, skazani... i w ogóle to świństwo podjudzać dzieci przeciwko rodzicom, nawet przeciwko takim rodzicom jak ja i Lola. Wystarczy nam pan prezydent - naród jest ważniejszy niż macierzyństwo i ojcostwo, Legia Wolności waszą matką i ojcem, więc dzieciak biegnie do najbliższego sztabu i zawiadamia, że ojciec nazwał pana prezydenta dziwnym człowiekiem, a matka nazwała wyprawę Legii rujnującym przedsięwzięciem. A teraz jeszcze na domiar złego pojawia się czarny, mokry facet i nie owijając w bawełnę oznajmia, że twój ojciec - to pijak i bezmózgie bydlę, a matka - kretynka i dziwka. Powiedzmy nawet, że tak jest naprawdę, ale to wszystko jedno świństwo, należy to robić inaczej, nie ich pieski interes, nie oni za to odpowiadają i nikt ich nie prosi, żeby zajmowali się tego rodzaju oświatą... Patologia jakaś i tyle... Jeżeli to tylko oświata i nic poza tym. A jeśli coś gorszego? Dziecię zaczyna różanymi usteczkami szczebiotać o postępie, zaczyna mówić straszne, okrutne rzeczy, nie wiedząc co szczebiocze, ale już od pieluch przyucza się do intelektualnego okrucieństwa, najgorszego okrucieństwa, jakie można wymyślić, a tamci, zamotawszy czarnymi szmatami łuszczące się fizjonomie, stoją za sceną i pociągają za sznurki... to zaś znaczy, że nie ma żadnego nowego pokolenia, za to jest stara i brudna zabawa w marionetki, a ja byłem podwójnym osłem, kiedy zamierałem dziś na tej scenie... Ależ to paskudna zabawa - ta nasza cywilizacja...

- ...kto ma oczy niechaj zobaczy - mówił Pawor. - Nie wpuszczają nas do leprozorium. Drut kolczasty, żołnierze, w porządku. Ale coś niecoś można zobaczyć i tutaj w mieście. Widziałem, jak mokrzaki rozmawiają z dziećmi i jak się przy tym zachowują te dzieci, jak zamieniają się nieomal w anioły, a zapytaj takiego jak się idzie do fabryki - wyleje na ciebie kubel pogardy...

Nie wpuszczają nas do leprozorium, myślał Wiktor. Drut kolczasty, a mokrzaki swobodnie spacerują sobie po mieście. Ale przecież nie Golem to wymyślił... Ojciec narodu. Co za ścierwo, pomyślał. Co za kanalia. Więc to jego robota. Najlepszy przyjaciel dzieci... Całkiem niewykluczone, to bardzo do niego podobne. A wie pan, panie prezydencie, na pańskim miejscu

urozmaiciłbym, a przynajmniej próbowałbym urozmaicić swoje sztuczki. Zbyt łatwo odróżnić pański ogon od wszystkich innych ogonów. Drut kolczasty, żołnierze, przepustki - czyli pan prezydent, czyli bez najmniejszej wątpliwości jakieś paskudztwo...

- Na diabła tam drut kolczasty? - zapytał Wiktor.

- A skąd ja mogę wiedzieć? - odparł Pawor. - Nigdy przedtem drutu kolczastego w tym miejscu nie było.

- To znaczy, że pan tam już kiedyś był?

- Dlaczego? Nie byłem. Ale nie jestem tu pierwszym inspektorem sanitarnym... zresztą nie chodzi o drut kolczasty, czy to mało na świecie kolczastego drutu? Dzieci tam wpuszczają bez żadnych przeszkód, mokrzaków wypuszczają bez przeszkód, ale ani pana, ani mnie nie wpuszczają - i to jest dziwne.

Nie, to chyba jednak nie prezydent, myślał Wiktor. Prezydent i czytanie Zurtzmansora, a może jeszcze i Baniewa - to nijak do siebie nie pasuje. Do tego ta destrukcyjna ideologia... Gdybym ja coś takiego napisał, chyba by mnie ukrzyżowali - Niepojęte, niezrozumiałe... Nieczysta sprawa... Trzeba będzie zapytać Army, pomyślał. Po prostu zapytam i zobaczę, co ona robi... Zresztą chyba i Diana powinna coś niecoś wiedzieć.

- Pan mnie nie słucha? - zapytał Pawor.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Mówię, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby miasto zastosowało jakieś środki. Zresztą, jak przystoi miastu, środki okrutne.

- Ja też bym się nie zdziwił - wymamrotał Wiktor. - Nie zdziwię się, nawet jeśli ja sam zechcę zastosować jakieś środki.

Pawor wstał i podszedł do okna.

- Ale pogoda - powiedział zgnębiony. - Wyjechać by stąd jak najprędzej... Da mi pan książkę, czy nie?

- Nie mam żadnych książek - powiedział Wiktor. - Wszystko co przywiozłem, jest w sanatorium... Niech pan posłucha, a po co mokrzakom nasze dzieci?

Pawor wzruszył ramionami.

- To przecież chorzy ludzie - odpowiedział. - Skąd możemy wiedzieć? My przecież jesteśmy zdrowi. Zapukano do drzwi i wszedł Golem - ciężki i mokry.

- Zapytamy Golema - powiedział Pawor. - Golem, po co mokrzakom nasze dzieci?

- Wasze dzieci? - zapytał Golem, uważnie oglądając etykietkę na butelce z dżinem. - A pan ma dzieci, Pawor?

- Pawor twierdzi - odparł Wiktor - jakoby mokrzaki buntowały miej skie dzieci przeciwko rodzicom. Co pan wie na ten temat, Golem?

- Hm... mruknął Golem. - Gdzie pan ma czyste szklanki? Aha... Mokrzaki buntują dzieci? No cóż... Nie oni pierwsi, nie oni ostatni. - Nie zdejmując płaszcza opadł na kozetkę i powąchał dżin w szklance. - A niby dlaczego w naszych czasach nie buntować dzieci przeciwko rodzicom, jeżeli białych szczuje się na czarnych, żółtych na białych, a głupich szczują na mądrych... Co pana właściwie dziwi?

- Pawor twierdzi - powtórzył Wiktor - że pańscy pacjenci włączą się po mieście i ucą dzieci różnych dziwnych rzeczy. Ja też zauważyłem coś podobnego, chociaż na razie jeszcze niczego nie twierdzą. Tak więc, niczemu się nie dziwię, tylko pytam pana - czy to prawda, czy nie?

- O ile wiem - powiedział Golem odpijając ze szklanki - mokrzaki od wieków mieli prawo chodzić po mieście. Nie wiem, co pan ma na myśli mówiąc o uczeniu dziwnych rzeczy, ale niech mi będzie wolno zapytać pana jako tubylca - czy zna pan zabawkę, która nazywa się "zła fryga"?

- No, oczywiście - odrzekł Wiktor.

- Miał pan taką zabawkę?

- r Ja oczywiście nie miałem... ale koledzy, o ile pamiętam, chyba tak... - Wiktor zamilkł. - Tak, rzeczywiście - powiedział. - Chłopcy mówili, że tego bączka podarował im mokrzak. O to

panu chodzi?

- Tak, właśnie o to. I "pogodnik" - i "drewnianą rękę"...

- Pardon - wtrącił Pawor. - Czy ja, przybysz ze stolicy, mógłbym się dowiedzieć, o czym rozmawiają tubylcy?

- Nie mógłby pan - odparł Golem. - To nie leży w pańskiej kompetencji.

- Skąd pan wie, co leży, a co nie leży w moich kompetencjach? - zapytał Pawor urażonym tonem.

- Wiem - powiedział Golem. - Zgaduję, bo tak mi się podoba,... i niech pan przestanie łąć, przecież próbował pan kupić u Teddyego "pogodnik", więc świetnie pan wie, co to takiego.

- Niech pan idzie do diabła - kapryśnie oznajmił Pawor. - Nie chodzi mi o "pogodnik"...

- Chwileczkę, Pawor - niecierpliwie przerwał mu Wiktor. - Golem, nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Czyżby? A mnie się wydawało, że odpowiedziałem... Widzi pan, Wiktorze, mokrzaki to ciężko i beznadziejnie chorzy ludzie. To straszna rzecz - choroba genetyczna. Ale pomimo wszystko zachowują dobroć i mądrość, więc nie trzeba ich krzywdzić.

- Kto ich krzywdzi?

- Czyżby pan ich nie krzywdził?

- Na razie nie. Na razie nawet wręcz przeciwnie.

- No to w takim razie wszystko w porządku - stwierdził Golem i wstał. - W takim razie jedziemy. Wiktor wytrzeszczył oczy.

- Dokąd jedziemy?

- Do sanatorium. Jadę do sanatorium, pan jak widzę też się wybiera do sanatorium, a Pawor niech się kładzie do łóżka. Dość zarażania grypą. I

Wiktor spojrzął na zegarek.

- Czy nie jest za wcześnie?

- Jak pan chce. Tylko niech pan pamięta, że od dzisiejszego dnia autobus nie chodzi. Jest nierentowny.

- A może najpierw zjemy obiad?

- Jak pan chce - powtórzył Golem. - Ja nigdy nie jadani obiadów. I panu nie radzę. Wiktor pomacał się po brzuchu.

- Tak - powiedział. Potem popatrzył na Pawora. - Chyba pojedę.

- Nic mi do tego - odparł Pawor. Był obrażony. - Niech pan przynajmniej książki przywiezie.

- Na pewno - obiecał Wiktor i zaczął się ubierać.

Kiedy wsiedli do samochodu, pod wilgotny brezent, do wilgotnej, śmierdzącej tytoniem, benzyną i lekarstwami kabiny, Golem zapytał:

- Czy rozumie pan aluzje?

- Czasami - odpowiedział Wiktor. - Kiedy wiem, że to aluzja. A bo co?

- A więc zwracam panu uwagę: aluzja. Niech pan mniej gada.

- Hm - wymamrotał Wiktor. - I jak mam to rozumieć?

- Jako aluzję. Niech pan przestanie trzaskać dziobem.

- Z przyjemnością - powiedział Wiktor i popadł w zamyślenie.

Przejechali miasto, minęli fabrykę konserw, przecięli pusty miejski park, zapuszczony, mizerny, na wpół zgniły z wilgoci, przemknęli obok stadionu, na którym umorusani, w błotnych cętkach jak żyrafy, "Bracia w sapiencji" uparcie kopali mokrymi, napęczniałymi butami napęczniałą piłkę i wytoczyli się na szosę prowadzącą do sanatorium. Dookoła, za kurtyną deszczu leżał mokry, płaski jak stół step, niegdyś suchy, wypalony i kłujący a teraz z wolna przemieniający się w grzaskie mokradła.

- Pana aluzja - rzekł Wiktor - przypomniła mi pewną rozmowę, moją rozmowę z jego ekscelencją panem referentem pana prezydenta do spraw państwowej ideologii. Jego ekscelencja

wezwał mnie do swego skromnego - trzydziści metrów na dwadzieścia - gabinetu i zainteresował się: "Wiktor, czy chce pan nadal mieć swój kawałek chleba z masłem?" Ja, naturalnie odpowiedziałem twierdząco. "No to niech pan przestanie brzdąkać!" - ryknął jego ekscelencja i odprawił mnie skinieniem dłoni.

Golem uśmiechnął się. ,

- A właściwie na czym pan brzdąkał?

- Jego ekscelencja miał na myśli moje ćwiczenia na banjo w młodzieżowych klubach.

Golem spojrzał na niego zezem.

- A właściwie skąd pan ma pewność, że nie jestem szpicielem?

- A ja wcale nie mam takiej pewności - zaprzeczył Wiktor. - Po prostu mi to zwisa. Poza tym teraz nie mówi się "szpicel". "Szpicel" to archaizm. Teraz wszyscy kulturalni ludzie mówią "kabel".

- Nie wyczuwam różnicy - zauważył Golem.

- Praktycznie, ja również - powiedział Wiktor. - A więc przestajemy trzaskać dziobem. Czy pana pacjent wyzdrowiał?

- Moi pacjenci nigdy nie wracają do zdrowia.

- Pan ma wspaniałą opinię! Ale ja pytam o tego nieszczęśnika, który wpadł w potrzask. Jak jego noga?

Golem milczał chwilę, a potem zapytał:

- Którego z nich ma pan na myśli?

- Nie rozumiem - odparł Wiktor. - Naturalnie, że tego, który wpadł w potrzask.

- Było ich czterech - stwierdził Golem wpatrzony w drogę zalaną deszczem. - Jeden wpadł w potrzask, drugiego niósł pan na plecach, trzeciego zabrałem samochodem, a z powodu czwartego niedawno rozpełtał pan skandaliczną bójkę w restauracji.

Wiktor milczał, oszołomiony. Golem milczał również. Świetnie prowadził samochód, objeżdżając niezliczone wyboje na starym asfalcie.

- No, no, niech się pan tak nie męczy - oznajmił wreszcie Golem. - Żartowałem. On był jeden. I jego noga zagoiła się tej samej nocy.

- To także żart? - zapytał Wiktor. - Ha - ha - ha. Teraz rozumiem, dlaczego pańscy chorzy nigdy nie wracają do zdrowia.

- Moi chorzy - powiedział Golem - nigdy nie wracają do zdrowia z dwóch powodów. Po pierwsze, ja, jak zresztą każdy przyzwoity lekarz, nie umiem leczyć genetycznych chorób. A po drugie, oni nie chcą wyzdrowieć.

- Zabawne - wymamrotał Wiktor - Tyle już się nasłuchałem o tych pańskich mokrzakach, że teraz, jak Boga kocham, jestem w stanie uwierzyć we wszystko - i w deszcz, i w koty, i w to, że zgruchotana kość może się zrosnąć w ciągu jednej nocy.

- No tak - rzekł Wiktor. - Dlaczego w mieście nie ma kotów? Przez mokrzaki. A Teddyego niedługo zjedzą myszy... Mógłby pan zaproponować mokrzakom, żeby przy okazji wyprowadzili z miasta również i myszy.

- A la szczurołap z Hamelin? - zapytał Golem.

- Tak - lekkomyślnie potwierdził Wiktor. - Właśnie a la - potem przypomniał sobie czym skończyła się historia ze szczurołapem z Hamelin. - Nie ma w tym nic śmiesznego - powiedział. - Byłem dzisiaj w gimnazjum. Widziałem dzieci. - I widziałem, jak się zachowywały, kiedy pojawił się jakiś tam mokrzak. Teraz wcale się nie zdziwię, jeśli pewnego pięknego dnia wyjdzie na miejski rynek mokrzak z akordeonem i wyprowadzi dzieci diabli wiedzą dokąd.

- Nie zdziwi się pan - powiedział Golem. - A co jeszcze pan zrobie?

- Nie wiem... może zabiorę mu akordeon.

- I sam pan zagra?

- Tak - westchnął Wiktor. - To prawda. Nie mam czym przyciągnąć tych dzieci, zrozumiałem to dzisiaj. Ciekawe, czym oni je przyciągają? Przecież pan to wie, Golem.

- Wiktor, niech pan przestanie brzdąkać - powiedział Golem.

- Jak pan sobie życzy - odparł Wiktor. - Bardzo starannie, i mniej lub bardziej zręcznie uchyła się pan od odpowiedzi na moje pytania, świetnie to zauważyłem. Bez sensu. Dowiem się tak czy inaczej, a pan straci sposobność, aby nadać informacji wygodne dla pana zabarwienie emocjonalne.

- Tajemnica lekarska! - wyrzekł Golem. - A poza tym, ja nic nie wiem. Mogę się tylko domyślać.

Przyhamował. Przed nimi, za welonem deszczu, pojawiły się na drodze jakieś sylwetki. Trzy szare sylwetki i szary słup przydrożny z drogowskazami "Leprozorium - 6 km" i "Sanatorium Gorące źródła - 2,5 km". Sylwetki cofnęły się na pobocze - dorosły mężczyzna i dwoje dzieci.

- Niech się pan zatrzyma - powiedział Wiktor ochryplym nagle głosem.

- Co się stało? - Golem zahamował.

Wiktor nie odpowiedział. Patrzył na ludzi obok słupa, na rosłego czarnego mokrzaka w dresie przesiąkniętym wodą, na chłopca, który również był bez płaszcza i na dziewczynkę, bosą, w sukience oblepiającej ciało. Następnie gwałtownie otworzył drzwi i wyskoczył na szosę. Deszcz i wiatr uderzyły go po twarzy, aż się zachłysnął, ale nie zauważył tego. Czuł niepohamowaną wściekłość, kiedy »na się ochotę tłuc i łamać, ale jeszcze ma się świadomość własnego szaleństwa. Na sztywnych nogach podszedł do mokrzaka. »

- Co tu się dzieje? - wycodził przez zęby. A potem do córki patrzącej na niego ze zdziwieniem: - Irma, natychmiast do samochodu! - A potem znowu do mokrzaka: - Niech pana diabli wezmą, co pan wyprawia? - i znowu do Irmy: Marsz do samochodu, do kogo mówię!

Irma nie ruszyła się z miejsca. Wszyscy troje stali nadal, oczy mokrzaka nad czarną opaską spokojnie mrugały. A potem Irma powiedziała z niepojętą intonacją "To mój ojciec" i Wiktor nagle zrozumiał, rdzeniem pacierzowym zrozumiał, że tu nie można wrzeszczeć, wymachiwać pięściami, nie można grozić, chwycić za kołnierz, ciągnąć... i w ogóle nie można się wściekać. Powiedział bardzo spokojnie:

- Irma, idź do samochodu, jesteś cała mokra. Bol-Kunac, na twoim miejscu też poszedłbym do samochodu.

Był pewny, że Irma posłucha i rzeczywiście posłuchała. Ale niezupełnie tak, jakby sobie tego życzył. Nie, nie to, żeby choćby spojrzeniem poprosiła mokrzaka o zgodę, ale powstał cień wrażeń, że jednak coś zaszło, jakaś wymiana poglądów, jakaś krótka narada, w wyniku której podjęto decyzję na jego korzyść. Irma zadarła nos i poszła w kierunku samochodu, a Bol-Kunac odparł grzecznie:

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny, panie Baniew, ale doprawdy lepiej będzie jeżeli zostanie.

- Jak chcesz - stwierdził Wiktor. - Bol-Kunac mało go wzruszał. Teraz trzeba jeszcze było powiedzieć coś na pożegnanie temu mokrzakowi. Wiktor z góry wiedział, że to będzie coś bardzo głupiego, ale cóż począć? - tak zwyczajnie odejść po prostu nie mógł. Ze względów czysto prestiżowych. I powiedział.

- Pana zaś, łaskawco - oznajmił wyniośle - nie zapraszam. Najwidoczniej czuje się pan tu jak ryba w wodzie.

Następnie odwrócił się i rzuciwszy wyobrażoną rękawicę, odmaszerował. Wypowiedziawszy te słowa, myślał z obrzydzeniem, hrabia oddalił się z godnością...

Inna włąza z nogami na przednie siedzenie i wyżywała wodę z warkoczyków. Wiktor wcisnął się do tyłu, pochrzakując ze wstydu, a kiedy Golem ruszył, powiedział:

- Wypowiedziawszy te słowa, hrabia oddalił się... Wsuń tutaj nogi, Irma, to ci je rozetrę.

- Po co? - z ciekawością zapytała Irma.

- Chcesz złapać zapalenie płuc? Daj tu nogi!

- Bardzo proszę - odrzekła Irma, zwinęła się na siedzeniu i przesunęła do tyłu jedną nogę.

Już z góry zadowolony z siebie, że oto nareszcie zrobi coś pożytecznego i właściwego,

Wiktor ujął obiema rękami tę chudą, dziewczynską nogę - moką i wzruszającą, już przymierzył się, żeby ją rozcierać - do czerwoności, do purpury, dobrymi ojcowskimi dłońmi, tę brudną, zlodowaciałą nogę, odwieczne źródło katarów, gryp, stanów zapalnych dróg oddechowych i obustronnych zapaleń płuc - kiedy stwierdził, że jego dłonie są chłodniejsze niż jej stopy. Siłą inercji wykonał jeszcze kilka ruchów masujących, a następnie ostrożnie tę stopę wypuścił. Przecież wiedziałem, pomyślał nagle, przecież wiedziałem o tym jeszcze wtedy, kiedy stałem przed nimi, wiedziałem, że tu się kryje jakiś podstęp, że dzieciom nic nie grozi, żadne katary i zapalenia, tylko nie chciałem w to uwierzyć, ale chciałem ratować, wyrwać ze szponów, płonąć sprawiedliwym gniewem, spełniać obowiązek i znowu napuścili mnie na wodę, i znowu wyszedłem na idiotę, drugi raz tego samego dnia...

- Zabieraj swoją nogę - rzekł do Irmy. Irma zabrała nogę i zapytała:

- Dokąd jedziemy - do sanatorium?

- Tak - powiedział Wiktor i spojrzął na Golema czy ten aby nie zauważył jego hańby. Ale Golem z niewzruszonym spokojem patrzył na drogę, ciężki, rozlany, siedział spokojnie przy kierownicy siwy, niechlujny, przygarbiony i wszystkowiedzący.

- A po co? - zapytała Irma.

- Przebierzesz się w suche ubranie i położysz do łóżka.

- Jeszcze czego! - powiedziała Irma. - Coś ty wymyślił?

- Dobra, dobra... - wymamrotał Wiktor. - Dam ci książki i będziesz sobie czytać.

Rzeczywiście, po jakiego diabła wiozę ją tam? - pomyślał. Diana... No, to się jeszcze zobaczy. Żadnego picia i w ogóle nic z tych rzeczy, ale jak ja ją odwiozę z powrotem? E tam, wezmę jakikolwiek samochód i odwiozę... Dobrze by było coś sobie łyknąć

- Golem... - zaczął, ale się opamiętał. Nie wypada, do diabła.

- Tak? - zapytał Golem nie odwracając się.

- Nie, nic - westchnął Wiktor, wpatrzony w szyjkę butelki sterczącej z kieszeni Golema. - Irma - powiedział znużonym głosem. - Co robiliście na tych rozstajach?

- Myśleliśmy mgłę - odpowiedziała Irma.

- Co?

- Myśleliśmy mgłę - powtórzyła Irma.

- O mgłę - poprawił Wiktor - albo na temat mgły.

- A to po co - o mgłę? - zapytała Irma.

- Myśleć - to czasownik nieprzechodni - wyjaśnił Wiktor - a więc wymaga przyimka. Czy przerabialiście czasowniki przechodnie?

- Zależy, jak na to popatrzeć - odparła Irma. - Myśleć mgłę - to jedno, a myśleć o mgłę - to zupełnie coś innego... i nie wiadomo komu to potrzebne - myśleć o mgłę.

Wiktor wyjął papierosa i zapalił.

- Poczekaj - powiedział. - Myśleć mgłę - tak się nie mówi, to niegrammatycznie. Są takie czasowniki - nieprzechodnie, myśleć, biegać, chodzić... Zawsze wymagają przyimka. Chodzić po ulicy. Myśleć o... no o czymś tam...

- Myśleć głupstwa - odpowiedział Golem.

- No, to jest wyjątek - stwierdził Wiktor nieco stropiony.

- Szybko chodzić - powiedział Golem.

- Szybko - to nie jest rzeczownik - zapalczywie oznajmił Wiktor. - Niech pan nie mąci dziecku w głowie, Golem.

- Tato, czy możesz nie palić? - zainteresowała się Irma.

Zdaje się, że Golem wydał z siebie jakiś dźwięk, a być może to silnik kichnął wspinając się pod górę. Wiktor zgniótł papierosa i rozdeptał go obcasem. Podjeżdżali do sanatorium, a z boku od stepu na spotkanie deszczu sunęła nieprzejrzysta biała ściana.

- No i masz mgłę - rzekł Wiktor. - Możesz ją myśleć. A także wachać, biegać i chodzić. Irma chciała coś powiedzieć, ale wtrącił się Golem.

- Nawiasem mówiąc - stwierdził - czasownik "myśleć" występuje jako przechodni także w zdaniach podrzędnie złożonych. Na przykład - myślę, że... i tak dalej.

- To zupełnie inna sprawa - nie zgodził się Wiktor. Obrzydło mu. Miał okropną ochotę wypić i zapalić. Zachłannie popatrzył na szyjkę butelki.

- Nie jest ci zimno, Irma? - zapytał z niejasną nadzieją.

- Nie. A tobie?

- Trochę mnie trzęsie - przyznał się Wiktor.

- Trzeba wypić dzinu - zauważył Golem.

- Tak, byłoby nieźle... A może pan ma?

- Mam - powiedział Golem. - Ale już prawie jesteśmy na miejscu.

Jeep wjechał w bramę i zaczęło się to, o czym Wiktor jakoś nie pomyślał. Pierwsze smugi mgły dopiero zaczęły przesączać się przez kratę ogrodzenia i widoczność była znakomita. Na drodze przed samochodem leżała postać w przemokniętej piżamie, leżała z taką miną jakby spoczywała tu już od wielu dni i nocy. Goleni ostrożnie objechał ciało, minął gipsową wazę ozdobioną nieskomplikowanymi rysunkami i odpowiednimi napisami i przyłączył się do stada samochodów stłoczonych przed wejściem do prawego skrzydła. Irma otworzyła drzwi i natychmiast jakaś zapita morda wychyliła się z okna najbliższego samochodu i wybeczała: "Dziecino, chcesz, to ci się oddam?" Wiktor wysiadł zamierzając. Irma z ciekawością rozglądała się dookoła. Wiktor mocno ujął ją za rękę i poprowadził do wejścia. Na schodkach, pod deszczem siedziały dwie dziwki w bieliźnie i ulicznymi głosami śpiewały o okrutnym aptekarzu, co to nie chce im sprzedać heroiny. Na widok Wiktora umilkły, ale kiedy przechodził obok, jedna z nich spróbowała złapać go za spodnie. Wiktor wepchnął Irmę do holu. Było tu ciemno, okna zasłonięte, śmierdziało dymem tytoniowym i jakimś kwaskiem, trzeszczał projektor i na białej ścianie podskakiwały pornograficzne obrazki. Wiktor z zaciśniętymi zębami deptał po cudzych nogach ciągnąc za sobą potykającą się Irmę, a za nimi biegły gniewne, niecenzuralne okrzyki. Pokonali wreszcie hol i Wiktor, przeskakując po trzy stopnie, pobiegł po pokrytych dywanem schodach. Irma milczała i Wiktor bał się na nią spojrzeć. "

Na podeście czekał już na niego z otwartymi objęciami Roscheper Nant. "Wiktor! - zachrypiął - Przy - yjacielu! - w tym momencie zauważył Irmę i wpadł w entuzjazm. - Wiktor! I ty też! Na małoletnie małolatki!" Wiktor przymknął oczy, mocno nadepnął mu na nogę i pchnął w pierś - Roscheper upadł na plecy przewracając kosz na śmieci. Złany potem Wiktor pomaszerował korytarzem. Irma bezszelestnymi susami sadziła obok. Pchnął drzwi Diany - były zamknięte, klucza nie było. Załomotał wściekle, i Diana natychmiast się odezwała: "Wynoś się do wszystkich diabłów! - wrzasnęła z furją. - Śmierdzący impotent! Gówniarz, łajno zasrane!" "Diana - zaryczał Wiktor. - Otwieraj!" Diana zamilkła i drzwi się otworzyły. Stała na progu z importowanym parasolem w pogotowiu. Wiktor odsunął ją, wepchnął Irmę do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

- A, to ty - powiedziała Diana. - A ja myślałam, że znowu Roscheper. - Czuć było od niej alkoholem. - Boże - powiedziała. - Kogoś ty przyprowadził?

- To jest moja córka - z trudem odparł Wiktor. - Irma. Irmo, to jest Diana.

Patrzył Dianie w oczy z rozpaczą i nadzieją. Dzięki Bogu, zdaje się, że nie była pijana. Albo z miejsca wytrzeźwiała.

- Ty chyba oszalałeś - rzekła cicho.

- Irma przemokła - wydusił z siebie. - Przebierz ją w suche rzeczy, połóż do łóżka i w ogóle...

- Nie położę się - oznajmiła Irma.

- Irma - powiedział Wiktor. - Bądź łaskawa słuchać, bo inaczej zaraz kogoś spiorę...

- Niektórych z tu obecnych rzeczywiście należałoby sprać - stwierdziła Diana beznadziejnym głosem.

- Diano - rzekł Wiktor. - Proszę cię.

- Dobra - powiedziała Diana. - Idź do siebie. Damy sobie radę.

Wiktor wyszedł z ogromną ulgą. Poszedł prosto do swojego pokoju, ale i tam nie było spokoju. Na początek musiał wyrzucić na korytarz absolutnie nieznaną parę, która się tam zagnieździła oraz uświnioną bieliznę pościelową. Potem zamknął drzwi, zwałił się na goły materac, zapalił wilgotnego papierosa i zaczął się zastanawiać, co też właściwie narozrabiał.

*

Wiktor obudził się późno, była pora obiadu. Trochę bolała głowa, ale nastrój okazał się nieoczekiwanie dobry.

Wieczorem, wypaliwszy paczkę papierosów, zszedł na dół, damską szpilką do włosów otworzył czyjś samochód, wyprowadził Irmę służbowym wyjściem i odwiózł ją do matki. Początkowo jechali w milczeniu. Wiktora aż skręcało, tak paskudnie się czuł, Irma zaś siedziała obok, czyściutka, schludna, uczesana według najnowszej mody - żadnych tam warkoczyków - i zdaje się miała nawet podmalowane wargi. Miał ogromną ochotę na nawiązanie rozmowy, ale musiałby zaczynać od przyznania się do niebotycznej głupoty, a to wydało mu się niepedagogiczne. Skończyło się na tym, że Irma nagle, ni z tego ni z owego, pozwoliła mu zapalić (pod warunkiem, że wszystkie okna będą otwarte) i zaczęła opowiadać, jakie to wszystko było dla niej ciekawe, jakie to podobne do tego, o czym poprzednio czytała, ale w co nie bardzo wierzyła, jak to znakomicie z jego strony, że zorganizował jej taką nieoczekiwaną i w najwyższym stopniu pouczającą przygodę, że w ogóle jako ojciec jest całkiem do przyjęcia, nie zanudza i nie gada głupstw, że Diana jest "prawie nasza", wszystkich nienawidzi, szkoda tylko, że tak niewiele wie i za bardzo lubi wypić, ale to akurat w końcu nie jest takie straszne, ty też lubisz wypić, a wszystkim się spodobałeś, dlatego, że mówiłeś uczciwie, nie udawałeś jakiegoś tam strażnika elitarnej wiedzy i całkiem słusznie, ponieważ nie jesteś żadnym strażnikiem, i nawet Bol-Kunac powiedział, że w całym mieście jesteś jedynym człowiekiem wartościowym, jeśli oczywiście nie liczyć doktora Golema, ale Golem właściwie nie ma z miastem nic wspólnego, a poza tym nie jest pisarzem, nie wyraża ideologii, a jak ty uważasz, czy ideologia jest w ogóle potrzebna, czy lepiej bez niej, wielu teraz uważa, że nadchodzi koniec wieku ideologii...

W rezultacie odbyła się znakomita rozmowa, obie strony były pełne szacunku jedna dla drugiej i po powrocie do hotelu (samochód postawił na jakimś zagraconym podwórzu), Wiktor uważał już, że ojcostwo nie jest tak bardzo niewdzięcznym zajęciem, szczególnie jeśli zna się życie i umie się wykorzystać w celach wychowawczych nawet jego ciemne strony. W związku z tym wypił z Teddym, który także był ojcem i także interesował się problemami wychowania, ponieważ jego pierworodny miał 14 lat - trudny wiek przejściowy, twoja jeszcze da ci do wiwatu... to znaczy wnuk Teddygo miał 14 lat, a wychowaniem syna nie mógł się zajmować dlatego, że syn spędził dzieciństwo w obozie koncentracyjnym. Nie wolno bić dzieci, twierdził Teddy. I bez ciebie przez całe życie będzie je bić każdy, kto ma ręce i nogi, a jeśli masz chęć uderzyć dzieciaka, lepiej daj po mordzie samemu sobie, że znacznie większym pożytkiem dla sprawy.

Po którymś z rzędu kieliszku Wiktor przypomniał sobie, że Irma ani słowem nie wspomniała o jego okropnym zachowaniu na rozstajnych drogach i doszedł do wniosku, że jego córka jest przebiegłym stworzeniem i w ogóle uciekać się za każdym razem do pomocy kochanki, kiedy nie wiadomo jak wykaraskać się z trudnej sytuacji, w którą sam się uwikłałeś - to co najmniej nieuczciwe. Te wnioski zmartwiły go, ale właśnie przyszedł doktor R. Kwadryga i zamówił swoją codzienną butelkę rumu, więc wypili tę butelkę, na skutek czego Wiktor znowu zobaczył wszystko w różowych barwach, ponieważ stało się jasne, że Irma po prostu nie chciała go martwić, co oznacza, że szanuje ojca, a być może nawet go kocha. .. Potem przyszedł jeszcze ktoś, i coś zamówił. Potem prawdopodobnie Wiktor poszedł spać... Prawdopodobnie... Należy przypuszczać, że spać... Co prawda zachowało się jeszcze jedno wspomnienie - kafelki na podłodze zalane wodą, ale co to była za podłoga i co to była za woda, nie sposób było odtworzyć... I lepiej nie odtwarzać...

Doprowadziwszy się do porządku Wiktor zszedł na dół, zabrał z recepcji świeże gazety i

porozmawiał o przeklętej pogodzie.

- Jak ja wczoraj? - zapytał niedbale. - Nie za bardzo?

- Właściwie nie za bardzo - powiedział uprzejmie recepcjonista. - Rachunek da panu Teddy.

- Aha - powiedział Wiktor i postanowiwszy chwilowo niczego nie precyzować, poszedł do restauracji. Wydało mu się, że lamp na sali jest jakby mniej. - O, do diabła - pomyślał ze strachem. Teddyego jeszcze nie było. Wiktor skłonił się młodemu człowiekowi w okularach i jego towarzyszowi, usiadł przy swoim stoliku i rozłożył gazetę. Na świecie nic się nie zmieniło. Jedno państwo zatrzymywało handlowe statki drugiego i to drugie państwo wysyłało kategoryczne protesty. Państwa, które podobały się panu prezydentowi, prowadziły sprawiedliwe wojny w obronie swoich narodów i demokracji. Państwa, które z jakiegoś powodu nie podobały się panu prezydentowi, prowadziły wojny zaborcze, a właściwie nie prowadziły wojen, tylko po prostu po bandycku napadały. Sam pan prezydent wygłosił dwugodzinne przemówienie o konieczności skończenia z korupcją raz na zawsze i szczęśliwie przeszedł operację usunięcia migdałów. Znany krytyk - wyjątkowe ścierwo - wychwalał nową powieść Roc-Tusowa i było to nader tajemnicze, ponieważ książka była naprawdę dobra.

Podszedł kelner, jakiś nowy, nieznajomy, po przyjacielsku doradził ostrygi, przyjął zamówienie, pomachał serwetką nad obrusem i oddalił się. Wiktor odłożył gazety, zapalił, usiadł wygodniej i zaczął myśleć o pracy. Po dobrym pijaństwie zawsze z ochotą rozmyślał o pracy. Dobrze byłoby napisać optymistyczną, wesołą książkę... O tym, jak żyje sobie na świecie człowiek, kocha swoją pracę, niegłupi, lubi przyjaciół, a przyjaciele go cenią, o tym jak mu z tym dobrze - sympatyczny chłopak, dowcipny, trochę dziwak. Nie ma fabuły. A jeśli nie ma fabuły, to znaczy, że nudne. A w ogóle, jeśli już usiąść do takiej powieści, to trzeba się zastanowić, dlaczego temu miłemu człowiekowi jest tak dobrze, a wtedy niewątpliwie dojdzie się do wniosku, że dobrze jest mu wyłącznie dlatego, że ma ukochaną pracę, a wszystko inne mu po prostu zwisa. A w takim razie co to za człowiek, jeśli wszystko ma gdzieś oprócz swojej pracy. Można oczywiście napisać o człowieku, którego sensem życia jest miłość bliźniego i jest mu dobrze na świecie, ponieważ kocha swoich bliźnich i kocha swoją pracę, ale o takim człowieku parę tysięcy lat temu napisali już panowie Łukasz, Mateusz, Jan i jeszcze jakiś - w sumie było ich czterech. Tak w ogóle, to było ich znacznie więcej, ale tylko ci czterej pisali odpowiednio, a pozostali byli pozbawieni różnych rzeczy, jeden świadomości narodowej, drugi prawa korespondencji... a człowiek, o którym pisali, niestety był szalony... Właściwie byłoby zajmujące opisać, jak Chrystus przychodzi na Ziemię dzisiaj, nie tak, jak o tym pisał Dostojewski, ale tak jak pisał ten Łukasz z kumplami... Chrystus przychodzi do sztabu generalnego i proponuje: kochajcie swoich bliźnich. A w sztabie, rzecz jasna, siedzi jakiś antysemita...

- Pan pozwoli, panie Baniew? - zahuczał nad nim sympatyczny, męski głos.

Był to pan burmistrz we własnej osobie. Nie tamten apoplektycznie purpurowy, kwiczący z niezdrowego podniecenia wieprz na ogromnym łożu Roschepera, lecz elegancko zaokrąglony, idealnie wygolony, ubrany bez zarzutu imponujący mężczyzna ze skromną wstążeczką w klapie i z emblematem Legiii na lewym ramieniu.

- Proszę - powiedział Wiktor bez cienia radości.

Pan burmistrz usiadł, rozejrzał się i położył dłonie na stole.

- Postaram się nie dokuczać panu zbyt długo swoją obecnością - oznajmił - i spróbuję nie przeszkodzić w pańskiej biesiadzie, jednakże problem, z którym zamierzam się do pana zwrócić, dojrzał już ostatecznie, abyśmy wszyscy, wielcy i mali, ci którym drogi jest honor i dobrobyt naszego miasta byli gotowi odłożyć własne sprawy, aby go jak najszybciej i najefektywniej rozwiązać.

- Słucham pana - rzekł Wiktor.

- Spotykamy się tu panie Baniew, raczej nieoficjalnie, ponieważ zdając sobie sprawę z tego, że jest pan nadzwyczaj zajęty, nie chciałem niepokoić pana w czasie pracy, szczególnie biorąc

pod uwagę jej specyfikę. Jednakże zwracając się obecnie do pana jako osobistość oficjalna - i w swoim własnym imieniu i w imieniu całego magistratu...

Kelner przyniósł butelkę białego wina i ostrzygi. Burmistrz zatrzymał go wzniesionym palcem.

- Przyjacielu - powiedział. - Pół porcji kitchigańskiej i kieliszek miętówki. Jesiotr bez sosu... A więc pozwolę sobie kontynuować - oznajmił, ponownie zwracając się do Wiktora. - Obawiam się co prawda, że naszą rozmowę trudno będzie uznać za pogawędkę przy stole, ponieważ mowa będzie o sprawach i okolicznościach nie tylko smutnych, ale, powiedziałbym, nieapetycznych. Zamierzałem porozmawiać z panem o tak zwanych mokrzakach, o tym złośliwym nowotworze, który już nie pierwszy rok zżera nasz nieszczęsny region.

- Tak, tak - przytaknął Wiktor. Zaczynało go to interesować.

Burmistrz niezbyt głośno wygłosił dobrze przemyślane i nieskazitelne stylistycznie przemówienie. Opowiedział, jak dwadzieścia lat temu, od razu po okupacji, w Końskim Wąwozie zbudowano leprozorium, obóz - kwarantannę dla osób cierpiących na tak zwany żółty trąd czyli chorobę okularniczą. Zresztą prawdę mówiąc choroba ta, jak dobrze wiadomo panu Baniewowi, pojawiła się w naszym kraju jeszcze w niepamiętnych czasach, przy czym, jak dowodzą specjalnie przeprowadzone badania, szczególnie często atakowała ona nie wiedzieć czemu mieszkańców właśnie naszego regionu. Jednakże wyłącznie dzięki wysiłkom pana prezydenta, chorobie tej poświęcono niezmiernie wiele uwagi i tylko na skutek jego osobistego zalecenia pozbawieni opieki lekarskiej, rozproszeni po całym kraju i częstokroć niesprawiedliwie prześladowani przez zacofane grupy ludności, zaś przez okupantów fizycznie likwidowani, nieszczęśnicy ci zostali wreszcie przewiezieni w jedno miejsce, gdzie stworzono im warunki znośnej egzystencji, odpowiedniej do ich sytuacji. Wszystko to nie budzi żadnego sprzeciwu, przedsięwzięte środki można jedynie pochwalać, jednakże, jak to u nas czasami się zdarza, najlepsze i najszlachetniejsze inicjatywy zwracają się przeciwko nam. Nie będziemy w tej chwili szukać winnych. Nie będziemy prowadzić śledztwa w sprawie działalności niejakiego doktora Golema, działalności być może ofiarnej, ale jednak brzemiennej, jak się teraz okazało, w nadzwyczaj nieprzyjemne skutki. Nie będziemy także zajmować się przedwczesnym krytykanctwem, chociaż stanowisko niektórych wystarczająco wysokich instancji uporczywie ignorujących nasze protesty nam osobiście wydaje się dość zagadkowe. Przejdźmy do faktów... - Burmistrz wypił miętówkę, ze smakiem zakąsił jesiotrem i jego głos stał się jeszcze bardziej aksamitny, nie sposób było wyobrazić sobie, że ten człowiek zastawia potrzaski na ludzi. Wielosłownie wyraził pragnienie nieprzeciążania uwagi pana Baniewa krążącymi po mieście plotkami, które to plotki, jak musi wyznać wprost, są rezultatem niedostatecznie precyzyjnego i jednoznacznego wykonywania zaleceń pana prezydenta przez wszystkie szczeble administracyjne, mamy na myśli nadzwyczaj rozpowszechniony pogląd o fatalnej roli tak zwanych mokrzaków, obciążanie ich odpowiedzialnością za gwałtowną zmianę klimatu, zwiększenie liczby poronień i procentu bezpłodnych małżeństw, za gwałtowny exodus niektórych zwierząt domowych, za inwazję szczególnego rodzaju pluskwy domowej a konkretnie - pluskwy skrzydlatej...

- Panie burmistrzu - powiedział z westchnieniem Wiktor. - Muszę panu wyznać, że jest mi niezmiernie trudno śledzić pańskie długie okresy. Może porozmawiajmy wprost, jak dobrzy synowie jednego narodu. Może nie będziemy mówić, o czym nie będziemy mówić, a będziemy - o czym będziemy.

Burmistrz obrzucił go szybkim spojrzeniem, coś sobie obliczył, coś pokojarzył, diabli go tam wiedzą, co tam skojarzył, ale zapewne wszystko co trzeba - i to, że Wiktor pił z Roscheperem i to, że w ogóle pił, hałaśliwie z cyrkiem i fajerwerkiem, na cały kraj, i to, że Irma jest wunderkindem, i to, że jest na świecie niejaka Diana i jeszcze zapewne niemało innych rzeczy - tak, że blichtr pana burmistrza po prostu w oczach mocno przyblakł i pan burmistrz krzyknął, żeby mu przynieśli kieliszek koniaku. Wiktor też poprosił o koniak. Burmistrz zarechotał, obejrzał pustą już salę, leciutko uderzył pięścią w stół i oznajmił.

- Rzeczywiście, co ja tu będę kręcił. Życie w mieście stało się niemożliwe - może pan za to podziękować pańskiemu Golemowi - nawiasem mówiąc, czy pan wie, że Golem to tajny komunista? Tak, tak, zapewniam pana, są na niego materiały... ten pański Golem wisi na włosku... A więc, powiadam - na naszych oczach demoralizują nasze dzieci. Te ścierwa przenikły do szkół i doszczętnie zdemoralizowały nam dzieci... wyborcy są niezadowoleni, niektórzy wyjeżdżają z miasta, zaczyna się ferment, tylko patrzeć, jak rozpoczną się samosady, oto jak wygląda sytuacja. - Osuszył kieliszek. - Muszę się panu przyznać, że ja ich nienawidzę, zabijałbym jak szczury, tylko nie chcę sobie brudzić rąk. Nie uwierzy pan, panie Baniew, doszedłem do tego, że zastawiam na nich potrzaski... No dobrze, zdemoralizowali dzieci, mówi się trudno. Dzieci to dzieci, można je demoralizować dzień i noc, a im wszystkiego mało. Ale niech pan się postawi w mojej sytuacji. Te deszcze, to jednak ich robota, chociaż nie wiem, jak oni to robią. Zbudowaliśmy sanatorium, lecznicze wody, cudowny klimat, spaliśmy na pieniądzech. Przyjeżdżali do nas ze stolicy, a jak się to wszystko skończyło? Deszcze, mgły, kuracjusze zakatarzeni, im dalej, tym gorzej, przyjechał tu znany fizyka.. zapomniałem nazwiska, zresztą pan na pewno go zna... pomieszkał dwa tygodnie i gotowe - choroba okularnicza, marsz do leprozorium. Świetna reklama dla sanatorium! Potem jeszcze jeden przypadek i jeszcze, no i koniec - kuracjuszy ani na lekarstwo. Restauracja za chwilę zbankrutuje, sanatorium ledwie dyszy - Bogu dzięki znalazł się trener kretyn, trenuje specjalną drużynę do gry w kraj ach o deszczowym klimacie... No i pan Roscheper oczywiście pomaga nam w jakimś stopniu... Pan mnie rozumie? Próbowałem dogadać się z tym Golemem - jak groch o ścianę - czerwony, to zawsze czerwony. Pisałem na górę - żadnych rezultatów. Pisałem wyżej - to samo. Jeszcze wyżej - odpowiadają, że przyjęli do wiadomości i skierowali sprawę do rozpatrzenia we właściwych instancjach na dole... Nienawidzę ich, ale się przemogłem i sam pojechałem do leprozorium. Wpuścili. Prosiłem, udowadniałem... Co za wstrętne typy! Mrugają swoimi wyliniętymi ślepiami jak na jakiegoś wróbla, jakbym był powietrzem... - pochylił się do Wiktora i wyszeptał. - Boję się buntu, krew się poleje. Pan mnie rozumie?

- Owszem - powiedział Wiktor. - Ale co ja mam z tym wspólnego?

Burmistrz rozparł się w fotelu, wyjął cygaro z aluminiowego futerału, zapalił.

- W mojej sytuacji - oznajmił - zostaje tylko jedno - uruchomić wszystkie dźwignie. Potrzebna jest jawność. Magistrat uchwalił petycję do departamentu ochrony zdrowia, podpisze ją pan Roscheper, mam nadzieję pan również, ale to jeszcze niewiele daje. Potrzebna jest jawność! Potrzebny jest dobry artykuł w stołecznej gazecie podpisany głośnym nazwiskiem. Pańskim nazwiskiem, panie Baniew. A problem jest pałacy, wymarzony dla takiego trybuna jak pan. Bardzo pana proszę. I w swoim własnym imieniu i w imieniu magistratu, i w imieniu nieszczęśliwych rodziców... Trzeba zrobić wszystko co w naszej mocy, żeby leprozorium zabrali stąd do wszystkich diabłów! Dokądkolwiek, ale żeby z mokrzaków nie zostało tu ani śladu, żebyśmy mogli zapomnieć o tej zarazie. Oto, co chciałem panu powiedzieć.

- Tak... rozumiem - wolno odparł Wiktor. - Bardzo dobrze pana rozumiem.

Ty bydlaku, myślał, ty gruba świni, naprawdę mogę cię zrozumieć. Ale co się stało z mokrzakami? Byli cisi, przygarbieni, chodzili boczkami, niczego takiego się o nich nie słyszało, tylko niektórzy mówili, że podobno mokrzaki śmierdzą, że podobno są zaraźliwi, podobno robią niezwykle zabawki i w ogóle różne rzeczy z drzewa... matka Fryda mówiła, o ile pamiętam, że umieją rzucać uroki, i przez nich mleko kwaśnieje, że mogą ściągnąć na nas wojnę, mór i głód... A teraz siedzą za drutem kolczastym, i co też oni robią tam u siebie? Oj, robią, robią i to dużo. Pogodę robią, i dzieci zwabiają do siebie (po co?), koty przepędzili (też dlaczego?), pluskwy zmusili do latania...

- Pewnie pan sądzi, że my tutaj siedzimy z założonymi rękami - powiedział burmistrz. - W żadnym wypadku. Ale co my możemy? Przygotowuję proces przeciwko Golemowi. Pan inspektor sanitarny Pawor Summan zgodził się zostać konsultantem. Położymy nacisk na infekcyjność choroby - w tej sprawie nie zostało jeszcze powiedziane ostatnie słowo, a Golem jako tajny komunista oczywiście ten fakt wykorzystuje. To jedno. Następnie próbujemy odpowiedzieć

terrorem na terror. Miejscowa Legia, nasza дума, chłopcy jak złoto jeden w drugiego, no, po prostu orły... ale to jakoś nie to. Przecież nie otrzymujemy żadnych instrukcji z góry... Policja znajduje się w fałszywej sytuacji... i w ogóle... A więc przeciwdziałamy jak tylko możemy. Zatrzymujemy ładunki, które do nich idą... prywatne, oczywiście, nie żywność i nie pościel rzecz jasna, ale rozmaite książki, oni zamawiają bardzo dużo książek... Dzisiaj na przykład zatrzymaliśmy ciężarówkę, i od razu jakoś lżej na duszy. Ale to wszystko drobiazgi, żeby się pocieszyć, a należałoby radykalnie...

- Tak - powiedział Wiktor. - Więc orły jeden w drugiego. Jak mu tam... Flamenda? Ten, no bratanek...

- Famenco Juventa - oznajmił burmistrz. - Mój zastępca do spraw Legii, orzeł! Pan go już poznał?

- Trochę poznałem - rzekł Wiktor. - Ale po co zatrzymujecie książki?

- Jak to po co? To oczywiście głupota, ale człowiek jest tylko człowiekiem i w którymś momencie nie wytrzymuje. A poza tym... - burmistrz uśmiechnął się wstydliwie. - Śmieszne, naturalnie, ale chodzą plotki, że oni bez książek nie mogą... jak normalni ludzie bez jedzenia i tak dalej...

Zapadła cisza. Wiktor bez apetytu dłużył widelcem w befsztyku i rozmyślał. Mało wiem o mokrzakach, a to co wiem, nie budzi we mnie sympatii. Być może chodzi o to, że niezbyt lubiłem ich w dzieciństwie. Ale za to burmistrza i jego bandę znam dobrze - sadło i śmietanka narodu, sfera prezydenta, czarna sotnia... Nie, jeśli wy jesteście przeciwko mokrzakom, to znaczy, że w mokrzakach coś jednak jest... Z drugiej strony mogę napisać artykuł, choćby nie wiem jak rozpasany, to i tak nikt nie zaryzykuje jego druku, a burmistrz będzie zadowolony, miałbym przynajmniej z tego jakąś korzyść, żyłbym sobie tutaj śpiewająco... Jaki prawdziwy pisarz może się pochwalić, że żyje jak pączek w maśle? Mógłbym się tu urządzić, dostać synekurę, zostać na przykład jakimś inspektorem magistrackim do spraw miejskich plaż i pisać sobie na zdrowie... o tym jak wspaniale żyje się człowiekowi pochłoniętemu ukochaną pracą... i wygłaszać na ten temat odczyty dla wunderkindów... E tam, wszystka polega na tym, żeby kiedy ci plużą w pysk, udawać, że to deszcz i spokojnie się wytrzeć. Na początku ze wstydem, potem ze zdziwieniem, a wreszcie, zanim się człowiek obejrzy, zacznie się wycierać z godnością i nawet będzie miał z tego satysfakcję.

- My, rzecz jasna, w żadnym razie nie nakłaniamy pana do pośpiechu - powiedział burmistrz. - Jest pan człowiekiem zapracowanym i tak dalej. Powiedzmy w granicach tygodnia, co? Wszystkie materiały otrzyma pan od nas, możemy nawet dostarczyć coś w rodzaju schematu, planu, według którego życzylibyśmy sobie... a pan tylko wygładzi wprawną ręką i rzecz nabierze właściwego blasku. A podpisaliby się pod tym artykułem trzej wybitni synowie naszego miasta - poseł do parlamentu Roscheper Nant, sławny pisarz Baniew i państwowy laureat doktor Rem Kwadryga...

Nieźle mu to idzie, pomyślał Wiktor. A my, ci z drugiej strony, nie mamy nawet cienia takiej wytrwałości. Byłoby bicie piany, chodzenie dookoła Wojtek - żeby tylko nie urazić człowieka, nie poddawać go przesadnej presji, żeby tylko, nie daj Boże, nie posądził nas o prywatę... Wybitni synowie miasta! A przecież ten łajdak jest absolutnie pewny, że ja artykuł napiszę i podpiszę, że nie mam wyjścia, że zesłany Baniew będzie musiał podnieść ręce do góry i w pocie duszy odpracować swój beztroski pobyt w rodzinnym mieście... I o schemacie wspomniał... dobrze wiemy, jaki to musi być schemat, żeby obryzganego prezydencką śliną Baniewa nawet teraz można było wydrukować. Ta - ak, panie Baniew, lubi pan koniak, lubi pan dziewczynki, i marynowane minogi z cebulką też pan lubi, więc musisz pan polubić pana burmistrza...

- Zastanowię się nad pańską propozycją - powiedział, uśmiechając się. - Pomysł wydaje mi się wystarczająco interesujący, ale zrealizowanie go wymaga pewnej ugody z sumieniem - obleśnie mrugnął do burmistrza.

Burmistrz zarechotał.

- No a jak! "Sumienie narodu, precyzyjne zwierciadło" i tak dalej... Pamiętam, jakże inaczej... - ponownie nachylił się do Wiktora z miną spiskowca. - Zapraszam pana na jutro do siebie - zahuczał. - Będą wyłącznie sami swoi. Tylko, uprzedzam, bez żon. No?

- Tu - oznajmił Wiktor wstając - jestem zmuszony stanowczo odrzucić pańską propozycję. Mam ważne sprawy - znowu oblesnie mrugnął. - W sanatorium.

Rozstali się nieomal jak przyjaciele. Pisarz Baniew został zaliczony do miejscowej elity i żeby doprowadzić do porządku roztrzęsione takim zaszczytem nerwy, zmuszony był wychleptać szklaneczkę koniaku natychmiast, jak tylko plecy pana burmistrza znikły za drzwiami. Można oczywiście wyjechać stąd do wszystkich diabłów, myślał Wiktor. Za granicę mnie nie wypuszczą, zresztą nie chcę wyjeżdżać za granicę, co ja tam będę robił, wszędzie jest tak samo. Ale i w tym kraju znajdzie się sporo miejsc, w których można się schować i przesiedzieć. Wyobraził sobie słoneczne przestrzenie, bukowe zagajniki, upajające powietrze, milczących farmerów, zapachy mleka i miodu... i nawozu, i komary, i smród wychodka, i straszliwą nudę... staroświeckie telewizory oraz miejscową inteligencję: cwany pop - dziwkarz, wiecznie pijany nauczyciel, samogon... Zresztą, co tu gadać, jest gdzie pojechać. Ale przecież tylko tego im trzeba, żebym gdzieś wyjechał, żebym zszedł z oczu, skrył się w mysiej dziurze, i to z własnej woli, bez przymusu, ponieważ gdyby mnie zesłali, podniósłby się krzyk, hałas, mieliby kłopoty... na tym polega cały kłopot, że będą bardzo zadowoleni - wyjechał, zamknął się, nikt o nim nie pamięta, przestał brzdąkać...

Wiktor zapłacił, poszedł do swojego numeru, włożył płaszcz i wyszedł na deszcz. Ni stąd ni zowąd nagle bardzo zapragnął znowu zobaczyć Irnę, porozmawiać z nią o postępie, wyjaśnić dlaczego tak dużo pije (a rzeczywiście, dlaczego ja tak dużo piję?) i być może siedzi tam u niej Bol-Kunac, ale Loli z pewnością nie będzie... Ulice były mokre, szare, puste, w ogródkach spokojnie konały jabłonie. Wiktor po raz pierwszy zauważył, że niektóre domy mają drzwi i okna zabite deskami. Jednak miasto bardzo się zmieniło - pochylone płoty, pod gzymsy zapelzła biała pleśń, wypływały kolory, a na ulicach niepodzielnie królował deszcz. Deszcz padał po prostu jak deszcz, deszcz kropił z dachów drobnymi wodnym pyłem, deszcz zbierał się na wietrze w mgliste wirujące słupy wędrujące od ściany do ściany, deszcz rozlewał się po jezdni i pomykał po wyżłobionych między kamieniami rowkach. Czarno - szare chmury powoli pełzły tuż nad dachami. Człowiek był nieproszonym gościem na ulicach i deszcz nie okazywał mu żadnych względów.

Wiktor wyszedł na plac i zobaczył ludzi, którzy stali pod daszkiem przed wejściem na komendę policji - dwóch policjantów w mundurowych płaszczach i niziutki, umorusany chłopak w roboczym kombinezonie. Przed wejściem, lewymi kołami na trotuarze stał niezgrabny furgon z brezentową budą. Jednym z policjantów był policmajster, patrzył w bok wysuwając naprzód potężną szczękę, a chłopiec, rozpaczliwie gestykulując, o czymś go przekonywał płaczącym głosem. Drugi policjant również milczał z niezadowolonym wyrazem twarzy i palił papierosa. Wiktor zbliżył się do nich i kiedy pozostało mu jeszcze mniej więcej piętnaście kroków, zaczął słyszeć, co mówi chłopiec. Chłopiec krzyczał:

- A co ja mam z tym wspólnego? Jechałem prawidłowo? Prawidłowo. Papiery mam w porządku? W porządku. Ładunek legalny, tu są faktury. Co, pierwszy raz tu przyjeżdżam, czy co?

Policmajster zauważył Wiktora i na jego twarzy pojawił się wyjątkowo nieprzyjemny grymas. Odwrócił się, i jakby w ogóle nie zauważając kierowcy, powiedział do policjanta.

- A więc zostajesz tutaj. Pilnuj, żeby wszystko było w porządku. Nie włącz do kabiny, bo wszystko po - kradną. I nikomu nie wolno zbliżać się do samochodu. Jasne?

- Jasne - odpowiedział policjant. Był wyjątkowo niezadowolony.

Szef policji zszedł ze schodków, wszedł do swojego samochodu i odjechał. Umorusany chłopak splunął ze złością i odwołał się do Wiktora.

- Niech chociaż pan powie, czy ja jestem winny, czy nie? - Wiktor przystanął i chłopca to zdopingowało. - Normalnie sobie jadę. Wiozę książki do obozu specjalnego. Wozilem już tysiące

razy. A teraz, znaczy, zatrzymują mnie i każą jechać na policję. Za co? Jechałem prawidłowo? Prawidłowo. Papiery mam w porządku? W porządku, tu jest faktura. Licencję mi zabrali, żebym nie uciekł. A dokąd mam uciekać?

- Przestań już się wydzierać - powiedział policjant. Chłopiec żywo odwrócił się do niego.

- Więc co ja takiego zrobiłem? Niech pan powie, czy przekroczyłem szybkość? Nie przekroczyłem. Przecież mi potrąca za przestój. I papiery mi zabraliście...

- Wszystko się wyjaśni - oznajmił policjant. - Słowo daję, czego ty się denerwujesz? Idź, posiedź sobie w knajpie i radzę ci, pilnuj swego nosa.

- Ech, władzuchna kochana! - zawołał chłopak i z rozmachem wcisnął kaszkiet na głowę. - Nie ma sprawiedliwości na świecie! Jeździsz na lewo - zatrzymują, na prawo jeździsz - też zatrzymują - zaczął schodzić ze stopni, ale przystanął i zwrócił się do policjanta. - Może mandat pan weźmie, albo jakoś inaczej?

- Idź, już idź - powiedział policjant.

- Bo mnie obiecali premię za pośpiech! Całą noc jechałem.

- Idź stąd, powiedziałem! - powtórzył milicjant.

Chłopak ponownie splunął, podszedł do swojej furgonetki, dwa razy kopnął przednie koło, potem nagle przygarbił się, wsunął ręce do kieszeni i pobiegł przez plac.

Policjant spojrział na Wiktora, spojrział na ciężarówkę, spojrział na niebo, papieros mu zgasł, wypluł niedopałek i odrzucając po drodze kaptur, wszedł do budynku komendy.

Wiktor stał przez czas jakiś, następnie powoli obszedł ciężarówkę dookoła. Ciężarówka była ogromna, potężna, kiedyś na takich wożono piechotę zmotoryzowaną. Wiktor rozejrzał się. Kilka metrów przed samochodem stał skręciwszy na bok przednie koło i moknął pod deszczem policyjny "Harley", i nic więcej w pobliżu nie było. Dogonić, to mnie dogonią, pomyślał Wiktor, ale diabła zjedzą, jeśli mnie zatrzymają. Nagle zrobiło mu się wesoło. A co, pomyślał znany pisarz Baniew znowu się schlał i porwał w celach rozrywkowych cudzy samochód, na szczęście obeszło się bez ofiar... Wiedział, że sprawa wcale nie wygląda tak prosto, że nie będzie pierwszym, który dostarczy władzom eleganckiego pretekstu, aby przymknąć niewygodnego człowieka, ale nie miał ochoty się zastanawiać, miał ochotę poddać się impulsowi. W ostatecznym razie napiszę tej kanalii artykuł, pomyślał mimochodem.

Szybko otworzył drzwi do szoferki i usiadł przy kierownicy. Klucza w stacyjce nie było, musiał zerwać kable zapłonu i połączyć druty. Kiedy silnik zapalił, Wiktor zanim zatrzasnął drzwi, spojrział za siebie na wejście do komendy. Stał tam ten sam policjant z tym samym wyrazem niezadowolenia na twarzy i z papierosem w kąciку warg. Było jasne, że jeszcze nic do niego nie dotarło. Wiktor zamknął drzwi, precyzyjnie zjechał na jezdnię, zmienił bieg i dał gazu w najbliższą ulicę.

To było bardzo przyjemne - pędzić po pustych ulicach wznosząc kołami wielkie wodospady z głębokich kałuż, obracać ciężką kierownicę napierając na nią całym ciałem - obok fabryki konserw, obok stadionu, na którym "Bracia w sapiencji" jak mokre mechanizmy wciąż kopali swoje piłki i dalej szosą, po wyrwach, podskakując na siedzeniu i słysząc jak z tyłu, w skrzyni ciężarówki, za każdym razem ciężko opada źle umocowany ładunek. W lusterku nie widać było pogoni, zresztą trudno byłoby ją zauważyć w takim deszczu. Wiktor czuł się bardzo młody, bardzo komuś potrzebny i nawet trochę pijany. Z dachu szoferki mrugały do niego śliczne dziewczyny wycięte z ilustrowanych pism, w schowku znalazł paczkę papierosów i było mu tak dobrze, że omal nie przegapił skrzyżowania, ale w porę przyhamował i skręcił zgodnie z drogowskazem "Leprozorium - 6 km". I wtedy poczuł się jak odkrywca nieznanych dróg, ponieważ nigdy tędy nie jeździł i nie chodził. A droga okazała się dobra, zupełnie inaczej niż magistracka szosa - początkowo bardzo równy i zadbanej asfalt, potem nawet beton i kiedy zobaczył betonowe płyty, od razu przypomniał sobie o żołnierzach i drucie kolczastym a po pięciu minutach to zobaczył.

Ogrodzenie - jeden rząd drutów - ciągnęło się po obu stronach betonowej drogi i zniknęło gdzieś w deszczu. Zamykała drogę wysoka brania z budką strażniczą, drzwi budki były otwarte i na

jej progu stał już żołnierz w hełmie, w długich butach i w wojskowej pelerynie, spod której wysuwała się lufa automatu. Jeszcze jeden żołnierz, bez hełmu, wyglądał przez okienko. "Nigdy jeszcze nie siedziałem w łagrze - zanucił Wiktor - ale lepiej nie mówcie - podziękuj za to Bogu..." Zwolnił i zahamował przed samą bramą. Żołnierz wyszedł z budki i podszedł do ciężarówki - bardzo młody, piegowaty żołnierz, mógł mieć najwyżej osiemnaście lat.

- Dzień dobry - powiedział. - Czemu tak późno?

- Wynikły pewne okoliczności - odpowiedział Wiktor zdumiony takim liberalizmem.

Żołnierz przyjrzał się Wiktorowi i nagle zeszytniał.

- Pańskie dokumenty - rzekł sucho.

- Jakie tam dokumenty - odparł wesoło Wiktor. - Mówię przecież - zaistniały okoliczności.

Żołnierz zacisnął wargi.

- Co pan przywiózł? - zapytał.

- Książki - oznajmił Wiktor.

- A przepustkę pan ma?

- Jasne, że nie mam.

- Aha - powiedział żołnierz i jego twarz się rozjaśniła. - Ja też patrzę... W takim razie proszę poczekać. W takim razie trzeba będzie poczekać.

- Niech pan weźmie pod uwagę - rzekł Wiktor unosząc wskazujący palec - że mogą mnie ścigać.

- Nie szkodzi, ja szybko - odpowiedział żołnierz i przytrzymując automat na piersi załomotał buciorami do wartowni.

Wiktor wysiadł z kabiny i stojąc na stopniu obejrzał się za siebie. Przez deszcz nie było nic widać. Wobec tego wrócił za kierownicę i zapalił papierosa. Wszystko wyglądało bardzo zabawnie. Przed nim, za drutami i za bramą także wirował deszcz, można było domyśleć się, że stoją tam jakieś ciemne budowle - ni to domy, ni to wieże, ale wypatrzeć cokolwiek konkretnego było nie sposób. Czyżby mieli mnie nie zaprosić do środka? - pomyślał Wiktor. To będzie świętstwo, jeśli mnie nie zaproszą. Można wprawdzie spróbować odwołać się do Golema, on na pewno gdzieś tu jest... Tak właśnie zrobię, pomyślał. Czyżbym nadaremnie okazał się bohaterem?...

Żołnierz znowu wyszedł z wartowni, a za nim wybiegł stary znajomy, przyszczaty chłopiec nihilista w samych kąpielówkach, bardzo teraz wesoły i bez żadnych śladów wszechświatowego smutku. Wyprzedziwszy żołnierza wskoczył na stopień ciężarówki, zajrzał do szoferki, poznał, zdumiał się i roześmiał.

- Dzień dobry, panie Baniew! To pan? Jak fajnie... Przywiózł pan książki, prawda? A my czekamy, czekamy...

- No jak, wszystko w porządku? - zapytał zbliżywszy się żołnierz.

- Tak, to nasz samochód.

- Wobec tego wjeżdżaj - powiedział żołnierz. - A pan niestety będzie musiał wyjść i zaczekać.

- Chciałbym zobaczyć się z doktorem Golemem - oznajmił Wiktor.

- Można go wywołać tutaj - zaproponował żołnierz.

- Hm - mruknął Wiktor i znacząco popatrzył na chłopca. Chłopiec rozłożył ręce ze skruchą.

- Nie ma pan przepustki - wyjaśnił. - A oni bez przepustki nikogo nie wpuszczają. My byśmy z radością....

Nie pozostało nic innego, jak wyleźć na deszcz. Wiktor zeskoczył na drogę, włożył kaptur i patrzył, jak rozwarła się brama, ciężarówka szarpnęła i podrygując wpęzła za ogrodzenie. I brama zamknęła się. Czas jakiś jeszcze Wiktor słyszał wycie silnika i skowyt hamulców, a potem nie było słyhać już nic oprócz plusku i szmeru. A więc tak, pomyślał Wiktor. A ja? Poczł rozczarowanie. Dopiero teraz zrozumiał, że zdecydował się na bohaterstwo nie całkiem bezinteresownie, że miał nadzieję dużo zobaczyć i dużo zrozumieć... przeniknąć, jeśli można tak powiedzieć, do epicentrum. No i diabli z wami, pomyślał. Popatrzył na drogę. Do skrzyżowania sześć kilometrów, od

skrzyżowania do miasta kilometrów dwadzieścia. Można oczywiście od skrzyżowania do sanatorium - dwa kilometry. Niewdzięczne świnię... Na deszczu... W tym momencie zauważył, że deszcz osłabł. Dzięki Bogu choć za to, pomyślał.

- Więc mam wywołać pana Golema? - zapytał żołnierz.

- Golema? - Wiktor się ożywił. Właściwie dobrze by było przegonić tego starego grzyba pod deszczem tam i z powrotem, a poza tym Golem ma samochód. I flaszkę. - A tak, poproszę.

- To jest do zrobienia - powiedział żołnierz. - Wywołamy go. Tylko, że on raczej nie przyjdzie, na pewno powie, że jest zajęty.

- To nic - odrzekł Wiktor. - Niech pan mu powie, że Baniew go prosi.

- Baniew? Dobrze, powiem. Ale on i tak nie przyjdzie. Ale dla mnie to żaden kłopot. Znaczący, Baniew w... - i żołnierz odszedł, taki sympatyczny żołnierz, nic tylko same piegi pod hełmem.

Wiktor zapalił papierosa i wtedy rozległ się trzask motocykla. Zza mgielnej zasłony z obłąkaną szybkością wynurzył się "Harley" z przyczepą, podjechał pod samą bramę i zahamował. Na siodełku siedział ten sam policjant z niezadowoloną twarzą, drugi, zakutany w brezent po same oczy siedział w przyczepie. Zaraz się zaczęło, pomyślał Wiktor naciągając głębiej kaptur. Ale nic mu to nie pomogło. Policjant z niezadowoloną twarzą zsiadł z motocykla podszedł do Wiktora i ryknął:

- Gdzie ciężarówka?

- Jaka ciężarówka? - ze zdumieniem zapytał Wiktor, żeby zyskać na czasie.

- Niech pan nie udaje! - wrzasnął policjant. - Widziałem pana! Sąd się panem zajmie! Porwanie aresztowanego samochodu!

- Proszę na mnie nie wrzeszczeć! - zaprotestował Wiktor z godnością. - Co to za chamstwo? Złóż na pana skargę.

Drugi policjant wyplątując się po drodze z brezentowych pokrowców podszedł i zapytał:

- Ten?

- Jasne, że ten! - stwierdził policjant z niezadowoloną twarzą wyciągając z kieszeni kajdanki.

- No - no! - powiedział Wiktor cofając się o krok. - Co to za samowola? Jak pan śmie?!

- Niech pan nie pogarsza swojej sytuacji stawianiem oporu - poradził drugi policjant.

- A ja nie poczuwam się do żadnej winy - bezczelnie oświadczył Wiktor i wsadził ręce do kieszeni. - Chyba mnie z kimś pomyliliście panowie.

- Uprowadził pan ciężarówkę - powiedział drugi policjant.

- Jaką ciężarówkę? - krzyknął Wiktor. - Jaką znowu ciężarówkę? Przyszedłem tu w gości do pana Golema, naczelnego lekarza. Zapytajcie wartowników. Co ma z tym wspólnego jakaś ciężarówka?

- A może to nie ten? - zwątpił drugi policjant.

- Jak to nie ten? - zaprotestował policjant z niezadowoloną miną. Trzymając w pogotowiu kajdanki ruszył na Wiktora. - No, dawać ręce! - polecił rzeczowym tonem.

W tym momencie trzasnęły drzwi wartowni i wysoki, przeraźliwy głos zawołał:

- Rozejść się!

Wiktor i policjant wzdrgnęli się. Na progu wartowni stał piegowaty żołnierz wystawiając spod peleryny automat.

- Odejść od bramy! - krzyknął.

- Ej, ty, spokojniej! - powiedział policjant z niezadowoloną twarzą. - Policja!

- Gromadzenie się przed bramą strefy specjalnej w ilości większej od jednego postronnego jest zabronione! Po trzykrotnym ostrzeżeniu będę strzelać! Cofnąć się od bramy!

- Lepiej odejdźcie panowie - z zatroskaniem poradził Wiktor, lekko popychając obu policjantów. Policjant z niezadowoloną twarzą popatrzył na niego strapiiony, odsunął jego rękę i zrobił krok w kierunku żołnierza.

- Czyś ty chłopcze oszalał? - zapytał. - Ten typ uprowadził ciężarówkę.
- Żadnych ciężarówek! - przeciągle i przeraźliwie wrzasnął sympatyczny i serdeczny żołnierz. - Ostatnie ostrzeżenie! Dwaj mają odejść na sto metrów od bramy!
- Słuchaj, Roch - powiedział drugi policjant. - Chodź, odejdziemy, niech ich trafi szlag. Facet nam nigdzie nie ucieknie.

Policjant z niezadowoloną twarzą, purpurowy z wściekłości nawet ponownie otworzył usta, ale wtedy w drzwiach pojawił się gruby sierżant z ogryzioną kanapką w jednym ręku i ze szklanką w drugiej.

- Szeregowy Dżura - zapytał przeżuwając. - Dlaczego nie otwieracie ognia?

Na piegowatej twarzy pod hełmem pojawiło się zezwierżenie. Policjanci rzucili się do motocykla, osiedłali go, zawrócili obok Wiktora, który stanął w pozie regulującego ruch i odjechali. Purpurowy policjant coś do niego krzyknął, czego nie sposób było usłyszeć w trzeszczeniu silnika. Odjechali o pięćdziesiąt kroków i zatrzymali się.

- Blisko - powiedział sierżant z - dezaprobatą. - Na co ty czekasz? Przecież za blisko.

- Dalej! - przeraźliwym głosem krzyknął żołnierz wymachując automatem. Policjanci odjechali dalej i znikli z oczu.

- Nauczyl się postronni gromadzić pod bramą - zawiadomił sierżant żołnierza patrząc na Wiktora. - No dobra - pełnij dalej służbę. - Wrócił na wartownię, a piegowaty żołnierz, uspokajając się z wolna, kilkakrotnie przespacerował się tam i z powrotem przed bramą.

Odczekawszy kilka minut Wiktor zapytał ostrożnie.

- Przepraszam bardzo, ale co słyhać z doktorem Golemem.

- Nie ma go - odburknął żołnierz.

- Jaka szkoda - powiedział Wiktor. - W takim razie chyba sobie pójdę... - popatrzył na mgłę i deszcz, w której skryli się policjanci.

- Jak to - pójdzie sobie pan? - zaniepokoił się żołnierz.

- A co - nie można? - również niespokojnie zapytał Wiktor.

- Dlaczego nie można? - odpowiedział żołnierz. - A co z ciężarówką? Pan odejdzie, a ciężarówka? Ciężarówki należy odprowadzać od bramy.

- A co ja mam do tego? - zapytał Wiktor coraz bardziej zaniepokojony.

- Jak to - co? Pan ją przyprowadził, pan ją... tego... Zawsze się tak robi, jakże inaczej?

Do diabła, pomyślał Wiktor, co ja z nim zrobię. Z odległości stu metrów dobiegał trzask silnika motocykla pracującego na jałowym biegu.

- Pan ją naprawdę porwał? - zapytał żołnierz z ciekawością.

- A tak! Policja zatrzymała kierowcę, a ja jak głupi postanowiłem wam pomóc...

- Ta - aak... - współczująco powiedział żołnierz. - Naprawdę nie wiem, co panu poradzić.

- A jeśli, powiedzmy, teraz sobie pójdę? - chytrze zapytał Wiktor. - Nie będzie pan strzelać?

- Nie wiem - uczciwie przyznał żołnierz. - Tak jakby nie było rozkazu. Zapytać? ,

- Zapytać - przytaknął Wiktor zastanawiając się, czy zdąży uciec poza granicę widoczności czy nie. W tej samej chwili za bramą odezwał się klakson. Brama otwarła się i ze strefy powoli wytoczyła się pechowa ciężarówka. Zatrzymała się obok Wiktora, drzwi się uchyliły i Wiktor zobaczył, że za kierownicą siedzi już nie chłopiec, jak oczekiwał, lecz łysy, przygarbiony mokrzak i patrzy na niego. Wiktor nie ruszył się z miejsca, wtedy mokrzak zdjął z kierownicy rękę w czarnej rękawicze i zapraszająco poklepał siedzenie obok siebie. Raczyli się zniżyć, gorzko pomyślał Wiktor. Żołnierz radośnie oznajmił:

- No więc wszystko dobrze się skończyło, niech pan jedzie z Bogiem.

Wiktorowi przeleciała przez głowę myśl, że jeśli już mokrzak sam zamierza odstawić samochód do miasta, czy gdzieś tam jeszcze, słowem, jeśli zamierza wdać się w konflikt z policją, to dobrze byłoby się natychmiast pożegnać i prosto przez pole dać nogę do sanatorium, omijając zaczajonego w zasadzce "Harleya".

- Tam na drodze czeka policja - powiedział do mokrzaka.
- Nie szkodzi, niech pan siada - odparł mokrzak.
- Rzecz polega na tym, że ja ukradłem tę ciężarówkę, chociaż była zatrzymana.
- Wiem - cierpliwie wyjaśnił mokrzak. - Niech pan siada.

Okazja była stracona. Wiktor uprzejmie i serdecznie pożegnał się z żołnierzem, wdrapał się na siedzenie i zatrzasnął drzwi. Ciężarówka ruszyła i po minucie zobaczyli "Harleya". "Harley" stał w poprzek szosy, obaj policjanci stali obok i gestami nakazywali zjechać na pobocze. Mokrzak zahamował, zgasił silnik, i wysuwając się z szoferki powiedział:

- Proszę zabrać motocykl, panowie zagrodziliście drogę.
- Zjechać na pobocze! - rozkazał policjant o niezadowolonej twarzy. - I okazać dokumenty.
- Jadę na komendę policji - powiedział mokrzak. - Być może tam sobie porozmawiamy?

Policjant nieco się stropił i wymruczał coś w rodzaju "znamy was". Mokrzak spokojnie czekał.

- Dobrze - powiedział wreszcie policjant. - Tylko ja poprowadzę samochód, a tamten niech się przesiądzie do motocykla.

- Proszę bardzo - zgodził się mokrzak. - Ale jeśli można, motocyklem pojedę ja.

- Jeszcze lepiej - mruknął policjant o niezadowolonej twarzy i nieomal się rozjaśnił. - Niech pan wysiada.

Zamienili się miejscami. Policjant złowieszczo zezując na Wiktora zaczął się kręcić i wiercić na siedzeniu poprawiając płaszcz, a Wiktor zezując na policjanta patrzył jak mokrzak, podobny z tyłu do wielkiej, chudej małpy, garbiąc się jeszcze bardziej i człapiąc idzie w stronę motocykla i usadawia się w przyczepie. Deszcz znowu lunął jak z cebra i policjant włączył wycieraczki. Kawalkada ruszyła.

Chciałbym wiedzieć, czym to wszystko się skończy, z jakąś niewygodą psychiczną pomyślał Wiktor. Niewyraźną nadzieję budził zamiar mokrzaka pojawienia się na policji. Jakieś rozwydrzone są te dzisiejsze mokrzaki... Ale grzywnę w każdym wypadku ze mnie zedrą, tego nie uniknę. Nie ma takiej policji, która nie zedrze z człowieka grzywny, jeżeli tylko ma okazję... A tam, olewam ich, tak czy inaczej będę musiał zwijać żagle. Wszystko będzie dobrze. W ostateczności chociażby jest mi lżej na duszy... Wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował policjanta. Policjant chrząknął z oburzeniem, ale papierosa wziął. Zapalniczka mu się popsowała, więc musiał chrząknąć po raz wtóry, kiedy Wiktor podał mu ogień. Właściwie można go było zrozumieć, tego niemłodego, gdzieś tak czterdziestopięcioletniego człowieka, który ciągle jeszcze był młodszym policjantem, prawdopodobnie byłego kolaboranta, sadzał nie tych co trzeba, i nie tym co trzeba włożył w dupę, zresztą, skąd taki może się znać na cudzych dupach - która właściwa, a która nie... Policjant palił papierosa i minę miał już mniej niezadowoloną. Ech, gdybym miał przy sobie flaszkę, pomyślał Wiktor. Dałbym mu golnąć, opowiedziałbym kilka irlandzkich kawałów, naurągałbym władzy, co to wyłącznie swoich protegowanych awansuje, studentom bym naubliżał i kto wie, może facet by się rozchmurzył.

- Ależ leje, coś niebywałego - powiedział Wiktor. Policjant chrząknął w miarę neutralnie, bez złości.

- Przecież jaki tu kiedyś był klimat - ciągnął Wiktor - i w tym momencie go olśniło. - A zauważył pan? U nich tam w leprozorium deszcz nie pada, a kiedy tylko podejżdza się do miasta, od razu ulewa.

- Szkoda słów - powiedział policjant. - Oni się tam w leprozorium nieźle urządzili.

Kontakt był coraz lepszy. Porozmawiali o pogodzie - jaka kiedyś była i jaka się, do wszystkich diabłów, zrobiła. Odkopali wspólnych znajomych w mieście. Pogadali o życiu w stolicy, o mini - spółniczkach, o trądzie homoseksualizmu, o importowanej brandy i o narkotykach z przemytu. Naturalnie zgodzili się, że nie ma teraz prawdziwego porządku - nie to co przed wojną i zaraz po wojnie. Że policjant ma pieskie życie, chociaż piszą w gazetach: szlachetni i surowi stróże porządku, niezastąpione koło napędowe państwowego mechanizmu. A tymczasem znowu podwyższyli wiek emerytalny, za to obniżyli emerytury, za zranienie przy pełnieniu obowiązków

służbowych dają grosze, i do tego odebrali teraz broń - komu w takich warunkach chce się wylać ze skóry... Słowem powstała taka sytuacja, że gdyby jeszcze parę dobrych łyków to policjant powiedziałby "Dobra chłopie, Bóg z tobą, ja ciebie nie widziałem i ty mnie nie widziałeś". Jednakże paru łyków nie było, a chwila dla wręczenia stosownego banknotu nie dojrzała, tak że kiedy ciężarówka podjechała pod komendę, policjant znowu sponurzał i sucho przykazał Wiktorowi iść za sobą i to szybko.

Mokrzak odmówił udzielenia wyjaśnień dyżurnemu oficerowi i zażądał, aby niezwłocznie zaprowadzono ich do komendanta. Dyżurny odpowiedział, że proszę bardzo, naczelnik z pewnością osobiście pana przyjmie, co zaś dotyczy tego tu pana, to jest on oskarżony o uprowadzenie samochodu, więc do naczelnika iść nie ma po co, natomiast należy go przesłuchać i sporządzić odpowiedni protokół. Nie, twardo i spokojnie powiedział mokrzak, nic z tych rzeczy, pan Baniew nie będzie musiał odpowiadać na żadne pytania, i żadnych protokółów pan Baniew nie będzie podpisywał, ponieważ istnieją w tej sprawie okoliczności dotyczące wyłącznie pana policmajstra. Dyżurny, któremu było dokładnie wszystko jedno, wzruszył ramionami i poszedł zameldować. W czasie, kiedy meldował, zjawił się kierowca w roboczym kombinezonie, który o niczym nie wiedział i był na niezłej bani, więc z miejsca zaczął krzyczeć o sprawiedliwości, niewinności i innych okropnych rzeczach. Mokrzak ostrożnie zabrał mu fakturę, którą szofer wymachiwał, przysiadł na barierce i podpisał papier według wszelkich formalności. Szofer tak się zdumiał, że aż zamilkł, i wtedy Wiktora z mokrzakiem zaproszono do policmajstra.

Policmajster przyjął ich surowo. Na mokrzaka patrzył z niezadowoleniem, a na Wiktora starał się nie patrzeć w ogóle.

- Czego panowie sobie życzą? - zapytał.

- Pozwoli pan, że usiądziemy? - poinformował się mokrzak.

- Proszę - z przymusem powiedział policmajster po krótkiej pauzie. Wszyscy usiedli.

- Panie policmajstrze - oznajmił mokrzak. - Jestem upoważniony do złożenia na pańskie ręce stanowczego protestu z powodu powtórnego, sprzecznego z prawem zatrzymania ładunków adresowanych do leprozorium.

- Tak, słyszałem o tym - stwierdził policmajster. - Kierowca był pijany, i byliśmy zmuszeni zatrzymać go. Przypuszczam, że w najbliższych dniach Wszystko się wyjaśni.

- Policja zatrzymała nie kierowcę, tylko ładunek - oświadczył mokrzak. - Jednakże nie jest to takie istotne. Dzięki uprzejmości pana Baniewa ładunek został dostarczony z niewielkim zaledwie opóźnieniem i powinien pan być zobowiązany obecnemu tu panu Baniewowi, ponieważ istotnie opóźnienie ładunku z pańskiej, panie policmajstrze, winy, mogłoby stać się przyczyną poważnych nieprzyjemności dla pana osobiście.

- To zabawne - powiedział policmajster. - Nie rozumiem i nie życzę sobie rozumieć, o czym pan mówi, ponieważ jako osoba oficjalna nie zamierzam słuchać pogrózek. Co zaś dotyczy pana Baniewa, to na tę okoliczność istnieją określone artykuły kodeksu karnego, w których takie przypadki są przewidziane. - Wyraźnie unikał patrzenia na Wiktora.

- Widzę, że pan naprawdę nie rozumie swojej sytuacji - oznajmił mokrzak. - Ale jestem upoważniony do zawiadomienia pana, że w przypadku kolejnego zatrzymania naszych ładunków będzie pan miał do czynienia z generałem Pferd.

Zapadło milczenie. Wiktor nie wiedział, kto to taki generał Pferd, natomiast policmajstrowi to nazwisko najwidoczniej było dobrze znane.

- Wydaje mi się, że to jest groźba - stwierdził niepewnie.

- Owszem - zgodził się mokrzak - i do tego groźba więcej niż realna. Policmajster gwałtownie wstał. Wiktor i mokrzak również.

- Przyjmuję do wiadomości wszystko, co dzisiaj usłyszałem - oznajmił policmajster. - Pański ton pozostawia wprawdzie sporo do życzenia, jednakże obiecuję osobom, które pana upoważniły, że zajmę się sprawą i jeżeli znajdą się winni, zostaną ukarani. W jednakowym stopniu dotyczy to również pana Baniewa.

- Panie Baniew - rzekł mokrzak. - Jeśli policja będzie panu robiła wstręty z powodu tego incydentu, proszę niezwłocznie zawiadomić doktora Golema. Do widzenia - powiedział do policmajstra.

- Wszystkiego dobrego - odpowiedział tamten.

O ósmej wieczorem Wiktor zszedł do restauracji i już zamierzał udać się do swojego stolika, przy którym rezydowało zwykle towarzystwo, kiedy odwołał go Teddy.

- Czołem Teddy - powiedział Wiktor opierając się o ladę. - Co słyhać - i w tym momencie przypomniał sobie. - A! Rachunek... Czy ja wczoraj bardzo?

- Rachunek to głupstwo - wymruczał Teddy. - Nic poważnego, rozbiłeś lustro i wyrwałeś umywalkę. Ale czy pamiętasz policmajstra?

- A co takiego? - zdziwił się Wiktor.

- No tak, wiedziałem, że nie zapamiętasz. Oczy miałeś, bracie, niczym gotowany prosiak, nic nie kombinowałeś. A więc ty - wycelował w pierś Wiktora palec wskazujący - zamknąłeś biedaka w kiblu, podparłeś drzwi miotłą i nie wypuszczałeś. A myśmy nie wiedzieli, kto tam siedzi, on dopiero co przyszedł, sądziliśmy, że to Kwadryga. No to i dobrze, my ślimy, niech sobie posiedzi.... A potem go stamtąd wyciągnąłeś, zacząłeś krzyczeć, ach, biedak, jak on się uświnił! - i wsadziłeś mu łeb do umywalki. Umywalka urwała się, a my ledwie cię odciągnęliśmy.

- Serio? - zapytał Wiktor. - No, no. To już wiem, dlaczego on dzisiaj patrzy na mnie wilkiem. Teddy współczująco pokiwał głową.

- O, do diabła - powiedział Wiktor. - Głupia historia. Chyba muszę go przeprosić... Ale jak mi się udało? Taki silny chłop...

- Boję się, żeby cię nie wrobili - rzekł Teddy. - Dziś rano łąził tu jeden tajniak, spisywał zeznania... sześćdziesiąty trzeci artykuł masz jak w banku - naruszenie godności osobistej w obciążających okolicznościach. A może być jeszcze gorzej. Akt terrorystyczny. Rozumiesz, czym to pachnie? Ja bym na twoim miejscu... - Teddy pokręcił głową.

- Co? - zapytał Wiktor.

- Podobno przychodził do ciebie burmistrz - oznajmił Teddy.

- Tak.

- No i co?

- Głupstwo. Chce, żebym napisał artykuł. Przeciwno mokrzakom.

- Aha! - powiedział Teddy i ożywił się. - No, to w takim razie rzeczywiście głupstwo. Napisz mu ten artykuł i wszystko będzie w porządku. Jeśli burmistrz będzie zadowolony, policmajster nie odważy się słowa pisać, choćbyś go codziennie wpychał do sedesu. Burmistrz ma go o tutaj... - Teddy pokazał ogromną kościstą pięść. - Więc wszystko w porządku. Z tej okazji naleję ci na rachunek zakładu. Czyszej?

- Może być czysta - odparł Wiktor z zadumą.

Wizyta burmistrza objawiła mu się teraz w nowym świetle. Więc oni ze mną w ten sposób, pomyślał Wiktor. Ta - ak... Albo się wynoś, albo rób co ci każą, albo cię wykończymy. Nawiasem mówiąc, wynieść się też nie będzie łatwo. Akt terrorystyczny - będą szukać i znajdą. Jesteś, bracie, alkoholikiem, aż przykro patrzeć. I żeby chociaż byle kogo, ale policmajstra. Mówiąc szczerze, wymyślone i zrealizowane całkiem nieźle. Nie pamiętał nic oprócz zalanych wodą kafelków na podłodze, ale bardzo dobrze wyobrażał sobie tę scenę. Tak, kochany mój Wiktorze Baniew, mój ty gotowany prosiaku, kuchenny opozycjonista, może nawet nie kuchenny tylko łazienkowy - pupilku pana prezydenta... tak, widocznie przyszedł twój czas i pora, że tak powiem, się sprzedać... Roc-Tusow, człowiek doświadczony, ma swoje zdanie na ten temat: sprzedawać należy się łatwo i drogo - im uczciwsze jest twoje pióro, tym drożej za nie zapłacą dzierżący władzę, więc nawet sprzedając się przynosisz straty przeciwnikowi i należy starać się, aby straty te były maksymalne... Wychylił kieliszek czyszej, nie czując najmniejszej satysfakcji.

- Dobra, Teddy - powiedział. - Dziękuję. Daj rachunek. Dużo tam tego?

- Twoja kieszeń wytrzyma - uśmiechnął się Teddy. Wyjął z kasy kartkę. - Należy się od ciebie: za lustro w toalecie - siedemdziesiąt siedem, za umywalkę, porcelanową, dużą - sześćdziesiąt cztery, razem, jak sam rozumiesz, sto czterdzieści jeden. A lampę zapisaliśmy na tamtą awanturę. Jednego tylko nie rozumiem - ciągnął, patrząc, jak Wiktor odlicza pieniądze - czym to lustro rozbiłeś? Wielka tafla gruba na dwa palce. Głową w nie tłułeś, czy co?

- Czyją? - ponuro zapytał Wiktor.

- Dobra, nie przejmuj się - rzekł Teddy biorąc pieniądze. - Napiszesz artykuł, zrehabilitujesz się, jeszcze honorarium podłapiesz i wyjdiesz na swoje. Jeszcze jedną?

- Nie trzeba, później... Przyjdę, jak zjem kolację - odparł Wiktor i poszedł na swoje miejsce.

W restauracji wszystko było jak zwykle - półmrok, zapachy, dźwięk naczyń w kuchni; młody mężczyzna z teczką i swoim nieodłącznym towarzyszem nad butelką wody mineralnej; zgarbiony doktor R. Kwadryga; wyprostowany, elegancki pomimo kataru Pawor; rozlewający się w fotelu Golem z gąbczastym nosem rozpitego proroka. Kelner.

- Minogi - rzucił Wiktor. - Butelkę piwa. I jakieś mięso.

- No i dograł się pan - powiedział Pawor z wyrzutem. - Mówiłem, żeby pan przestał pić. .

- Kiedy mi pan to mówił? Bo jakoś nie pamiętam.

- A czego się dograłeś? - zainteresował się doktor R. Kwadryga. - Nareszcie zamordowałeś kogoś?

- A ty nic nie pamiętasz? - zapytał Wiktor.

- Pytasz o wczoraj?

- Tak, o wczoraj... Spiełem się jak pszczoła - wyjaśnił Wiktor Golemowi - zapędziłem pana policmajstra do klozetu...

- A - a - a! - stwierdził R. Kwadryga. - To wszystko kłamstwo. Tak właśnie powiedziałem śledczemu. Dziś rano przyszedł do mnie śledczy. Rozumiecie panowie, straszliwa zgaga, głowa pęka, siedzę, wyglądam przez okno i wtedy pojawia się ten wał i zaczyna wrabiać człowieka, fastrygować przestępstwo...

- Jak pan powiedział? - zapytał Golem. - Fastrygować?

- No tak, fastrygować - oznajmił R. Kwadryga przekuwając wyobrażoną igłą wyobrażony materiał. - Tylko nie spodnie, a przestępstwo... Powiedziałem mu wprost: wszystko lipa, wczoraj cały wieczór przesiedziałem w restauracji, było cicho, przyzwyczajenie jak zawsze, żadnych skandali, jednym słowem okropna nuda... Będzie dobrze - pocieszał Wiktora. - Nie przejmuj się... A dlaczego to zrobiłeś? Nie lubisz go?

- Może nie mówmy już o tym - zaproponował Wiktor.

- To o czym mamy mówić? - zapytał urażony R. Kwadryga. - Ci dwaj bez przerwy się spierają, kto kogo nie wpuszcza do leprozorium. Jak już raz na sto lat wydarzyło się coś ciekawego - to od razu - nie mówmy.

Wiktor odgryzł połowę minogi, zjadł ją, odpił łyk piwa i zapytał:

- Kto to jest generał Pferd?

- Koń - odpowiedział R. Kwadryga. - Koń. Der Pferd. Albo das.

- A jednak - rzekł Wiktor - czy któryś z panów zna takiego generała?

- Kiedy służyłem w wojsku - powiedział doktor R. Kwadryga - naszą dywizją dowodził jego ekscelencja generał od infanterii Arschmann.

- No i co z tego? - zapytał Wiktor.

- Arsch po niemiecku dupa - oznajmił milcząco do tej chwili Golem. - Doktor żartuje.

- A gdzie pan usłyszał o generale Pferdzie? - zapytał Pawor.

- W gabinecie policmajstra - odparł Wiktor.

- No i co dalej?

- Nic. Więc nikt nie wie? I bardzo dobrze. Ja tylko tak sobie zapytałem.

- A feldfebel nazywał się Buttock - oznajmił R. Kwadryga. - Feldfebel Buttock.

- Angielski też pan zna? - zapytał Golem.

- Lepiej napijmy się - zaproponował Wiktor. - Kelner, butelkę koniaku!

- Po co butelkę? - zapytał Pawor.

- Żeby starczyło dla wszystkich.

- Znowu wywoła pan jakiś skandal.

- Niech pan przestanie, Pawor - powiedział Wiktor. - Abstynent się znalazł.
- Nie jestem abstynentem - zaprotestował Pawor. - Lubię wypić i nigdy nie przepuszczam okazji, żeby wypić, jak zresztą przystało na prawdziwego mężczyznę. Ale nie rozumiem, po co się upijać. A już zupełnie nie rozumiem, po co upijać się co wieczór.
- On tu znowu jest - oznajmił z rozpaczą R. Kwadryga. - I kiedy tylko zdążył?
- Nie będziemy się upijać - odparł Wiktor rozlewając wszystkim koniak. - Po prostu wypijemy. Jak to robi w tej chwili połowa narodu. Druga połowa upija się, no i Bóg z nią, a my po prostu sobie wypijemy.
- I na tym właśnie wszystko polega - stwierdził Pawor. - Kiedy kraj tonie w wódzie, i to nie tylko kraj, ale cały świat, każdy przyzwoity człowiek powinien zachować zdrowy rozsądek.
- Pan uważa nas za przyzwoitych ludzi? - zapytał Golem.
- W każdym razie za kulturalnych.
- Moim zdaniem - rzekł Wiktor - kulturalni ludzie mają znacznie więcej powodów, żeby się upijać niż niekulturalni.
- Możliwe - zgodził się Pawor. - Jednakże człowiek kulturalny jest obowiązany trzymać się w ryzach. Kultura zobowiązuje... My tu na przykład siedzimy każdego wieczora, rozmawiamy, pijemy, gramy w kości. A czy ktoś z nas przez cały ten czas powiedział coś jeżeli nawet nie mądrego, to chociażby na serio? Śmiechy, żarciki - ... wyłącznie żarty i śmiechy.
- A po co - serio? - zapytał Golem.
- A po to, że wszystko leci w przepaść, a my się śmiejemy i żartujemy. Uczujemy w czasie zarazy. Moim zdaniem, panowie, to wstyd.
- No dobrze, Pawor - stwierdził ugodowo Wiktor. - Niech pan powie coś serio. Może nie być mądre, ale chociażby na serio.
- Nie życzę sobie niczego na serio - zakomunikował R. Kwadryga. - Pijawki. Sępy. Tfu!
- Cicho - powiedział mu Wiktor. - Śpij jak ci dobrze... Słusznie, Golem, porozmawiajmy chociaż raz o czymś poważnym. Pawor, niech pan zaczyna i opowie nam o przepaści.
- Znowu pan żartuje? - zapytał Pawor z goryczą.
- Nie - odparł Wiktor. - Słowo honoru, nie żartuję. Być może jestem ironiczny. Ale to dlatego, że przez całe swoje życie słucham gadania o przepaściach. Wszyscy powtarzają, że ludzkość stoi nad przepaścią, ale udowodnić tego nikt nie potrafi. A kiedy przychodzi do konkretów, okazuje się, że ten cały filozoficzny pesymizm jest wynikiem kłopotów rodzinnych, lub braku środków finansowych...
- Nie - powiedział Pawor. - Nie... Ludzkość stoi nad przepaścią, ponieważ ludzkość zbankrutowała.
- Brak środków finansowych - wymamrotał Golem.

Pawor zignorował go. Pochylił głowę i mówił patrząc spode łba zwracając się wyłącznie do Wiktora.

- Ludzkość zbankrutowała biologicznie - wskaźnik urodzeń jest coraz niższy, wzrasta częstotliwość raka, niedorozwój, nerwice, ludzie stają się narkomanami. Połykają setki hektolitrów alkoholu, nikotyny, po prostu narkotyków, począwszy od haszyszu i kokainy, a skończywszy na LSD. Po prostu degenerujemy się. Naturalną przyrodę zniszczyliśmy, a sztuczna niszczy nas. Dalej. Zbankrutowaliśmy ideologicznie - roztrząsaliśmy wszystkie systemy filozoficzne, i wszystkie zdyskredytowaliśmy, wypróbowaliśmy wszystkie możliwe rodzaje moralności i etyki, ale pozostaliśmy tak samo amoralnymi bydlakami jak troglodyci. Ale najstraszniejsze jest to, że cała ta szara ludzka masa w naszych czasach jest równie łajdacka, jak zawsze była. Nieustannie pragnie i domaga się bogów, wodzów i porządku, i za każdym razem, kiedy otrzymuje bogów, wodzów i porządek, jest niezadowolona, ponieważ tak naprawdę niczego jej nie trzeba ani bogów, ani porządku, tylko chaosu, anarchii, chleba i igrzysk. Teraz spętana jest żelazną koniecznością otrzymywania co tydzień koperty z wypłatą, ale ta konieczność jest jej wstrętą, więc ucieka od niej każdego wieczora w alkohol i narkotyki. Zresztą diabli z nią, z tą kupą gnijącego gówna, które

cuchnie już dziewięć tysięcy lat i do niczego innego się nie nadaje - może tylko śmierdzieć i cuchnąć. Straszne jest co innego - rozkład ogarnia i nas, ludzi z dużej litery, prawdziwe osobowości. Widzimy ten rozkład i wydaje się nam, że nas on nie dotyczy, ale przecież i nas zatruwa beznadziejnością, osłabia naszą wolę, powoli wchłania... A do tego nowe przekleństwo - demokratyczne wychowanie: egalite, fraternite, wszyscy ludzie są braćmi, wszyscy ulepieni z tej samej gliny... Nieustannie utożsamiamy się z motłochem, i mamy do siebie pretensję, jeśli przypadkiem odkrywamy, że jesteśmy od niego mądrzejsi, że mamy inne potrzeby, inne cele w życiu. Pora to zrozumieć i wyciągnąć wnioski - pora się ratować.

- Pora się napić - oznajmił Wiktor. Już żałował, że zgodził się na poważną rozmowę z inspektorem sanitarnym. Na Pawora nieprzyjemnie było patrzeć. Za bardzo się gorączkował, zaczął nawet zezować. Wypadł z roli, a jak wszyscy apologety przepaści mówił straszliwe banały. Aż prosiło się, żeby mu powiedzieć - niech się pan przestanie kompromitować, Pawor, lepiej niech pan się ustawi profilem i ironicznie uśmiechnie.

- To wszystko, co mi pan ma do powiedzenia? - zapytał Pawor.

- Mogę jeszcze dać panu radę. Więcej ironii, Pawor. Niech się pan tak nie gorączkuje. I tak nic pan nie może zrobić. A nawet gdyby pan mógł, to nie wiedziałby pan co mianowicie.

Power uśmiechnął się ironicznie.

- A właśnie, że akurat wiem - powiedział.

- No?

- Jest tylko jeden sposób, żeby powstrzymać rozkład.

- Wiemy, wiemy - lekkomyślnie powiedział Wiktor - włożyć wszystkim idiotom złote koszule i kazać im maszerować. Cała Europa pod stopami. To już było.

- Nie - powiedział Pawor. - To tylko odroczenie. A wyjście jest jedno - zlikwidować masę.

- Jest pan dzisiaj w wyśmienitym nastroju - powiedział Wiktor.

- Zlikwidować dziewięćdziesiąt procent ludności - ciągnął Pawor. - Być może nawet dziewięćdziesiąt pięć. Masy wypełniły swoje przeznaczenie - zrodziły kwiat ludzkości, twórców cywilizacji. Teraz są martwe jak zgniła bulwa kartofla, która dała życie roślinie. A kiedy trup zaczyna gnić, to znaczy, że pora go pogrzebać.

- O Boże - powiedział Wiktor - i to wszystko z powodu kataru i dlatego, że nie dają panu przepustki do leprozorium? Albo może kłopoty rodzinne?

- Niech pan nie udaje głupiego - powiedział Pawor. - Dlaczego nie chce pan zastanowić się nad sprawami, o których panu świetnie wiadomo? Z jakiego powodu ulegają degeneracji najwspanialsze idee? Z powodu tępoty mas. Z jakiego powodu mamy wojny, chaos i inne obrzydliwości? Z powodu tępoty mas, które wybierają rządy godne siebie. Z jakiego powodu Złoty Wiek jest równie odległy jak w czasie stworzenia Ziemi? Z powodu obskurantyzmu mas. W zasadzie Hitler miał słuszość, podświadomą słuszość, czuł, że na świecie jest wielu zbytecznych. Ale był z krwi i kości motłochu, więc wszystko zepsuł. Głupie było likwidowanie według przynależności rasowej. A poza tym nie miał w dyspozycji odpowiednich środków masowej zagłady.

- A według jakich cech pan zamierza przeprowadzić selekcję? - zapytał Wiktor.

- Według nijakości - odparł Pawor. - Jeśli człowiek jest przeciętny, nijaki, to znaczy że go należy zlikwidować.

- A kto będzie decydować, czy człowiek jest przeciętny, czy nie?

- Niech pan się nie martwi, to są szczegóły. Ja panu formułuję zasadę, a kto, co i jak - to są szczegóły.

- A po co kombinuje pan z burmistrzem? - zapytał Wiktor, którego Pawor znudził.

- To znaczy?

- Na diabła panu ten proces? Rozmienia się pan na drobne, Pawor! Zawsze tak kończycie, wy, nadludzie. Zamierzacie przebudować świat, nie zgadzacie się na mniej niż trzy miliardy trupów, a tymczasem albo martwicie się o stanowisko, albo leczycie trypra, albo za niewielkie

wynagrodzenie pomagacie marnym kanciarzom załatwiać ich ciemne sprawy.

- Może jednak trochę ostrożniej na zakrętach - powiedział Pawor. Widać było, że jest straszliwie wściekły. - Przecież pan sam jest tylko pijakiem i nierobem...

- Ale przynajmniej nie organizuję dętych procesów politycznych i nie zamierzam przebudować świata.

- Tak - oznajmił Pawor. - Pan nawet do tego nie jest zdolny, Baniew. Pan to przecież zaledwie bohema, czyli krótko mówiąc, łajdak, tani opozycjonista, wichrzyciel i gówno. Sam pan nie wie czego chce, i robi pan tylko to, czego chcą od pana. Dogadzając gustom łajdaków podobnych sobie, wyobraża pan sobie, że jest wolnym artystą, co to rusza z posad świat, a nie po prostu obrzydliwym wierszokletą z tych, co to piszą na ścianach publicznych szaletów.

- To prawda - zgodził się Wiktor. - Szkoda tylko, że nie powiedział pan tego wcześniej. Musiałem pana obrazić, żeby to usłyszeć. No i wynika z tego, że jest pan nikczemnym tytkiem, Pawor. Jednym z wielu. I jeśli będą likwidować, to pana też zlikwidują. Na podstawie przeciętności. Filozofujący inspektor sanitarny? Do pieca z nim!

Ciekawe, jak my wyglądamy z boku, pomyślał. Pawor jest odrażający. Co za uśmiezek! Co mu się dzisiaj stało? Kwadrygaśpi, co mu tam kłótnie, masy i cała ta filozofia... A Golem rozwalił się w fotelu niczym w teatrze, kieliszek w palcach, ręka za oparciem, czeka, kto mu przyłoży. Jakoś Pawor trochę za długo milczy. Argumentów szuka, czy co?

- No dobrze - rzekł w końcu Pawor. - Porozmawialiśmy i wystarczy.

Uśmiezek znikł mu z twarzy, i oczy miał znowu jak sturmbahnfuhrer. Rzucił banknot na stół, dopił koniak i odszedł bez pożegnania. Wiktor poczuł przyjemne rozczarowanie.

- Jednak jak na pisarza fatalnie zna się pan na ludziach - oznajmił Golem.

- To nie moja rzecz - lekko powiedział Wiktor. - Niech na ludziach znają się psychologowie i departament bezpieczeństwa. Moja rzecz, to wychwytywanie tendencji zaostrzoną wrażliwością artysty... A w związku z czym pan to powiedział? Znowu: "Wiktor, niech pan przestanie brzdąkać"?

- Uprzedzałem - niech pan nie zaczepia Pawora.

- Co u diabła? - zaprotestował Wiktor - po pierwsze, wcale go nie zaczepiałem, tylko on mnie zaczepił. A po drugie to świnia. Czy pan wie, że Pawor pomaga burmistrzowi, który chce pana przymknąć?

- Domyślam się.

- I nie jest pan zaniepokojony?

- Nie. Mają za krótkie ręce. To znaczy burmistrz ma za krótkie ręce. I sąd.

- A Pawor?

- A Pawor ma ręce długie - powiedział Golem. - I dlatego niech pan przestanie przy nim brzdąkać. Widzi pan przecież, że ja przy nim nie brzdąkam.

- Ciekawe, przy kim pan brzdąka? - mruknął Wiktor.

- Czasami brzdąkam przy panu. Mam do pana słabość. Proszę mi nalać koniaku.

- Z przyjemnością - Wiktor nalał. - Może obudzimy Kwadrygę? Co on sobie myśli, nawet nie bronił mnie przed Faworem.

- Nie, nie trzeba go budzić. Lepiej porozmawiajmy. Po co pan się w to miesza? Kto pana prosił o porywanie ciężarówki?

- Tak mi się spodobało - oznajmił Wiktor - To świństwo, żeby aresztować książki. A oprócz tego zdenerwował mnie burmistrz. To był zamach na moją wolność. Zawsze, kiedy ktoś próbuje dokonać zamachu na moją wolność, zmieniam się w chuligana... A nawiasem mówiąc, Golem, czy generał Pferd wstawi się za mną u burmistrza?

- Generał Pferd kicha na pana razem z burmistrzem - odparł Golem. - Ma większe zmartwienia.

- No to proszę mu powiedzieć, żeby się za mną wstawił. Bo inaczej napiszę pogromowy artykuł przeciwko waszemu leprozorium: o tym jak wykorzystujecie krew chrześcijańskich

niemowląt w celu leczenia okularniczej choroby. Myśli pan, że nie wiem, po co mokrzaki zwabiają dzieci? Oni, po pierwsze, wysysają z nich krew, a po drugie, deprawują je. Okryję was hańbą przed całym światem. Krwio pijca i zboczeniec pod maską lekarza. - Wiktor stuknął się z Golem i wypił. - Bez żartów, mówię poważnie. Burmistrz zmusza mnie do napisania takiego artykułu. Pan, oczywiście, również o tym wie.

- Nie - stwierdził Golem. - Ale to nieważne.

- Jak widzę, dla pana wszystko jest nieważne - powiedział Wiktor. - Całe miasto jest przeciwko panu - nieważne. Chcą pana oddać pod sąd - nieważne. Inspektora sanitarnego Pawora irytuje pańskie zachowanie - nieważne. A może generał Pferd to pseudonim pana Prezydenta? A propos, czy ten wszechpotężny generał wie, że pan jest komunistą?

- A dlaczego irytuje się pisarz Baniew? - spokojnie zapytał Golem. - Tylko niech pan tak nie wrzeszczy, Teddy się ogląda.

- Teddy to nasz człowiek - wyjaśnił Wiktor. - On zresztą też jest zirytowany - myszy mu żyć nie dają. - Wiktor zmarszczył brwi i zapalił papierosa. - Chwileczkę, o co mnie pan pytał?... A, tak. Jestem zirytowany dlatego, że nie wpuścił mnie pan do leprozorium. A ja przecież zachowałem się bardzo szlachetnie. Powiedzmy nawet, że głupio, ale każdy szlachetny uczynek jest głupi. A jeszcze przed tym niosłem mokrzaka na plecach.

- I bił się pan w jego obronie - dodał Golem.

- O właśnie. Biłem się.

- Z faszystami - powiedział Golem.

- Właśnie z faszystami.

- A przepustkę pan ma? - zapytał Golem.

- Przepustkę... Pawora też nie wpuszczacie i on na moich oczach przemienił się w demofoba.

- Tak, Faworowi tu się nie wiedzie - przytaknął Golem. - Właściwie jest zdolnym funkcjonariuszem, ale tutaj nic mu nie wychodzi. Wciąż czekam, kiedy wreszcie zacznie popęlić głupstwa. Zdaje się, że już zaczyna.

Doktor R. Kwadryga podniósł rozkudłaną głowę i rzekł:

- Mocno. Wejść tam, a potem się zobaczy. Dach wybije - Jego głowa znowu ze stukiem upadła na stół.

- Między nami, Golem - zapytał Wiktor zniżając głos. - To prawda, że jest pan komunistą?

- O ile pamiętam, partia komunistyczna jest u nas zakazana - zauważył Golem.

- O Boże - powiedział Wiktor. - A jaka partia u nas nie jest zakazana? Przecież nie o partię pytam, tylko o pana...

- Ja, jak pan widzi jestem dozwolony - oznajmił Golem.

- Zresztą, jak pan sobie chce - stwierdził Wiktor. - Mnie tam wszystko jedno. Ale burmistrz... Zresztą, burmistrza ma pan gdzieś. Ale jeżeli to dojdzie do generała Pferda...

- Ale my mu przecież nie powiemy - konfidencjonalnie szepnął Golem. - Po co generałowi zawracać głowę drobiazgami? Generał wie, że jest leprozorium, a w leprozorium jakiś Golem, jakieś mokrzaki - no i wystarczy.

- Dziwny generał - rzekł z zadumą Wiktor. - Generał od leprozorium. A nawiasem mówiąc, z powodu mokrzaków już niedługo czekają go spore nieprzyjemności, Czuję to nadwrażliwym instynktem artysty. W naszym mieście mokrzaki stały się po prostu pępkiem świata.

- Gdyby tylko w mieście - powiedział Golem.

- A co chodzi? Przecież to tylko chorzy ludzie. I nawet, zdaje się, nie są zaraźliwi.

- Niech pan nie będzie taki chytry. Wiktor. Świetnie pan wie, że to nie są zwyczajnie chorzy ludzie. Nawet zaraźliwi nie są tak zwyczajnie.

- To znaczy?

- To znaczy, że na przykład Teddy nie może się od nich zarazić. I burmistrz nie może, nie mówiąc już o policmajstrze. A ktoś inny - może.

- Na przykład pan.
- Ja też nie mogę. Już.
- A ja?
- Nie wiem. Zresztą, to tylko moja hipoteza. Niech pan nie zwraca uwagi.
- Nie zwracam - smutnie powiedział Wiktor. - A co jeszcze jest w nich niezwykłego?
- Co jest w nich niezwykłego - powtórzył Golem. - Sam pan mógł zauważyć, że wszyscy

ludzie dzielą się na trzy wielkie grupy. Dokładniej, na dwie duże i jedną małą.... Są ludzie, którzy nie mogą żyć bez przeszłości, cali są w przeszłości mniej lub bardziej odległej. Żyją tradycją, obyczajem, przykazaniami, czerpią z przeszłości radość i przykład. Powiedzmy jak pan prezydent. Co by on począł, gdybyśmy nie mieli naszej wielkiej przeszłości? Do czego by się odwoływał i w ogóle skąd by się wziął? Następnie są ludzie, którzy żyją teraźniejszością, i nawet słyszeć nie chcą ani o przeszłości ani o przyszłości, i nic ich nie obchodzi ani przeszłość, ani przyszłość. Jak na przykład pan. Wszystkie wyobrażenia o przeszłości zepsuł panu prezydent, w jakąkolwiek przeszłość by pan zajrzał, zawsze zobaczy pan wyłącznie prezydenta. Jeżeli zaś chodzi o przyszłość, to nie ma pan o niej zielonego wyobrażenia, i na moje oko boi się pan mieć... No i wreszcie są ludzie, którzy żyją przyszłością. Po przeszłości nie oczekują, i zupełnie słusznie, niczego dobrego, a teraźniejszość to dla nich wyłącznie materiał, z którego budują przyszłość, surowiec. .. Zresztą tak naprawdę, oni już żyją w przyszłości... na wysepkach przyszłości, które powstają dokoła nich w czasie teraźniejszym... - Golem uśmiechając się jakoś dziwnie, wznosił oczy do sufitu. - Oni są mądrzy - powiedział z czułością. - Są diabelnie mądrzy w odróżnieniu od większości ludzi. Wszyscy co do jednego utalentowani, Wiktorze. Ich pragnienia są dziwne, a zwyczajnych pragnień w ogóle nie mają.

- Zwyczajne pragnienia - to na przykład kobiety...
- W pewnym sensie - tak...
- Wódka, igrzyska?
- Bez wątpienia.

- Straszna choroba - stwierdził Wiktor - ja nie chcę... Zresztą dalej nie rozumiem... Nic nie rozumiem. No, to że mądrych ludzi wsadza się za druty kolczaste - to oczywiście rozumiem. Ale dlaczego ich się wypuszcza, a do nich nie wpuszcza...

- A może to nie oni siedzą za drutem kolczastym, tylko pan? Wiktor uśmiechnął się.

- Chwileczkę - powiedział. - To jeszcze nie wszystko, czego nie rozumiem. Co tu na przykład robi Pawor? Mnie się nie wpuszcza - zgoda, jestem człowiekiem postronnym. Ale przecież ktoś musi sprawdzić stan białizny pościelowej i wychodków? Może macie tam anty-sanitarne warunki?

- A jeżeli interesują go wcale nie warunki sanitarne? Speszony Wiktor popatrzył na Golema.

- Znowu pan żartuje? - zapytał.
- Znowu nie - odpowiedział Golem.
- Więc kto to jest według pana - szpieg?
- Szpieg to zbyt ogólne pojęcie - zaprotestował Golem.
- Chwileczkę - rzekł Wiktor. - Proszę mówić wprost. Kto otoczył leprozorium drutem i postawił żołnierzy.

- Och, ten drut kolczasty - westchnął Golem. - Ile ubrań na nim porwano, a żołnierze bez przerwy chorują na biegunkę. Wie pan, jakie jest najlepsze lekarstwo na biegunkę? Tytoń z portweinem, a raczej portwein z tytoniem.

- Dobra - powiedział Wiktor. - To znaczy generał Pferd. Aha... - powiedział - i ten młody człowiek z teczką... A więc to tak! To znaczy, że to jest normalny wojskowy instytut naukowy. Jasne... A Pawor, znaczy się, nie jest wojskowym. Z innego, znaczy się, resortu. Albo być może, to nie nasz szpieg, tylko zagraniczny?

- Niech Bóg broni! - zaprotestował Golem ze zgrozą. - Tego nam jeszcze brakowało!

- Tak... A czy on wie, kim jest ten facet z teczką?

- Myślę, że tak - stwierdził Golem.

- A ten facet wie, kim jest Pawor?

- Myślę, że nie - stwierdził Golem.

- Pan mu nic nie powiedział?

- A co mnie to obchodzi?

- I generałowi też pan nie powiedział?

- Nawet mi do głowy nie przyszło.

- To niesprawiedliwe - oznajmił Wiktor. - Trzeba powiedzieć.

- Niech pan posłucha, Wiktor - powiedział Golem. - Tylko dlatego pozwoliłem panu gadać na ten temat, żeby pan się przestraszył i przestał pchać palce w cudze drzwi. Nie jest to do niczego potrzebne. I tak jest pan już namierzony, mogą pana uciszyć i to tak, że nawet nie zdąży się pan zdziwić.

- Mnie akurat jest łatwo wystraszyć - rzekł Wiktor z westchnieniem. - Jestem wystraszony od dziecka. Ale pomimo wszystko nie mogę zrozumieć - czego oni wszyscy chcą od mokrzaków?

- Jacy - oni? - zmęczonym głosem zapytał z wyrzutem Golem.

- Pawor. Pferd. Facet z teczką. Te wszystkie krokodyle.

- Boże - odparł Golem. - No, czego w naszych czasach mogą chcieć krokodyle od mądrych i utalentowanych ludzi? Za to ja nie rozumiem, czego pan od nich chce. Po co pan się wtrąca w to wszystko? Mało panu własnych kłopotów? Mało panu prezydenta?

- Dużo - odpowiedział Wiktor. - Potąd.

- No i świetnie. Niech pan jedzie do sanatorium, weźmie ze sobą ryżę papieru... Mogę panu podarować maszynę do pisania, chce pan?

- Ja piszę starym systemem - odrzekł Wiktor. - Jak Hemingway.

- No i świetnie. Podaruję panu ogryzek ołówka. Proszę pracować, kochać Dianę. Może jeszcze dać panu fabułę? Może pan się już wypisał?

- Fabuły rodzą się z tematu - dostojnie oznajmił Wiktor. - A ja studiuje życie.

- Proszę bardzo - powiedział Golem. - Niech pan studiuje życie, ile dusza zamarzy. Tylko niech się pan nie wtrąca do procesów.

- To niemożliwe - oświadczył Wiktor. - Przyrząd w nieunikniony sposób wpływa na obraz eksperymentu. Czyżby pan zapomniał o prawach fizyki? Przecież my obserwujemy nie świat jako taki, tylko świat plus wpływ obserwatora.

- Już raz dostał pan kastetem po głowie, a następnym razem mogą pana zwyczajnie zastrzelić.

- No - powiedział Wiktor. - Po pierwsze, być może wcale nie kastetem, tylko cegłą. A po drugie - czy mało jest miejsc, w których można dostać po głowie? W każdej chwili mogą mnie wrobić, więc co - mam nie wychodzić z pokoju?

Goleni przygryzł dolną wargę. Miał żółte, końskie zęby.

- Niech pan posłucha, przyrządzie - oznajmił. - Wtrącił się pan wtedy w eksperyment najzupełniej przypadkowo - i z miejsca dostał pan po głowie. Jeśli teraz wtrąci się pan świadomie...

- Nie wtrącałem się w żaden eksperyment - zaprzeczył Wiktor. - Szedłem sobie spokojnie do Loli i nagle widzę...

- Idiota - stwierdził Golem. - Idzie sobie i widzi. Trzeba było przejść na drugą stronę, wymóżdżona gapo!

- Dlaczego ni stąd ni zowąd miałbym przechodzić na drugą stronę?

- A dlatego, że jeden pański dobry znajomy zajmował się akurat wypełnianiem swoich bezpośrednich obowiązków, a pan tam wlaź jak baran.

Wiktor wyprostował się.

- Jaki znowu mój dobry znajomy? Tam nie było ani jednego znajomego.

- Znajomy znalazł się z tyłu, z kastetem. Ma pan znajomych z kastetami?

Wiktor jednym haustem dopił swój koniak. Ze zdumiewającą wyrazistością przypomniał sobie - Pawor, z czerwonym zagrypionym nosem, wyjmując z kieszeni chusteczkę i kastet ze stukiem spada na podłogę - ciężki, matowy, poręczny.

- Wykluczone - zaprotestował Wiktor i odkaslnął. - Zawracanie głowy. Pawor nie mógł...

- Nie wymieniałem żadnych nazwisk - zastrzegł się Golem. Wiktor położył ręce na stole i popatrzył na swoje zacisnięte pięści.

- Co mają z tym wspólnego jego bezpośrednie obowiązki? - zapytał.

- Najwidoczniej komuś potrzebny był żywy mokrzak. Kidnapping.

- A ja w tym przeszkodziłem?

- Próbował pan przeszkodzić.

- To znaczy, że oni go jednak porwali?

- I wywieźli. Może pan dziękować Bogu, że nie zabrali i pana - w celu uniknięcia przecieków informacji. Ich przecież nie interesują losy literatury.

- To znaczy, że Pawor... - wolno powiedział Wiktor.

- Żadnych nazwisk - surowo przypomniał Golem.

- Sukinsyn - stwierdził Wiktor. - Dobra, jeszcze zobaczymy... A po co był im potrzebny mokrzak?

- Jak to - po co? Informacja... Skąd wziąć informację? Sam pan wie - druty kolczaste, żołnierze, generał Pferd...

- To znaczy, że teraz go przesłuchują? - zapytał Wiktor. Golem długo milczał. Potem rzekł:

- On nie żyje.

- Zatruli go?

- Nic. przeciwnie - Golem znowu zamilkł. - To bałwany. Nie pozwalali mu czytać, więc umarł z głodu.

Wiktor szybko popatrzył na niego. Golem uśmiechał się smutnie. Albo płakał. Wiktor poczuł nagle przerażenie i żal, duszącą żal. Przygasło światło stojącej lampy. Było to podobne do ataku serca. Wiktorowi zabrakło powietrza i z trudem rozluźnił węzeł krawata. Boże mój, pomyślał, jaka to kanalia, co za szubrawiec, bandyta, zimny morderca.. a po tym wszystkim, po godzinie, umył ręce, uperfumował się, wstępnie obliczył, ile będzie warta wdzięczność zwierchników, siedział obok, pił ze mną jak z kolegą, łajdak, łgał, śmiał się ze mnie w kułak, szydził, a kiedy się odwracałem, sam do siebie puszczał oko, potem zaś współczująco pytał jak tam moja głowa... Niby przez czarną mgłę Wiktor widział, jak doktor R. Kwadryga powoli podniósł głowę, rozciągał w bezgłośnym krzyku spierzchłe wargi i zaczął konwulsyjnie macać drżącymi rękami po obrusie jak ślepy. Oczy miał jak ślepiec, kiedy potrząsał głową i wciąż krzyczał, i krzyczał, a Wiktor nic nie słyszał... Dobrze mi tak, sam jestem gównem, nikomu niepotrzebny, mały człowiek, po mordzie mnie, butem, trzymając przy tym za ręce, nie pozwalając mi się obetrzeć, na jakiego diabła jestem komuś potrzebny, trzeba było bić jeszcze mocniej, żebym już nie wstał. a ja jak przez sen, pięści z waty, i Boże mój, po jakiego diabła ja w ogóle żyję, po jakiego diabła żyją wszyscy, przecież to takie proste, podejść z tyłu i rąbnąć w głowę żelazem, i nic się nie zmieni, nic na świecie się nie zmieni, tysiąc kilometrów stąd, w tej samej sekundzie, urodził się taki sam szubrawiec... Tłusta twarz Golema obrzmiała jeszcze bardziej i poczerwieniała do ciemnej szczeciny, oczy mu zapłonęły. Leżał nieruchomo w fotelu jak bukłak ze zjełczałą oliwą, poruszały się tylko palce, kiedy powoli brał kieliszek za kieliszkiem, bezdźwięcznie odłamywał nóżkę, wypuszczał i znowu brał, znowu łamał i wypuszczał... Nikogo nie kocham, nie mogę pokochać Diany, mało z kim sypiam, spać wszyscy umieją, ale czy można kochać kobietę, która ciebie nie kocha, a kobieta nie może kochać, kiedy ty jej nie kochasz, i tak wszystko się kręci w przeklętym, nieludzkim kole, tak jak kręci się żmija, jak goni za swoim własnym ogonem, jak zwierzęta kopulują i uciekają od siebie, tylko że zwierzęta nie wymyślają słów i nie układają wierszy, tylko po prostu kopulują i uciekają od siebie... A Teddy płakał oparty łokciami o ladę baru, oparł kościsty podbródek na kościstych pięściach, jego łysa głowa szafranowo lśniła pod lampą, a po

zapadniętych policzkach nieustannie płynęły łzy i też lśniły pod lampą... A wszystko dlatego, że jestem gównem, a nie pisarzem, jaki ze mnie u diabła pisarz, jeśli nienawidzę pisania, jeśli pisanie to dla mnie męka, wstydlive, nieprzyjemne zajęcie, coś w rodzaju bolesnego fizjologicznego wypróżnienia, coś w rodzaju biegunki, w rodzaju wyciskania ropy z wrzodzianki, nienawidzę, strach pomyśleć, że będę musiał to robić przez całe życie, że już jestem skazany, że teraz już mnie nie zwolnią, tylko wciąż będą się domagać - daj, daj i ja będę dawać, ale teraz nie mogę, nawet myśleć o tym nie mogę, bo zwymiotuję. .. Bol-Kunac stał za plecami R. Kwadrygi i patrzył na zegarek, smukły, mokry, z mokrą, świeżą twarzą o przepięknych ciemnych oczach i wiało od niego, rozrywając gęstą gorącą duchotę, rześkim zapachem - zapachem trawy i źródlanej wody, zapachem lilii, słońca i koników polnych nad jeziorem... I świat powrócił. Tylko jakieś niejasne wspomnienie, albo odczucie, czy może wspomnienie odczucia zniknęło za zakrętem - czyjś rozpaczliwy, zamilkły nagle krzyk, niepojęty zgrzyt, brzęk, chrzęst szkła...

Wiktor oblizał wargi i sięgnął po butelkę. Doktor R. Kwadryga leżąc głową na obrusie chrypiał i mamrotał: "Nic nie trzeba. Ukryjcie mnie. Niech ich..." Zatroškany Golem zmiatał ze stołu kawałki szkła. Bol-Kunac powiedział:

- Przepraszam bardzo, ale przyniosłem panu list - położył przed Golem kopertę i znowu spojrzał na zegarek. - Dzień dobry panu, panie Baniew - rzekł.

- Dobry wieczór - odpowiedział Wiktor nalewając sobie koniaku.

Golem uważnie czytał list. Teddy za ladą hałaśliwie wycierał nos wielką, kraciastą chustką.

- Posłuchaj, Bol-Kunac - powiedział Wiktor. - Czy widziałeś, kto mnie wtedy uderzył?

- Nie - odparł Bol-Kunac, patrząc mu w oczy.

- Jak to - nie? - zapytał Wiktor i zachmurzył się.

- Stał do mnie plecami - wyjaśnił Bol-Kunac.

- Ty go znasz - stwierdził Wiktor. - Kto to był?

Golem wydał z siebie nieokreślony dźwięk. Wiktor obejrzał się szybko. Golem, nie zwracając na nikogo uwagi, z zadumą rwał list na drobne kawałki. Strzępy schował do kieszeni.

- Jest pan w błędzie - powiedział Bol-Kunac. - Nie znam go.

- Baniew - mamrotał R. Kwadryga. - Proszę cię... Ja tam nie mogę sam jeden. Jedź ze mną... Bardzo okropnie...

Golem wstał, pogrzebał palcem w kieszonce marynarki, a potem krzyknął:

- Teddy! Proszę zapisać na mój rachunek... i pamiętaj, że stłukłem cztery kieliszki... No, to ja idę - rzekł do Wiktora. - Niech pan się zastanowi i radzę podjąć rozsądną decyzję. Być może lepiej będzie, jeśli pan stąd wyjedzie.

- Do widzenia, panie Baniew - grzecznie powiedział Bol-Kunac. Wiktorowi wydało się, że chłopiec ledwie dostrzegalnie pokręcił przecząco głową.

- Do widzenia, Bol-Kunac - odparł. - Do widzenia.

Tamci wyszli. Wiktor w zadumie dopił koniak. Podszedł kelner, twarz miał opuchniętą, w czerwonych plamach. Zaczął sprzątać ze stołu i jego ruchy były zaskakująco niezręczne i niepewne.

- Pan tu jest niedawno? - zapytał Wiktor.

- Tak, panie Baniew. Od dzisiejszego rana.

- A co z Peterem? Zachorował?

- Nie, proszę pana. Peter wyjechał. Nie wytrzymał. Ja pewnie też wyjadę... Wiktor spojrzał na R. Kwadrygę.

- Proszę go później odprowadzić do pokoju.

- Tak, oczywiście, panie Baniew - niezdecydowanie odpowiedział kelner.

Wiktor zapłacił, pomachał Teddyemu na pożegnanie i wyszedł do hallu. Wszedł na pierwsze piętro, znalazł drzwi Pawora, podniósł rękę, żeby zapukać, stał tak przez chwilę i nie zapukawszy, ponownie zszedł na dół. Recepcjonista za swoim kantorem oglądał ze zdumieniem własne dłonie. Dłonie miał mokre, oblepione kosmykami włosów, a na twarzy, na obu policzkach

nabrzmiwały świeże zadrapania. Spojrzał na Wiktora - w oczach miał szaleństwo. Ale teraz nie wolno było dostrzegać tych niepojętych rzeczy, to byłoby nietaktowne i okrutne, i tym bardziej nie wolno było o tym mówić, koniecznie należało udawać, że nic się nie stało, wszystko trzeba odłożyć na później, na jutro, albo być może nawet na pojutrze. Wiktor zapytał:

- Gdzie zatrzymał się ten... - wie pan, młody facet w okularach, ten co zawsze chodzi z teczką. Recepcjonista nieco się spłoszył. Jakby w poszukiwaniu wyjścia popatrzył na tablicę z kluczami, potem jednak powiedział:

- W trzysta szesnastym, panie Baniew.

- Dziękuję - rzekł Wiktor kładąc na kantorze monetę.

- Tylko oni nie lubią, żeby im przeszkadzać.

- Wiem - odparł Wiktor. - Nie mam zamiaru im przeszkadzać. Po prostu, tak sobie zapytałem... chciałem, wie pan, powróżyć sobie - jeśli w parzystym, to wszystko będzie dobrze.

Recepcjonista uśmiechnął się blade.

- Ależ jakie może pan mieć kłopoty, panie Baniew - powiedział uprzejmie.

- Rozmaite - westchnął Wiktor. - I większe, i mniejsze. Dobrej nocy.

Wszedł na trzecie piętro i kroczył niespiesznie, celowo niespiesznie, jakby po to aby wszystko przemyśleć, rozważyć, zastanowić się nad ewentualnymi konsekwencjami i obliczyć trzy ruchy naprzód, w rzeczywistości jednak myślał tylko o tym, że dawno już pora zmienić bardzo wyliniały i wytarty chodnik na schodach. I dopiero wtedy, kiedy miał już zapukać do drzwi apartamentu trzysta dwunastego (lux, dwie sypialnie i salon, telewizor pierwszej klasy, radioodbiornik, lodówka i barek), omal nie powiedział na głos: "Czy mam przyjemność z krokodylami? Bardzo mi przyjemnie. Dzięki mnie zaraz zaczniecie się wzajemnie zjadać".

Pukać musiał dosyć długo - najpierw delikatnie, kostkami palców, a kiedy nikt nie reagował - bardziej zdecydowanie, pięścią, a kiedy i to nie poskutkowało - tylko deska podłogi zaskrzypiała i ktoś zasapał w dziurkę do klucza - wtedy odwróciwszy się tyłem, obcasem, już zupełnie na chłama.

- Kto tam? - zapytał wreszcie głos za drzwiami.

- Sąsiad - odpowiedział Wiktor. - Ja na chwilę.

- Czego pan chce?

- Mam panu do powiedzenia parę słów.

- Proszę przyjść rano - odezwał się głos za drzwiami. - My już śpimy.

- Niech to diabli wezmą - powiedział Wiktor rozgniewany. - Chce pan, żeby mnie ktoś tu zobaczył? Proszę otworzyć, czego się pan boi?

Szczęknął klucz, drzwi się uchyliły i w szczelinie ukazało się mętne oko wysokiego profesjonalisty. Wiktor pokazał mu otwarte dłonie.

- Parę słów - powiedział.

- Niech pan wejdzie - odparł wysoki. - Tylko bez wygłupów.

Wiktor wszedł do przedpokoju, wysoki zamknął za nim drzwi i zapalił światło. Przedpokój był ciasny i we dwóch z trudem się w nim mieścili.

- No, to niech pan mówi - powiedział wysoki. Był w pizamie wymazanej czymś na samym przodzie. Wiktor zdumiał się - poczuł zapach alkoholu. Prawą rękę wysoki trzymał jak należy, w kieszeni.

- Będziemy tu tak stać i rozmawiać? - rzekł Wiktor.

- Tak.

- Nie - stwierdził Wiktor. - Tu rozmawiać nie będę.

- Jak pan chce - powiedział wysoki.

- Jak pan chce - oznajmił Wiktor. - Mnie nie zależy.

Przez chwilę milczeli. Wysoki już całkiem jawnie obmacywał Wiktora oczami.

- Zdaje się, że nazywa się pan Baniew? - zapytał.

- Zdaje się.

- Aha - powiedział ponuro wysoki - To jaki z pana sąsiad? Przecież mieszka pan na drugim

piętrze.

- Sąsiad z hotelu - wyjaśnił Wiktor.

- Aha... no więc, czego pan sobie życzy, bo nie rozumiem.

- Życzę sobie pana o czymś zawiadomić - powiedział Wiktor. - Jest pewna informacja. Ale już zaczynam się zastanawiać, czy warto.

- No dobra - rzekł wysoki. - Chodźmy do łazienki.

- Wie pan co? - stwierdził Wiktor. - Ja chyba sobie pójdę.

- A dlaczego nie chce pan iść do łazienki? Co to za kaprysy?

- Wie pan - oznajmił Wiktor - rozmyślałem się. Chyba jednak pójdę. Koniec końców to nie moja sprawa - ruszył do drzwi.

Wysoki aż zastękał, rozdzierany sprzecznymi uczuciami.

- Pan jest, jaki mi się zdaje, pisarzem - powiedział. - Czy może z kimś pana mylę?

- Pisarzem, pisarzem - przytaknął Wiktor. - Do widzenia.

- Ależ niech pan poczeka. Trzeba było od razu tak mówić. Proszę. O, tutaj.

Weszli do salonu dokładnie obwieszzonego portierami - z prawej strony portiery, z lewej portiery, portiery na ogromnym oknie. Ogromny telewizor w kącie błyskał kolorowym ekranem, dźwięk był wyłączony. W przeciwległym kącie patrzył na Wiktora z miękkiego fotela pod lampą młody człowiek w okularach - również ubrany w piżamę i kapcie. Obok niego, na stoliku do gazet stała prostokątna butelka i syfon. Teczki nigdzie nie było widać.

- Dobry wieczór - powiedział Wiktor. - Młody człowiek w milczeniu skłonił głowę.

- To do mnie - oznajmił wysoki. - Nie zwracaj uwagi.

- Proszę tutaj - rzekł wysoki. Weszli do sypialni po prawej stronie i wysoki usiadł na łóżku.

- Tam jest fotel - powiedział. - Niech pan siada i mówi.

Wiktor usiadł. W sypialni ciężko śmierdziało zastałym tytoniowym dymem i oficerską wodą kolońską. Wysoki siedział na łóżku i patrzył na Wiktora nie wyjmując ręki z kieszeni. W salonie szeleściła gazeta.

- Dobra - oznajmił Wiktor. Czuł, że nie udało mu się całkowicie przezwyciężyć obrzydzenia ale jeśli już tu przyszedł, trzeba było mówić. - Mniej więcej domyślam się, kim panowie jesteście. Być może się mylę, i w takim razie wszystko w porządku. Ale jeżeli się nie mylę, może przyda się wam wiadomość, że was śledzą i starają się wam przeszkodzić.

- Założmy - stwierdził wysoki. - A więc kto nas śledzi?

- Bardzo się wami interesuje niejaki Pawor Summan.

- Kto? - zapytał wysoki. - Ten inspektor sanitarny?

- On nie jest inspektorem sanitarnym. I to jest właściwie wszystko, co chciałem panu powiedzieć. - Wiktor wstał, ale wysoki się nie ruszył.

- Założmy - powtórzył. - A skąd właściwie pan to wie?

- To ważne? - spytał Wiktor. Wysoki czas jakiś rozmyślał.

- Założmy, że nieważne - odparł w końcu.

- Sprawdzanie to wasza rzecz - rzekł Wiktor. - A ja nic więcej nie wiem. Do widzenia.

- Ależ dokąd się pan śpieszy - powiedział wysoki. Pochylił się nad nocnym stolikiem, wyjął butelkę i szklanę - Najpierw chciał pan za wszelką cenę wejść, a teraz już pan chce iść... Nie szkodzi, że z jednej szklanki?

- Zależy co - odrzekł Wiktor i znowu usiadł.

- Szkocka - oznajmił długi. - Pasuje?

- Prawdziwa szkocka?

- Prawdziwy scotch. Niech pan trzyma - wręczył Wiktorowi szklanę.

- Nieźle się wam żyje - stwierdził Wiktor i wypił.

- Gdzie nam do pisarzy - odparł wysoki i też wypił. - Opowiedziałby mi pan wszystko dokładnie...

- Mowy nie ma - zaproponował Wiktor - za to płacą wam pensje. Podałem wam nazwisko,

adres znacie sami, więc się nim zajmijcie. Tym bardziej że naprawdę nic już więcej nie wiem. Może tylko... - przerwał i udał, że go nagle olśniło. Wysoki natychmiast połknął haczyk.

- No? - zapytał. - No?

- Wiem, że porwał jednego mokrzaka i że organizował to razem z miejscową Legią. Jak mu tam... Flamenta... Juventa...

- Flamento Juventa - podsunął wysoki.

- O to, to.

- O tym mokrzaku - to pewna wiadomość?

- Tak. Próbowałem im przeszkodzić i pan inspektor sanitarny trzasnął mnie po głowie kastetem. A potem, kiedy leżałem nieprzytomny, wywieźli mokrzaka samochodem.

- Tak, tak - powiedział wysoki. - Więc to był Summan... Niech pan posłucha, Baniew, wspaniały z pana człowiek! Chce pan jeszcze whisky?

- Chcę - przytaknął Wiktor. Cokolwiek by sobie nie wmawiał, jak by się nie podkręcał, jak by się nie podbechtywał, czuł się wstrętne. No i bardzo dobrze - pomyślał. Dzięki chociaż za to, że przyna jmniej nie mam kwalifikacji na kapusia. Żadnej przyjemności, chociaż teraz rzeczywiście zaczęły się wzajemnie zagryzać. Golem miał rację - niepotrzebnie się w to wdałem. Czy też może Golem jest chytrzejszy niż przypuszczałem?

- Proszę - rzekł wysoki podając mu pełną szklanę.

*

- Która godzina? - zapytała sennie Diana.

Wiktor starannie zdjął brzytwą pasemko mydła z lewego policzka, spojrzął w lustro, a potem powiedział.

- Śpij, mała, śpij. Jest jeszcze wcześniej.

- Rzeczywiście - przytaknęła Diana. Kanapa zaskrzypiała. - Dziewiąta. A co ty robisz?

- Gole się - oznajmił Wiktor, zdejmując następne pasemko mydła. - Nagle zachciało mi się ogolić. Co tam, myślę. Wezmę i się ogolę.

- Wariat - stwierdziła Diana ziewając. - Trzeba się było ogolić wieczorem. Całą mnie podrapałeś swój ą szczecinę. Kaktus.

Widział w lustrze jak Diana niepewnym krokiem podeszła do fotela, wlaźła na niego z nogami i zaczęła patrzeć na Wiktora. Wiktor mrugnął do niej. Znowu była inna - czuła, miękka, serdeczna, zwinęła się jak syta kotka, zadbana, ugłaskana, wypieszczona - zupełnie inna niż ta, która wpadła wczoraj wieczorem do pokoju.

- Dzisiaj jesteś podobna do kotki - oznajmił. Nawet nie do kotki, tylko do koteczki, koszatki... Dlaczego się uśmiechasz?

- Nie z twojego powodu. Po prostu coś sobie przypomniałam.

Słodko ziewnęła i przeciągnęła się. Tonęła w piżamie Wiktora, z bezkształtnych zwojów jedwabiu w fotelu wyglądała tylko jej prześliczna twarz i smukłe ręce. Jak z morskich fal. Wiktor zaczął golić się szybciej.

- Nie śpiesz się - powiedziała. - Pokaleczysz się. I tak już na mnie czas, muszę jechać.

- Dlatego się śpieszę - rzekł Wiktor.

- Nie, ja tak nie .lubię. Tak tylko kotki... Jak tam moje szmatki?

Wiktor wyciągnął rękę, pomacał jej sukienkę i pończochy, rozwieszzone na grzejniku. Wszystko wyszło.

- Gdzie się śpieszysz?

- Przecież ci mówiłam. Do Roschepera.

- Jakoś nic nie pamiętam. Co tam z Roscheperem?

- No, bo przecież się uszkodził - oznajmiła Diana.

- Ach tak! - stwierdził Wiktor. - Tak, tak, coś mówiłaś. Skądś tam wypadł. Bardzo się

potłukł?

- Ten głupek - rzekła Diana - nagle postanowił skończyć ze sobą i wyskoczył przez okno. Rzucił się jak byk, głową naprzód, wyłamał futrynę, ale przy tym zapomniał, że to parter. Uszkodził kolano, zaczął wrzeszczeć, a teraz leży.

- Co mu się stało? - zapytał Wiktor. - Biała gorączka?

- Coś w tym rodzaju.

- Poczekaj - powiedział Wiktor. - To znaczy, że przez niego dwa dni nie przyjeżdżałaś do mnie? Przez tego wołu?

- No tak! Lekarz naczelny kazał mi przy nim siedzieć, dlatego że on, to znaczy Roscheper, nie mógł beze mnie. Nie mógł i już. Nic nie mógł, nawet się odlać. Musiałam udawać szmer wody i opowiadać mu o pisuarach.

- Co ty tam wiesz - wymamrotał Wiktor. - Ty mu opowiadałaś o pisuarach, a ja się tu męczyłem sam jeden, też nic nie mogłem, ani jednej linijki nie napisałem. Wiesz, ja w ogóle nie lubię pisać, a już ostatnio.... W ogóle moje życie ostatnio... - zamilkł. Co to ją obchodzi, pomyślał. Przespali się i pobiegli każde w swoją stronę. - Ale, ale, słuchaj.... Kiedy, powiedziałaś, Roscheper wypadł?

- Trzy dni temu - odparła Diana.

- Wieczorem?

- Uhm - przytaknęła Diana gryząc herbatnik.

- O dziesiątej wieczorem - stwierdził Wiktor. - Między dziesiątą a jedenastą. Diana przestała gryźć.

- Zgadza się - oznajmiła. - A skąd wiesz? Przyjąłeś jego nekrobiotyczną depeszę?

- Poczekaj - powiedział Wiktor. - Zaraz opowiem ci coś bardzo interesującego. Ale najpierw - co wtedy robiłaś?

- Co robiłam? Ach, tak. Tego wieczoru, o ile pamiętam, wpadłam w okropny dołek. Zwijałam bandaż i nagle ogarnął mnie taki smutek, że nic, tylko się powiesić. Wsadziłam twarz w te bandaż i ryczę,

I to jak ryczę - jakby mnie kto zarzynał, od dziecka tak nie ryczałam...

- I nagle wszystko minęło - powiedział Wiktor. Diana zamyśliła się.

- Tak... Nie... Wtedy nagle Roscheper jak nie zawyje na ulicy, przestraszyłam się i wybiegłam...

Chciała jeszcze coś dodać, ale zniemacka ktoś zapukał do drzwi, szarpnął klamkę i głos Teddyego zachrypiał z korytarza: "Wiktor! Wiktor! Obudź się! Otwieraj, Wiktor!" Wiktor zamarł z brzytwą w ręku. "Wiktor - chrypiał Teddy - Otwieraj!" i wściekle szarpał klamkę. Diana zeskoczyła z fotela i przekręciła klucz. Drzwi się rozwarły, wpadł do środka Teddy - mokry, złachmaniony i z obrzynem w ręku.

- Gdzie jest Wiktor? - zaryczał ochryple. Wiktor wyszedł z łazienki.

- Co się stało!? - zapytał. Serce mu zamarło. Aresztowanie... Wojna...

- Dzieci odeszły - dysząc ciężko, odparł Teddy. - Zbieraj się, dzieci odeszły!

- Poczekaj - rzucił Wiktor. - Jakie dzieci?

Teddy rzucił obrzyn na stół, na stosy zapisanych i pokreślonych papierów.

- Zwabili dzieci dranie! - wrzasnął. - Zwabili, szubrawcy! No, ale teraz już koniec! Dosyć się nacierpieliśmy... Koniec!

Wiktor nic jeszcze nie rozumiał, widział tylko, że Teddy jest w furii. Takiego Teddyego widział tylko raz, kiedy w czasie straszliwej awantury w restauracji, ktoś wykorzystał okazję i włamał się do kasy.

Wiktor, kompletnie zagubiony, gapił się jak sroka w gnat, Diana zaś schwyciła bieliznę wiszącą na oparciu krzesła, przemknęła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. W tym samym momencie nerwowo i gwałtownie zadzwonił telefon. Wiktor złapał słuchawkę. To była Lola.

- Wiktor - zaskomliła. - Ja nic nie rozumiem, Irma gdzieś przepadła, zostawiła list, że już

nigdy nie wróci, a wszyscy mówią, że dzieci odeszły z miasta... Boję się! Zrób coś... - prawie płakała.

- Dobrze, dobrze, zaraz - odparł Wiktor. - Dajcie mi przynajmniej włożyć spodnie. - Rzucił słuchawkę i obejrzał się na Teddyego. Barman siedział na rozgrzebanym łóżku i mamroczał dziwne słowa, wlewał do szklanki resztki z butelek. - Poczekaj - powiedział Wiktor. - Tylko bez paniki. Ja zaraz...

Wrócił do łazienki i zaczął spieszenie golić namydlony podbródek, kilkakrotnie zaciął się, nie miał czasu naostrzyć brzytwy, a Diana tymczasem wyskoczyła spod prysznicza i szeleściła ubraniami za jego plecami, twarz miała twardą i zdecydowaną, jakby szykowała się do walki, ale była absolutnie spokojna.

... A dzieci szły nie kończącą się, szarą kolumną po szarych rozmytych drogach, szły potykając się i ślizgając, padając pod ulewnym deszczem, szły zgarbione, przemoczone na wskroś, ściskając w posiniałych łapkach żalodne, mokre tobołki, szły maleńkie, bezradne, nic nie rozumiejące, szły płacząc, szły milcząc, szły oglądając się, szły trzymając się za ręce i za szelki, a po bokach drogi maszerowały mroczne czarne postacie bez twarzy, zamiast twarzy miały czarne przepaski, nad przepaskami zimno i bezlitośnie patrzyły nieludzkie oczy, ręce w czarnych rękawiczkach ścisnęły automaty, deszcz padał na oksydowaną stal, krople wody drżały i spływały po stali... Co za głupstwa, myślał Wiktor, to zupełnie coś innego, to nie teraz, widziałem tamto, ale tamto było bardzo dawno, teraz jest zupełnie inaczej...

...Odchodziły radośnie, deszcz był ich przyjacielem, wesoło człapały po kałużach ciepłymi, bosymi stopami, wesoło rozmawiały i śpiewały, i nie oglądały się, ponieważ o wszystkim już zapomniały, miały przed sobą tylko przyszłość dlatego zapomniały na zawsze o swoim stękającym, chrapiącym w przedrannej godzinie mieście, o tym skupisku pluskiew, gnieździe małostkowych intryg i nikczemnych pragnień, brzemienym w potworne zbrodnie, bezustannie wyrzucającym z siebie zbrodnie i zbrodnicze zamierzenia, tak jak królowa mrówek nieprzerwanie wyrzuca z siebie jajka, odeszły szczebiocząc i rozmawiając, i znikły we mgle, a my, pijani, nadal zachłystujemy się stęchłym powietrzem wśród obrzydliwych koszmarów, których one nigdy nie widziały i nigdy nie zobaczą...

Wciągnął spodnie, skacząc na jednej nodze, kiedy zadrżały szyby i niskie, mechaniczne wycie dotarło do pokoju. Teddy rzucił się do okna, ale za oknem był ciągle ten sam deszcz, pusta mokra ulica i samotny cyklista - mokry brezentowy worek z wysiłkiem poruszający pedałami. A szyby drżały i podzwaniały nadal, a niski, żałośliwy ryk nie ustawał i po minucie dołączyło do niego urywane, smętne buczenie.

- Idziemy - powiedziała Diana. Była już w płaszczu.

- Nie, poczekaj - powiedział Teddy. - Wiktor, masz broń? Jakikolwiek pistolet, automat?...

Masz?

Wiktor nie odpowiedział, złapał swój płaszcz i we trójkę zbiegli po schodach do hallu, zupełnie pustego, bez portiera oraz recepcjonisty. Wydało się, że w hotelu nie ma już żywej duszy, tylko w restauracji, przy stoliku siedział R. Kwadryga, który ze zdumieniem kręcił głową i najwidoczniej od dawna oczekiwał śniadania. Wybiegli na ulicę, gdzie stała ciężarówka Diany i wszyscy troje wsiedli do kabiny. Diana usiadła przy kierownicy i popędzili przez miasto. Diana milczała, Wiktor palił, starając się zebrać myśli, Teddy zaś półgłosem wciąż wyrzucał z siebie potok nieprawdopodobnych przekleństw. Nawet Wiktor nie rozumiał znaczenia wielu słów, ponieważ takie słowa mógł znać tylko Teddy - szczur z przytułku, wychowanek portowych slumsów, potem handlarz narkotykami, potem wykidajło w domu publicznym, potem żołnierz plutonu grzebiącego zwłoki, potem bandyta i maruder, a potem barman, barman, barman, i znowu barman.

Ludzi w mieście prawie nie było widać, tylko na rogu Słonecznej Diana przyhamowała, żeby zabrać spłoszoną parę małżeńską. Niskie wycie syren przeciwlotniczych i piskliwe zawodzenie fabrycznych nie ustawało i było coś apokaliptycznego w tym jęku mechanicznych

głosów nad bezludnym miastem. Aż ścisnęło w środku i człowiek chciał gdzieś biec, ni to ukryć się, ni to strzelać i nawet "Bracia w sapiencji" na stadionie kopali piłkę bez zwykłego entuzjazmu, niektórzy zaś rozglądali się na boki z otwartymi ustami jakby próbując cokolwiek zrozumieć.

Na szosie, za miastem ludzi było coraz więcej. Niektórzy szli pieszo, zachłystując się deszczem, żalosi, przerażeni, nie zdając sobie sprawy co robią i po co. Inni jechali na rowerach i też już tracili siły, ponieważ trzeba było jechać pod wiatr. Kilkakrotnie ciężarówka mijala porzucone samochody, zepsute, lub takie, którym zabrakło benzyny; jeden wpadł nawet do rowu. Diana zatrzymywała się, zabierała wszystkich i bardzo prędko skrzynia okazała się zapchana do ostatniego miejsca. Wiktor z Teddym też przenieśli się na górę ustępując miejsca kobiecie z dzieckiem przy piersi i jakiejś na wpół oszalałej staruszce. Później nawet w skrzyni nie było już miejsca, Diana przestała się zatrzymywać, ciężarówka pędziła naprzód mijając i oblewając potokami wody dziesiątki i setki ludzi wędrujących do leprozorium. Kilkakrotnie ciężarówkę wyprzedzały furgonetki wypełnione ludźmi, motocykliści, a jakaś ciężarówka dogoniła ich i jechała teraz z tyłu.

Diana przywykła wozić koniak dla Roschepera, albo pędzić pustym samochodem po okolicy dla własnej przyjemności i w ciężarówce działy się rzeczy straszne. Wszyscy nie mogli usiąść, nie było miejsca, i ci, którzy stali, wczepiali się jeden w drugiego, w głowy siedzących, każdy starał się trzymać jak najdalej od boków skrzyni, nikt się nie odzywał, wszyscy tylko sapali i klęli pod nosem, a jedna kobieta bez przerwy płakała. I padał deszcz - taki deszcz jakiego Wiktor nie widział jeszcze nigdy w życiu, nawet nie wyobrażał sobie, że na świecie może padać taki deszcz - gęsta, tropikalna ulewa, ale nie ciepła, tylko lodowata na wpół z gradem, który porwywisty wiatr niósł na spotkanie idących. Widoczność była żadna - piętnaście metrów z przodu i piętnaście z tyłu, i Wiktor okropnie się bał, że Diana kogoś potrąci na szosie, albo wpadnie na hamujący samochód. Ale wszystko jakoś się udało, tylko Wiktorowi ktoś mocno nadepnął na nogę, kiedy wszyscy polecili na siebie po raz ostatni i ciężarówkę zarzuciło przed skupiskiem samochodów stojących pod bramą leprozorium.

Zapewne zgromadziło się tu całe miasto. Deszcz w tym miejscu nie padał i można było pomyśleć, że miasto przybiegło tu ratując się przed potopem. Na prawo i na lewo od szosy, jak daleko sięgał wzrok, wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego stał wielotysięczny tłum, w którym tonęły rozrzucone tu i ówdzie puste samochody - luksusowe krążowniki szos, mocno zużyte kabriolety z brezentowymi dachami, ciężarówki, autobusy i nawet jeden samobieżny dźwig, na ramieniu którego siedziało kilku ludzi. Nad tłumem wisiał głuchy szum, czasami rozlegały się przeraźliwe krzyki.

Wszyscy wyskoczyli z ciężarówki i Wiktor od razu stracił z oczu Dianę i Teddyego. Wokół były same nieznanome twarze, ponure, rozwścieczone, zdumione, płaczące, krzyczące, z oczami w słup, nieprzytomne, szczerzące zęby... Wiktor spróbował przedostać się do bramy, ale po kilku krokach beznadziejnie uwiązł. Ludzie stali nieruchomą ścianą, nikt nie zamierzał ustępować miejsca, można ich było pchać, kopać, bić, nawet się nie odwracali, tylko wciskali głowy w ramiona i za wszelką cenę starali się przesunąć naprzód, naprzód, bliżej bramy, bliżej swoich dzieci, stawali na palcach, wyciągali szyje i nic nie było widać poza kołyszącym się morzem kapturów i kapeluszy.

- Boże, za co? Czym tak strasznie zgrzeszyliśmy, o Boże?
- Ścierwa! Dawno trzeba było ich wyrznąć. Mądrzy ludzie zawsze mówili...
- A gdzie burmistrz? Co on u diabła robi? Gdzie jest policja? Gdzie te wszystkie grube świnię?
- Sym, zaraz mnie zadcpczą... Sym, duszę się! Och, Sym...
- Czego im brakowało? Niczego dla nich nie żalowaliśmy... Odejmwaliśmy sobie od ust ostatni kęs, chodziliśmy jak łachmaniarze, żeby tylko je ubrać i obuć...
- Zebrać się do kupy i rraz! Brama wyleci...
- Ja go w życiu palcem nie tknęłam. Widziałam, jak pan za swoim latał z pasem, ale u nas

w domu nigdy nic takiego...

- Widziałeś karabiny maszynowe? A to niby po co, żeby do ludzi strzelać? Za to, że my po swój e dzieci?

- Mój Munczka! Munczka! Munczka! Munczka!

- Cóż to się wyrabia, panowie? Przecież to jakiś obłąd. Gdzie to widziane?

- To nic, Legia im jeszcze pokaże... Są tam z tyłu, rozumiesz? Otworzą nam bramę, a my wszyscy razem...

- A karabiny maszynowe widziałeś? O to właśnie chodzi...

- Puśćcie mnie! Przepuście mnie, słyszycie! Tam jest moja córka!

- Dawno się już zbierały, sama zauważyłam, tylko bałam się zapytać.

- A może nic im nie będzie? Przecież to nie jakieś bestie i pomimo wszystko nie okupanci, nie na rozwałkę poszły, nie do pieców...

- Zabiję, gardło przegryzę!

- Ta - ak, widocznie jedno wielkie gówno z nas zostało, jeśli rodzone dzieci od nas odeszły do tych zarażonych... Nie gadaj głupstw, same odeszły, nikt ich siłą nie zmuszał...

- Ej, kto ma broń? Wychodzić! Kto ma broń, niech wychodzi, powtarzam! Zbierać się tu przy mnie! Wszyscy do mnie, tu jestem!

- To są moje dzieci, mój panie, moje własne i będę nimi rządził tak jak mi się podoba!

- Gdzie jest policja, o Boże!

- Trzeba wysłać telegram do pana prezydenta! Pięć tysięcy podpisów - to nie w kij dmuchał!

- Kobietę zadusili! Odsuń się, mówię draniu! Nie widzisz?

- Munczka! Mój Munczka! Munczka!

- Gówno warte są te wszystkie petycje. Nie lubią u nas petycji. Jeszcze dostaniemy tą petycją po uszach...

- Otwierać bramę, twoja mać! Mokrzaki parszywe! Ścierwa!

- Bramę!

Wiktor zawrócił. Było to trudne, kilkakrotnie uderzono go. ale mimo wszystko wy dostał się, odnalazł ciężarówkę i znowu wdrapał się na górę. Nad leprozorium wisiała mgła i dziesięć metrów za ogrodzeniem nie było już nic widać. Brama była zamknięta, przed nią, na pustej przestrzeni, stali rozkraczeni żołnierze służby wewnętrznej w hełmach nasuniętych na oczy - było ich mniej więcej dziesięciu. Przed wejściem do wartowni unosząc się na palcach ze zdenerwowania, natężając głos wykrzykiwał coś do tłumu oficer, ale nie sposób go było usłyszeć. Nad dachem wartowni, niczym olbrzymia etażerka, wznosiła się we mgle drewniana wieża i na jej górnej platformie stał karabin maszynowy i kręcili się mężczyźni w " szarych mundurach. Następnie tam, za ogrodzeniem, ledwie dosłyszalnie pobrzękując żelazem przejechał wzdłuż drutów transporter opancerzony, podskoczył kilka razy na wybojach i zniknął we mgle. Na widok transportera tłum przycichł, tak że nawet można było usłyszeć wysilone okrzyki oficera ("... Spokój... mam rozkaz... do domów...") a potem tłum znowu zahuczał, wydał pomruk i zaryczał.

Przed bramą zaczął się jakiś ruch. Wśród ciemnych, granatowych i szarych płaszczy załśniły dobrze znane miedziane hełmy i złote koszule. Pojawiły się w tłumie jak plamy światła, przedzierały się na wolną przestrzeń i tam łączyły w żółtozłotą masę. Chłopcy jak dęby - w złotych koszulach do kolan, przepasani szerokimi, oficerskimi pasami o szerokich sprzączkach, w błyszczących miedzianych hełmach, dzięki którym żołnierzy Legii nazywano po prostu strażakami - mieli też krótkie, masywne pałki i niezliczoną ilość emblematów Legii - na sprzączce, na lewym rękawie, na piersi, na palce, na hełmie, emblemat na mordzie, za samą mordę pięć lat bez sądu, na sportowej, muskularnej mordzie o wilczych oczach... i znaczki, gwiazdozbiory znaczków. Znaczek strzelca wyborowego i Wyborowego spadochroniarza, i Wyborowego nurka i jeszcze znaczki z portretem pana prezydenta, i jego zięcia, założyciela Legii, i jego syna oberszefa Legii... i u każdego w kieszeni granat z gazem łzawiącym, a jeżeli chociaż jeden z tych bałwanów w porywie

chuligańskiego entuzjazmu rzuci taki granat - odezwie się karabin maszynowy na wieżycze, karabiny maszynowe transportera, automaty żołnierzy i będą strzelać do tłumu, do tłumu, a nie do złotych koszul. Legia formowała już szereg przed żołnierzami, wzdłuż szeregu biegał machając pałką Flamenco Juventa, bratanek, i Wiktor już z rozpaczą zaczął się oglądać dookoła nie wiedząc co robić, ale wtedy oficerowi przyniesiono z wartowni megafon. Oficer strasznie się ucieszył, nawet się uśmiechnął i zaryczał piorunowym głosem, ale zdążył tylko ryknąć "Uwaga! Proszę wszystkich zgromadzonych ...", kiedy megafon widocznie znowu się zepsuł, oficer pobladł, dmuchnął w tubę, a Flamenco Juventa, który nawet przygotował się do wysłuchania, ze zdwojoną energią zaczął biegać i wymachiwać pałką. Tłum nagle groźnie zahuczał - wydawało się, że krzyknęli wszyscy razem i ci którzy krzyczeli już przedtem, i ci którzy do tej pory milczeli albo po prostu rozmawiali, albo płakali, albo modlili się i Wiktor też zaczął krzyżeć nieprzytomny z przerażenia na myśl o tym co się zaraz wydarzy. "Zabrać tych bałwanów! - krzyczał - Zabrać strażaków! To śmierć! Nie wolno! Diana!" Nie wiadomo kto i co krzyczał w tłumie, ale tłum do tej chwili nieruchomy, zaczął równomiernie kołysać się jak półmisek gigantycznej galarety. Oficer upuścił megafon i zaczął cofać się do drzwi wartowni, twarze żołnierzy pod hełmami stały się twarzami rozjuszonych zwierząt, na górze, na wieżycze, nikt się już nie ruszał, wszyscy znieruchomieli przy karabinie. I wtedy rozległ się Głos.

Był jak grzmot, dobiegał ze wszystkich stron jednocześnie i od razu zagłuszył wszystkie pozostałe dźwięki. Był spokojny, nawet melancholijny, pobrzmiwało w nim bezgraniczne znudzenie, bezgraniczna pobłażliwość, jakby przemawiał ktoś ogromny, wyniosły, stojący tyłem do natrętnego tłumu, ktoś kto mówi przez ramię oderwany na chwilę od ważnych spraw z powodu irytujących głupstw.

- Przestańcie wreszcie krzyżeć - powiedział Głos. - Przestańcie wymachiwać rękami i odgrażać się.

Czy to doprawdy takie trudne - przestać gadać i przez chwilę spokojnie pomyśleć? Przecież świetnie wiecie, że wasze dzieci odeszły od was dlatego, że same tego chciały, nikt ich nie zmuszał, nikt nie ciągnął za kołnierz. Odeszły dlatego, że obrzydliście im doszczętnie i ostatecznie. One nie chcą już dłużej żyć tak jak żyjecie wy i wasi przodkowie. Nadzwyczaj lubicie naśladować swoich przodków i uważacie, że to jedna z waszych zalet - ale one uważają inaczej. Nie chcą wyrosnąć na pijaków i rozpustników, ludzi małodusznych, konformistów i niewolników, nie chcą, żeby zdobiono z nich przestępców, nie chcą waszych rodzin i waszego państwa.

Głos umilkł na chwilę. Przez całą minutę nie było słyhać ani jednego dźwięku - tylko jakiś szelest, jakby szeleściła mgła pełną nad ziemią. Potem Głos przemówił znowu:

- Możecie być zupełnie spokojni o swoje dzieci. Będzie im dobrze - lepiej niż z wami i znacznie lepiej, niż wam samym. Dzisiaj nie mogą was przyjąć, ale od jutra - przychodźcie. W Końskiej Dolinie zostanie przygotowany Dom Spotkań i od trzeciej po południu możecie przychodzić choćby codziennie. Codziennie o pół do trzeciej z placu miejskiego będą odchodzić trzy autobusy. To za mało, w każdym razie na jutro - niech wasz burmistrz zatroszczy się o dodatkowy transport.

Głos zamilkł znowu. Tłum stał nieruchomym murem. Ludzie jakby bali się poruszyć.

- Tylko weźcie pod uwagę - ciągnął Głos. - To od was samych zależy czy dzieci zechcą się z wami spotykać. W pierwszych dniach możemy jeszcze je nakłonić, aby przychodziły na widzenia, nawet jeżeli nic będą miały na to ochoty... ale potem... to już jak tam się sami z nimi dogadacie. A teraz rozejdźcie się Przeszkadzacie i nam, i dzieciom, i sobie. Bardzo wam radzę, pomyślcie, spróbujcie pomyśleć, co możecie dać swoim dzieciom. Przyjrzyjcie się sobie. Wydaliliście je na świat i okaleczacie je na swój obraz i podobieństwo. Pomyślcie i o tym, ale teraz wracajcie do domów.

Tłum pozostał nieruchomy. Być może próbował myśleć. W każdym razie Wiktor próbował. Były to oderwane myśli. Nawet nie myśli, lecz po prostu strzępy wspomnień, fragmenty rozmów, głupia, umalowana twarz Loli. A może jednak lepiej skrobankę? Po co nam to teraz... Ojciec z

wargami drżącymi z wściekłości... Ja z ciebie zrobię człowieka, parszywy szczeniaku, skórę z ciebie zedre... Okazało się, że mam dwunastoletnią córkę, czy możesz pomóc mi jakoś ją urządzić w mieście w przyzwoitym miejscu?... Irma z ciekawością patrzy na rozmamłanego Roschepera... nie na Roschepera tylko na mnie... właściwie jest mi nawet wstyd, ale co ona tam rozumie, smarkata? Marsz na miejsce! Masz tu lalkę, ładna lalka? Jesteś jeszcze mała, dowiesz się jak doróżniesz...

- No i dlaczego stoicie? - zapytał piorunowy Głos. - Odejdźcie!. Nadleciał ciężki, zimny wiatr, uderzył w twarz i ucichł.

- No, idźcie już - powiedział Głos.

I ponownie nadleciał wiatr już prawie zupełnie materialny, jak ciężka wilgotna dłoń, która legła na twarzy, popchnęła - i znikła. Wiktor otarł policzki i zobaczył, że tłum się cofa. Ktoś głośno krzyknął, rozległy się dźwięczące dość niepewnie nawoływania, wokół samochodów i autobusów powstały niewielkie wiry. Ludzie zaczęli ze wszystkich stron wdrapywać się do skrzyni ciężarówki, wszyscy poczuli się śpieszyć, rozpychać, tłoczyć w drzwiach samochodów, niecierpliwie rozdzielać szczerzone kierownicami rowery, zawarczały silniki, wielu ludzi odchodziło pieszo, często oglądając się, ale nie patrzyli ani na żołnierzy, ani na karabin maszynowy na wieży, nie na transporter, który właśnie podjechał z łoskotem żelaza i stanął na widocznym miejscu. Wiktor wiedział, dlaczego ludzie się odwracają i dlaczego się śpieszą, paliły go policzki i jeżeli czegokolwiek się bał, to tego, że Głos znowu powie: "Idźcie!" i znowu ciężka wilgotna dłoń z odrazą legnie na jego twarzy.

Grupka kretynów w złotych koszulach wciąż jeszcze niepewnie dreptała przed bramą, ale było ich już mniej, do pozostałych zaś podszedł oficer i wrzasnął na nich - imponujący, pewny siebie, spełniający przyjemny obowiązek i oni również cofnęli się, następnie zawrócili i powlekli precz, zbierając po drodze rzucone na ziemię szare, granatowe; ciemne płaszcze, i oto już nie pozostała ani jedna złota plama, obok przejeżdżały autobusy, samochody osobowe, a ludzie w skrzyni ciężarówki rozglądali się niespokojnie i pytali jeden drugiego: "Gdzie jest kierowca?"

Potem nie wiadomo skąd wynurzyła się Diana, Diana Gniewna stanęła na stopniu, spojrzała w górę, po czym krzyknęła surowo: "Tylko do skrzyżowania! Samochód jedzie do sanatorium!" i nikt nie ośmielił się zaprotestować, wszyscy byli wyjątkowo cisi i zgadzali się na wszystko. Teddy nie pojawił się do kopca, prawdopodobnie zabrał się innym samochodem. Diana zakręciła i pojechali znajomą betonową szosą mijając grupy pieszych oraz rowerzystów, a ich z kolei wyprzedzały przeciążone samochody osobowe, z jękiem przysiadające na amortyzatorach. Deszcz nie padał, była tylko mgła i mżył drobny kapuśniaczek. Deszcz zaczął się dopiero wtedy, kiedy Diana podjechała do skrzyżowania, ludzie wysiedli, a Wiktor przesiadł się do szoferki.

Oboje milczeli do samego sanatorium.

Diana od razu poszła do Roschepera - tak przynajmniej powiedziała - Wiktor zaś zrzuciwszy płaszcz uwalnił się na łóżko w swoim pokoju, zapalił papierosa i zaczął gapić się w sufit. Być może godzinę, być może dwie, bez przerwy palił, wiercił się na łóżku, wstawał, spacerował po pokoju, bezmyślnie wyglądał przez okno, zasuwał i odsuwał portiery, pił wodę z kranu, ponieważ męczyło go pragnienie i znowu padał na łóżko.

...Upokorzenie, myślał. Tak, oczywiście. Bili po twarzy, wymyślali od łobuzów, jak ostatniemu żebrakowi, ale pomimo wszystko to byli ojcowie i matki, pomimo wszystko kochali swoje dzieci, mogli je bić, ale gotowi byli oddać za nie życie, demoralizowali swoim przykładem, ale przecież nieumyślnie, lecz przez swoją ciemnotę... matki rodziły je w bólach, ojcowie karmili i ubierali, przecież byli dumni ze swoich dzieci, chwalili się nimi, często je wyklinali, ale nie wyobrażali sobie bez nich życia... i rzeczywiście, teraz ich życie zrobiło się puste, nic im przecież nie zostało. Czy wolno więc traktować ich aż tak okrutnie, tak zimno, tak pogardliwie, tak rozumnie i jeszcze na pożegnanie nakłaść po pysku...

...Czyżby naprawdę, u diabła, obrzydliwe jest wszystko, co pozostało w człowieku od zwierzęcia? Nawet macierzyństwo, nawet uśmiech Madonny, czułe, serdeczne ręce podające pierś

niemowlęciu... Tak, oczywiście, instynkt i cała religia zbudowana na instynkcie... pewnie całe nieszczęście polega na tym, że tę religię próbuje się przenieść na wychowanie, to znaczy na takie dziedziny, z którymi instynkty nie mają już nic wspólnego, a jeżeli mają, to przynoszą wyłącznie szkodę... dlatego że wilczyca mówi wilczętom: "Kąsajcie jak ja" i to wystarczy, zajęczyca uczy swoje zajęczki: "Uciekajcie tak jak ja" i to także wystarczy, ale człowiek uczy swoje małe: "Myśl tak jak ja" i to już jest zbrodnia... No a ci, jak im tam - mokrzażki, gady, zarazy, wszystko co kto chce, ale na pewno nie ludzie, co najmniej nadludzie - jak oni to robią? Najpierw: "Przyjrzyj się, jak myśleli przed tobą, zobacz co z tego wyszło, wyszło niedobrze, dlatego, że to i to, a powinno być tak i tak. Zobaczyłeś? A teraz zacznij myśleć sam, myśl co zrobić, żeby nie wyszło to i to, tylko tak i tak". Tylko, że ja nie wiem, czym jest to i to, i co to jest tak i tak, a w ogóle wszystko to już było, wszystko to już wypróbowaliśmy, zrealizowali się poszczególni świetni ludzie, ale przeważające masy pchały się starą drogą, nigdzie nie skręcając, zwyczajnie, po naszymu... Zresztą jak człowiek ma wychowywać swoje małe, kiedy jego ojciec nie wychowywał go, tylko tresował: "Kąsaj jak ja, chowaj się tak jak ja", i tak samo tresował ojca dziad, dziada pradziad, i dalej do tej pierwszej jaskini, do kosmatych nosicieli oszczepów, pożeraczy mamutów. Żal mi tych bezwłosych potomków, żal mi ich, bo żal mi samego siebie, ale tamci mają to gdzieś, nie jesteśmy im w ogóle potrzebni, nie zamierzają nas reedukować, nie zamierzają nawet burzyć starego świata, stary świat ich nie interesuje, mają swoje sprawy, a od starego świata żądają tylko jednego - żeby się od nich odczepił. Teraz stało się to możliwe, teraz można handlować ideami, mamy teraz potężnych kupców idei, oni będą cię chronić, zapędzą cały świat za druty kolczaste, żeby stary świat ci nie przeszkadzał, będą cię karmić, będą cię pielęgnować... będą w sposób najbardziej ugrzeczniwy ostrzyć topór, którym odrąbujesz gałąź, na której oni zasiadają błyskając orderami i szamerunkami.

...I do diabła, to jest na swój sposób wspaniale - wszystko już wypróbowano, tylko tego jeszcze nie wypróbowano - zimny wychów bez słodkiego szczebiotu, bez łez... chociaż co ja tu wymyślam, skąd mogę wiedzieć jak wygląda to ich wychowanie... ale wszystko jedno - okrucieństwo i pogardę widać gołym okiem... Nic im z tego nie wyjdzie, dlatego że - no dobrze, intelekt, myślcie, uczcie się, analizujcie - ale co z rękami matki, czułymi dłońmi, które koją ból i ogrzewają świat. I kłujący zarost ojca, który bawi się w wojnę i w tygrysa, uczy się boksować, jest najsilniejszy i wszystko wie? A przecież to też było! Nie tylko wrzaskliwe (albo ciche) kłótnie rodziców, nie tylko pasek i pijany bełkot, nie tylko bezsensowne targanie za uszy na zmianę z nagłym i niepojętym deszczem cukierków i miedziaków na kino... Zresztą, skąd ja mogę wiedzieć - może oni mają jakiś ekwiwalent tego dobrego, co zawiera w sobie macierzyństwo i ojcostwo... jak Irma patrzyła na tego mokrzażka! jakim trzeba być, żeby na ciebie tak patrzono... i w każdym razie ani Bol-Kunac, ani Irma, ani pryszczaty nihilista - demaskator nigdy nie włożą złotych koszul, a czy to mało? Do diabła - niczego więcej od ludzi nie wymagam!

.. Nie tak prędko, powiedział do siebie. Znajdź najważniejsze. Jesteś z nimi, czy przeciwko nim? Jest jeszcze trzecie wyjście - mieć wszystko w nosie. Ale mnie nie jest wszystko jedno. Ach, jak ja bym chciał być cynikiem, jak łatwo, prosto i przyjemnie jest być cynikiem!... no, coś takiego - przez całe życie robią ze mnie cynika, starają się, nie żałując sił i środków, kuł, najpiękniejszych frazesów, papieru, nie żałują pięści, nie żałują ludzi, niczego im nie żal, żebym tylko został cynikiem - a ja nic... No dobrze, już dobrze. Ale jednak - jestem za czy przeciw? Oczywiście przeciw - nie znoszę lekceważenia, nienawidzę elit, nienawidzę wszelkiej nietolerancji, i nie lubię, och, jak ja nie lubię, kiedy mnie biją po mordzie i wyganiają precz... I jestem za, ponieważ lubię ludzi mądrych, utalentowanych, nienawidzę głupców, nienawidzę tępaków, nienawidzę złotych koszul, faszystów i jest jasne, że do niczego nie dojdę, zbyt mało o nich wiem, a z tego co wiem, co widziałem sam, rzuca się w oczy raczej to, co złe - okrucieństwo, pogarda, odczłowieczenie, wreszcie fizyczna szpetota... A w rezultacie - z nimi jest Diana, którą kochani, i Irma, którą kocham, i Golem, którego szanuję, i Bol-Kunac, i pryszczaty nihilista... a kto jest przeciw? Burmistrz jest przeciw, to stare ścierwo, faszysta i demagog, i ta sprzedajna gnida policmajster, i Roscheper Nant, i ta idiotka Lola, ta banda w złotych koszulach, i Fawor... Co prawda, z drugiej

strony - jest z nimi ten wysoki zawodowiec, a także niejaki generał Pferd - nie znoszę generałów, przeciwko zaś Teddy i z pewnością jeszcze wielu takich jak Teddy... Tak, większością głosów niczego się tu nie rozwiąże. To coś w rodzaju demokratycznych wyborów - większość zawsze popiera łobuzów...

Około drugiej przyszła Diana, Diana Zwyczajna i Wesola w ciasno przepasanym białym fartuchu, uczesana i podmalowana.

- Jak idzie praca? - zapytała.

- Płonę - odpowiedział. - Spalam się, świecąc innym.

- Fakt, dużo dymu. Choćbyś okno otworzył... Chcesz jeść?

- Tak, do diabła! - odparł Wiktor. Przypomniał sobie, że nie jadł śniadania.

- Do diabła, w takim razie idziemy!

Zeszli do jadalni. Przy długich stołach, w solennym milczeniu chleptali dietetyczną zupę "Bracia w sapiencji", poczerniali z fizycznego zmęczenia. Gruby trener w opiętym granatowym swetrze chodził za ich plecami, klepał po ramionach, targał im czupryny i uważnie zaglądał do talerzy.

- Poznam cię teraz z pewnym człowiekiem - oznajmiła Diana. - Zjemy razem obiad.

- Co to za jeden? - z niezadowoleniem zapytał Wiktor. Miał ochotę milczeć przy jedzeniu.

- Mój mąż - odrzekła Diana. - Mój były mąż.

- Aha - powiedział Wiktor. - Aha. No cóż... Bardzo mi miło.

Co też przyszło jej do głowy, pomyślał smętnie. I komu to potrzebne. Popatrzył żalostnie na Dianę, ale już zmierzali szybko do służbowego stolika w kącie sali. Mąż wstał na ich powitanie, żółtoskóry, garbatonosy, w ciemnym garniturze i w czarnych rękawiczkach. Nie podał Wiktorowi ręki, tylko skłonił się i powiedział niegłęboko:

- Dzień dobry, cieszę się, że pana widzę.

- Baniew - przedstawił się Wiktor z fałszywą serdecznością, która go zawsze ogarniała na widok mężów.

- My się właściwie już znamy - stwierdził mąż. - Jestem Zurtzmansor.

- Ach tak! - zawołał Wiktor. - Ależ oczywiście! Muszę się panu przyznać, że moja pamięć... - zamilkł. - Chwileczkę - zapytał. - Jaki Zurtzmansor?

- Paweł Zurtzmansor. Pan zapewne mnie czytał, a niedawno nadzwyczaj energicznie walczył pan w mojej obronie w restauracji. Poza tym spotkaliśmy się w jeszcze jednym miejscu w nader niemiłych okolicznościach... Może usiądziemy?

Wiktor usiadł. No dobrze, pomyślał. Niech tak będzie. To znaczy oni tak wyglądali bez przepasek. Kto by pomyślał? Pardon, ale gdzie jego "okulary"? Zurtzmansor - nie wiedzieć czemu mąż Diany, czyli garbonosy tancerz, grający tancerza, który gra tancerza, który tak naprawdę jest mokrzakiem, albo nawet czterema mokrzakami naraz, albo nawet pięcioma, licząc razem z restauracyjnym - Zurtzmansor nie miał "okularów", jakby rozplynęły się po całej twarzy barwiąc ją na latynoamerykański kolor. Diana z dziwnym, nieomal macierzyńskim uśmiechem patrzyła to na niego, to na swojego męża. I to było nieprzyjemne. Wiktor poczuł coś w rodzaju zazdrości, której do tej pory nigdy nie doznawał, kiedy miał do czynienia z mężami. Kelnerka przyniosła zupę.

- Dziękuję - automatycznie powiedział Wiktor. Wziął łyżkę i zaczął jeść nie czując smaku. Zurtzmansor również jadł, spoglądając spode łba na Viktora - bez uśmiechu, ale z jakimś rozbawionym wyrazem twarzy. Rękawiczek nie zdjął, ale sposób w jaki posługiwał się łyżką, w jaki łamał chleb, używał serwetki, świadczył o starannym wychowaniu.

- To znaczy, że jednak jest pan tym sławnym Zurtzmansorem - stwierdził Wiktor - filozofem...

- Obawiam się, że nie - odparł Zurtzmansor wycierając wargi serwetką. - Obawiam się, że z tym słynnym filozofem mam teraz związek nadzwyczaj odległy.

Wiktor nie znalazł odpowiedzi i postanowił odłożyć rozmowę. Ostatecznie, to nie ja jestem inicjatorem spotkania, nie ma co się pchać, skoro on chciał się ze mną zobaczyć, to niech sam

zaczyna... Przyniesiono drugie danie. Nadzwyczaj uważnie Wiktor zaczął kroić mięso. Przy długich stołach zgodnie i prostodusznie mlaskano, szcękając nożami i widelcami. A przecież siedzę tu jak głupi, pomyślał Wiktor. Brat w sapiencji. Ona prawdopodobnie kocha go do tej pory. Zachorował, musieli się rozstać, ale ona nie chciała się rozstać, bo inaczej po co by jechała do tej dziury - żeby wynosić nocniki Roschepera? I często się widują, on zakrada się do sanatorium, zdejmuje opaskę i tańczy z nią. Przypomniawszy sobie, jak oni oboje tańczyli - dwa gołąbeczki. Wszystko jedno. Ona go kocha. A co mnie to obchodzi? Ale przecież jednak obchodzi. Co tu ukrywać - obchodzi. Tylko - co mianowicie? Oni zabrali mi córkę, ale jestem o nią zazdrosny nie jak ojciec. Odebrali mi kobietę, ale jestem zazdrosny o Dianę nie jak mężczyzna. .. O do diabła, skąd takie słowa! Zabrali kobietę, zabrali córkę... Córkę, która zobaczyła mnie po raz pierwszy w dwunastym roku życia... czy może w trzynastym. Kobietę, którą znam kilka dni... Ale proszę - jestem zazdrosny i to nie jak ojciec i nie jak mężczyzna. Tak, byłoby znacznie prościej, gdyby on teraz powiedział: "Szanowny panie, wiem wszystko, splamił pan mój honor, co z udzieleniem mi satysfakcji?"

- Jak idzie praca nad artykułem? - zapytał Zurtzmansor.

- Nijak - odpowiedział Wiktor.

- Ciekawe byłoby go przeczytać - oznajmił Zurtzmansor.

- A czy pan wie co to ma być za artykuł?

- Tak, wyobrażam sobie. Ale pan przecież takiego artykułu nie napisze.

- A jeżeli będę musiał? Mnie generał Pferd nie obroni.

- Widzi pan - powiedział Zurtzmansor - taki artykuł na jakim zależy burmistrzowi wszystko jedno panu nie wyjdzie. Nawet jeżeli będzie się pan bardzo starać. Istnieją ludzie, którzy automatycznie, niezależnie od własnych chęci, transformują na swój sposób każde zadanie jakie, przed nimi staje. Pan należy do takich ludzi.

- To źle, czy dobrze? - spytał Wiktor.

- Z naszego punktu widzenia - dobrze. O osobowości człowieka wiadomo bardzo mało, jeżeli nie liczyć tej części, na którą składają się odruchy. Co prawda, osobowość mas nie zawiera prawie nic poza odruchami. Dlatego tak bardzo cenne są tak zwane osobowości twórcze, indywidualnie przetwarzające informację o rzeczywistości. Porównując znane i dokładnie zbadane zjawisko z odbiciem tego zjawiska w twórczości takiej jednostki, możemy wiele się dowiedzieć o strukturze psychicznej przetwarzającej informację.

- A czy nie wydaje się panu, że brzmi to nieco obraźliwie? - zapytał Wiktor. Zurtzmansor skrzywił się dziwnie i spojrzał na Viktora.

- Aha, rozumiem - odparł. - Twórca, a nie królik doświadczalny... Ale widzi pan, wymieniłem tylko jedną okoliczność, dzięki której jest pan dla nas cenny. Inne okoliczności są powszechnie znane - to prawdziwa informacja o obiektywnej rzeczywistości, mechanizm emocji, sposób pobudzania wyobraźni, zaspokajanie potrzeby współprzeżywania... Właściwie chciałem panu pochlebić.

- Wobec tego czuję się pochlebiony - rzekł Wiktor. - Jednakże wszystkie te rozważania nie mają żadnego związku z pisaniem paszkwili. Bierzemy ostatnie przemówienie pana prezydenta i przepisujemy je w całości, przy czym słowa "wrogowie wolności" zamieniamy słowami "tak zwane mokrzaki", albo "pacjenci krwawego lekarza", albo "wilkołakiz leprozorium"... i moja psychika nie będzie w tej zabawie w ogóle uczestniczyć.

- To się panu tylko tak wydaje - zaprzeczył Zurtzmansor. - Przeczyta pan przemówienie i na początek okaże się, że jest skandalicznie napisane. Mam na myśli jego stylistykę. Zacznie pan poprawiać styl, szukając bardziej precyzyjnych sformułowań, zacznie pracować wyobraźnia, zemdleje pan od zatechłych słów, zechce pan je ożywić, zastąpić urzędowe łgarstwa żywymi faktami i sam pan nawet nie zauważy, kiedy zacznie pan pisać prawdę.

- Być może - powiedział Wiktor. - W każdym razie nie mam teraz ochoty na pisanie tego artykułu.

- A ma pan ochotę pisać coś innego?

- Tak - odparł Wiktor patrząc mu w oczy - z przyjemnością napisałbym, jak dzieci odeszły z miasta. Nowego szczurołapa z Hamelin.

Zurtzmansor z zadowoleniem skinął głową.

- Świetny pomysł. Niech pan napisze.

Napisze, z goryczą pomyślał Wiktor. Twoja mać. ale kto wydrukuje? Może ty wydrukujesz?

- Diana - zapytał. - A czy nie można by się czegoś napić?

Diana wstała bez słowa i wyszła.

- A poza tym napisałbym z przyjemnością o skazanym mieście - powiedział Wiktor. - I o niezrozumiałej aferze wokół leprozorium. I o złych czarownikach.

- Ma pan pieniądze?

- Na razie jeszcze mam.

- Chciałem pana zawiadomić, że prawdopodobnie zostanie pan laureatem nagrody literackiej leprozorium za ubiegły rok. Na ostatnie okrażenie wyszedł pan razem z Tusowem, ale Tusow ma niniejsze szansę, to oczywiste. Więc pieniądze będzie pan miał.

- Ta - ak - powiedział Wiktor. - Coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło. A dużo będzie tych pieniędzy?

- Ze trzy tysiące... Nie pamiętam dokładnie.

Wróciła Diana i nadal bez słowa postawiła na stole butelkę i jedną szklankę.

- Daj jeszcze jedną szklankę - poprosił Wiktor.

- Ja nie będę pić - oznajmił Zurtzmansor.

- Właściwie ja... Hm..

- Ja też nie będę - powiedziała Diana.

- To za "Nieszczęście"? - zapytał Wiktor nalewając.

- Tak. I za "Kotkę". Tak, że na trzy miesiące będzie pan miał spokój. A może na mniej?

- Na jakieś dwa miesiące - odparł Wiktor. - Ale nie o to chodzi... A więc - chciałbym zwiedzić wasze leprozorium.

- Oczywiście - rzekł Zurtzmansor. - Wręczenie nagrody odbędzie się właśnie tam. Tylko, że się pan rozczaruje. Żadnych cudów nie będzie. Będzie dzień wolny od pracy. Około dziesięciu domków i pawilon szpitalny.

- Pawilon szpitalny - powtórzył Wiktor. - I kogóż tam u was leczą?

- Ludzi - odpowiedział Zurtzmansor z dziwną intonacją. Uśmiechnął się i nagle coś dziwnego stało się z jego twarzą. Prawe oko było puste i zjechało do podbródka, usta zrobiły się trójkątne, lewy policzek razem z uchem odpadł od czaszki i zawisł. Trwało to zaledwie mgnienie oka. Dianie wypadł z ręki talerz, Wiktor machinalnie popatrzył za siebie, a kiedy ponownie spojrzął na Zurtzmansora, ten był już jak poprzednio - żółty i uprzejmy. Tfu, tfu, tfu, powiedział w myśli Wiktor. Precz, duchu nieczysty. A może mi się tylko wydało? Spiesznie wyciągnął paczkę papierosów, zapalił i wbił wzrok w szklankę. "Bracia w sapiencji" z wielkim hałasem wstawali od stołów i ruszyli do wyjścia przekrzykując się donośnie. Zurtzmansor powiedział:

- A w ogóle chcielibyśmy, żeby czuł się pan bezpiecznie. Nie powinien się pan niczego obawiać. Zapewne domyśla się pan, że nasza organizacja zajmuje określone położenie i cieszy się określonymi przywilejami. Wiele robimy, więc na wiele się nam pozwala. Pozwala się nam na doświadczenia z klimatem, pozwala się przygotowywać tych, którzy nas zastąpią... i tak dalej. Nie warto specjalnie się rozwodzić. Niektórzy panowie sądzą, że pracujemy dla nich, a my nie wyprowadzamy ich z błędu. - Zamilkł na chwilę. - Proszę pisać o czym pan chce i jak pan chce, nie zwracając uwagi na szczekające psy. Jeśli będzie pan miał kłopoty z wydawcami, albo kłopoty finansowe, pomożemy panu. W ostateczności, będziemy pana sami wydawać. Oczywiście dla siebie. Tak, że ulubione minogi ma pan zapewnione.

Wiktor wypił i pokręcił głową.

- Jasne - stwierdził. - Znowu się mnie kupuje.

- Można to i tak nazwać - odparł Zurtzmansor. - Najważniejsze, żeby pan wiedział - istnieje pewien kontyngent czytelników, powiedzmy, chwilowo niezbyt liczny, który jest niezmiernie zainteresowany pańską pracą. Jest pan nam potrzebny, Baniew, i do tego potrzebny właśnie taki, jaki pan jest. Niepotrzebny jest nam Baniew - nasz zwolennik i nasz piewca, dlatego też niech pan nie łamie sobie głowy zastanawiając się, po czyjej jest pan stronie. Niech pan będzie po swojej stronie, jak zresztą przystoi twórczej jednostce. To wszystko czego nam od pana trzeba.

- Wyjątkowo ulgowe warunki - oznajmił Wiktor. - Carte blanche i w perspektywie hałdy marynowanych minog. W perspektywie oraz w sosie musztardowym. Jakaż więc wdowa powiedziała mi "nie"? Zurtzmansor, czy zdarzyło się panu kiedykolwiek zaprzedać duszę i pióro?

- Tak, naturalnie - odpowiedział Zurtzmansor. - I wie pan, płacono mi skandalicznie mało. Ale to było tysiąc lat temu i na innej planecie - znowu umilkł na chwilę. - Nie ma pan racji, Baniew - rzekł. - My pana nie kupujemy. Po prostu chcemy, żeby pan pozostał samym sobą, obawiamy się, że pana złamią. Wielu przecież już złamali... Wartości moralne nie są na sprzedaż. Można je zniszczyć, ale nie kupić. Każda określona wartość moralna potrzebna jest tylko jednej stronie, jej kradzież lub kupowanie pozbawione jest sensu. Pan prezydent uważa, że kupił malarza R. Kwadrygę. To pomyłka. Pan prezydent kupił chałturszczyka R. Kwadrygę, ale malarz przeciekł mu między palcami i umarł. A my nie chcemy, żeby Baniew przeciekł między palcami komukolwiek, nawet nam, i umarł jako pisarz. Nam są potrzebni artyści, a nie propagandyści.

Wstał. Wiktor również wstał czując niezręczność i dumę, nieufność i poniżenie, rozczarowanie i odpowiedzialność, i coś jeszcze w czym chwilowo nie umiał się zorientować.

- Było mi miło porozmawiać z panem - powiedział Zurtzmansor. - Życzę powodzenia w pracy.

- Do widzenia - odparł Wiktor.

Zurtzmansor lekko się skłonił i odszedł z uniesioną głową długim, pewnym krokiem. Wiktor patrzył w ślad za nim.

- Właśnie za to cię kocham - stwierdziła Diana. Wiktor padł na krzesło i sięgnął po butelkę.

- Za co? - zapytał z roztargnieniem.

- Za to, że im jesteś potrzebny. Za to, że ty, dziwkarz, pijaczyna, awanturnik, niechluj i łajdak pomimo wszystko jesteś potrzebny takim ludziom.

Przechyliła się przez stół i pocałowała Wiktora w policzek. To była jeszcze jedna Diana - Diana Kochająca - o olbrzymich suchych oczach, Maria z Magdali, Diana Patrząca z Dołu do Góry.

- Też mi coś - wymamrotał Wiktor. - Intelktualiści... Kacyki na godzinę. Ale to były tylko słowa. Bo tak naprawdę nie było to takie proste.

Wiktor wrócił do hotelu następnego dnia po śniadaniu. Na pożegnanie Diana dała mu kobiałkę - ze stołecznych szklarni przysłano dla Roschepera pół puda truskawek i Diana rozsądnie zdecydowała, że Roscheper nawet przy swojej anormalnej żarłoczności nie da rady sam wszystkiego pochłonać.

Posępny portier otworzył drzwi Wiktorowi. Wiktor poczęstował go truskawkami, portier wziął kilka jagód, włożył do ust, pożył niczym chleb i powiedział:

- Okazuje się, że mój szczeniak wszystkim tam u nich kręcił.

- Dlaczego pan tak o nim mówi - zaprotestował Wiktor. - To znakomity chłopak. Mądry i bardzo dobrze wychowany.

- No bo lałem go ile wlezie! - rzekł portier odzyskując rezon. - Staralem się... - znowu sposepniał. - Sąsiedzi żyć nie dają. - oznajmił. - A co ja mogłem? O niczym nie wiedziałem.

- Niech pan ich pośle do diabła - poradził Wiktor. - Oni tak z zawiści, a pański chłopak jest rewelacyjny. Ja na przykład bardzo jestem rad, że przyjaźni się z moją córką.

- Ha! - powiedział portier, znowu odzyskując ducha. - To może kiedyś się spokrewnimy?

- A co - odparł Wiktor. - To nawet bardzo możliwe... - wyobraził sobie Bol-Kunaca. -

Czemu nie... Z tego powodu chwilę śmieli się i żartowali.

- Nie słyszał pan wczoraj strzelaniny? - zapytał portier.

- Nie - odparł Wiktor i stał się czujny. - Bo co?

- Tak wyszło - powiedział portier - znaczy, kiedy my wszyscy rozeszliśmy się, niektórzy, znaczy, zostali. Dobrało się paru chojraków, przecięli druty i - do środka. Na karabiny maszynowe.

- O do diabła - rzekł Wiktor.

- Sam nie widziałem - stwierdził portier. - Tak ludzie opowiadają. - Rozejrzał się na boki, kiwnął na Wiktora i powiedział mu szeptem na ucho: - Nasz Teddy też tam był, dostał kulkę. Ale to nic poważnego. Teraz kuruje się w domu.

- Paskudna historia - wymamrotał Wiktor zmartwiony.

Poczęstował truskawkami recepcjonistę, wziął klucz i poszedł do siebie. Nie rozbierając się wykręcił numer Teddyego. Synowa Teddyego zakomunikowała, że na ogół nie jest źle, przestrelili mu mięsień, leży na brzuchu, przeklina i chła wóde. Ona zaś wybiera się dzisiaj do Domu Spotkań zobaczyć syna. Wiktor poprosił, żeby przekazała Teddyemu pozdrowienia, obiecał, że wpadnie i odłożył słuchawkę. Powinien jeszcze zadzwonić do Loli, ale kiedy wyobraził sobie tę rozmowę, krzyki, wyrzuty - nie zadzwonił. Zdjął płaszcz, popatrzył na truskawki, zszedł do kuchni i wyprosił butelkę śmietanki. Kiedy wrócił, w pokoju siedział Pawor.

- Dzień dobry - powiedział Pawor z oślepiającym uśmiechem.

Wiktor podszedł do stołu, wysypał truskawki do miski, zalał śmietanką, posypał cukrem i usiadł.

- No, dzień dobry, dzień dobry - odparł ponuro. - Ma pan mi coś do powiedzenia?

Nie miał ochoty patrzeć na Pawora. Po pierwsze Pawor był kanalia, a po drugie okazuje się, że nie jest przyjemnie patrzeć na człowieka, którego się zakapowało. Nawet jeżeli to kanalia i nawet jeżeli zakapowałeś go z najszlachetniejszych pobudek.

- Wiktorze, proszę mnie wysłuchać - odezwał się Pawor. - Jestem gotów przeprosić pana. Obaj zachowywaliśmy się idiotycznie - ale ja chyba bardziej. To wszystko z powodu służbowych kłopotów. Szczerze proszę o wybaczenie. Byłoby mi diabelnie przykro, gdybyśmy pogniewali się na siebie z powodu takiego głupstwa.

Wiktor zamieszał truskawki łyżeczką i zaczął jeść.

- Jak Boga kocham, ostatnio mi się nie wiedzie - ciągnął Pawor dalej - jestem zły na cały świat. Nikt mi nie współczuje, nikt nie pomaga, ta świnią burmistrz wciągnął mnie w brudną aferę...

- Panie Summan - powiedział Wiktor. - Niech pan nie udaje idioty. Niezłe pan potrafi udawać, ale ja na szczęście rozszyfrowałem pana i studiowanie pana aktorskich talentów nie sprawia mi żadnej przyjemności. Nie chciałbym sobie psuć apetytu, więc może pan sobie pójdzie.

- Wiktorze - rzekł Pawor z wyrzutem. - Przecież jesteśmy dorośli. Nie można przecież przywiązywać takiej wagi do gadania przy stole. Czyżby pan uwierzył, że te głupstwa, które wygadywałem, to moje poglądy? Migrena, przykrości, katar... Czego można wymagać od człowieka w takiej sytuacji?

- Można wymagać, żeby człowiek nie bił mnie z tyłu kastetem po głowie - wyjaśnił Wiktor. - A jeżeli już bije - różnie bywa na świecie - żeby potem nie udawał przyjaciela.

- Ach więc o to chodzi - odparł Pawor z zadumą. Jego twarz niespodziewanie jakby zmizerniała. - Niech pan posłucha, wszystko panu wytłumaczę. To był czysty przypadek. Nie miałem pojęcia, że to pan. A poza tym... Sam pan przecież powiedział, że różnie bywa.

- Panie Summan - oznajmił Wiktor oblizując łyżkę. - Nigdy nie przepadałem za ludźmi pańskiej profesji. Jednego nawet zastrzeliłem - był bardzo odważny w sztabie, kiedy oskarżał oficerów o nielojalność, ale kiedy go posłano na pierwszą linię... Więc niech się pan wynosi.

Jednakże Pawor nie wyniósł się. Zapalił papierosa, założył nogę na nogę i rozwalił się w fotelu. Jasne - chłop jak dąb, na pewno zna karate, w kieszeni ma kastet... Dobrze byłoby się rozzłościć... Czego on, jak Boga kocham, psuje mi apetyt...

- Widzę, że pan dużo wie - stwierdził Pawor. - To niedobrze. Mam na myśli - dla pana. No, dobra. Jednego tylko pan nie wie, że ja osobiście szczerze pana lubię i szanuję. Niech się pan nie wzdryga i nie udaje, że zbiera się panu na wymioty. Mówię serio. Z przyjemnością gotów jestem wyrazić ubolewanie z powodu incydentu z kastetem. Przyznaję nawet, że wiedziałem kogo biję, ale nie miałem innego wyjścia. Za rogiem leży jedyny świadek, atuu jeszcze pan nadszedł... No więc jedyne co mogłem zrobić, to uderzyć pana możliwie delikatnie i tak zresztą zrobiłem. Za co jak najszczerzej przepraszam.

Pawor wykonał arystokratyczny gest. Wiktor patrzył na niego nawet z niejakiego rodzaju ciekawością. W sytuacji tej było coś nowego, coś czego jeszcze nigdy nie doświadczył i co nawet trudno było sobie wyobrazić.

- Jednakże przepraszam za to, że jestem funkcjonariuszem wiadomego departamentu - mówił dalej Pawor - nie mogę i zresztą nie chcę, mówiąc szczerze. Proszę sobie nie wyobrażać, że tam u nas zebrali się sami dusiciele wolnej myśli i łajdaki karierowicze. Tak - pracuję w kontrwywiadzie. Tak - wykonuję brudną robotę. Tylko że każda robota jest brudna, czysta robota nie istnieje. Pan w swoich powieściach przedstawia podświadomość, swoje sławetne libido, no a ja to robię inaczej... O szczegółach panu nie opowiem, bo nie mogę, zresztą, sam pan się pewnie wszystkiego domyśla. Tak, śledzę leprozorium, nienawidzę tych mokrych stworów, boję się ich - i nie tylko o siebie się boję, boję się o wszystkich ludzi, którzy są coś warci. O pana na przykład. Przecież pan ni cholery nie rozumie. Wolny artysta, człowiek emocji, ach, och - i koniec rozmowy. A tu chodzi o losy systemu. Albo, jeżeli pan woli - o losy ludzkości. Nie podoba się panu prezydent - dyktator, tyran, idiota... Ale nadciąga taka dyktatura, jaka się wam, wolnym artystom, nawet nie śniła. Wczoraj w restauracji nagadałem głupstw, ale było w tym racjonalne ziarno - człowiek jest zwierzęciem anarchistycznym, i anarchia go zniszczy, jeżeli system nie będzie wystarczająco mocny. A więc pańskie ulubione mokrzaki proponują taką dyktaturę, że dla zwykłego człowieka po prostu nie będzie już miejsca. Pan myśli, że jeśli ktoś cytuje Zurtzmansora albo Hegla to hoho! Ale taki człowiek patrzy na pana i widzi jedno wielkie gównno, i wcale mu pana nie żal, dlatego że i według Hegla jest pan gównnem i według Zurtzmansora także gównnem. Gównnem zdefiniowanym. A to co się znajduje poza granicami tej definicji - już go nie interesuje. Pan prezydent na skutek swego wrodzonego ograniczenia - no, nawymyśla panu, no, w ostatecznym wypadku każe posadzić, ale potem wypuści z okazji święta narodowego i pełen najlepszych uczuć jeszcze zaprosi pana na obiad. Lecz Zurtzmansor popatrzy na pana przez lupę i zakwalifikuje - psie gównno nie nadające się do niczego - i wnikliwie kierowany wielkim intelektem, przemyśleniami światowej filozofii, strzepnie brudną ścierką do wiadra na śmiecie i zapomni, że pan kiedyś istniał...

Wiktor aż przestał jeść. To było dziwne widowisko, nieoczekiwane. Pawor denerwował się, wargi mu drżały, z twarzy odpłynęła krew, nawet oddychał z trudem. Wyraźnie wierzył w to co mówił, w jego oczach zastygło przerażające widmo straszliwego świata. No, no powiedział do siebie Wiktor ostrzegawczo. To przecież wróg, oprawca. To przecież aktor, próbuje cię kupić za złamany szeląg... Nagle zrozumiał, że ze wszystkich sił stara odepchnąć się od Pawora. To przecież urzędnik, nie zapominaj o tym. Z definicji nie może kierować się ideowymi pobudkami - kazano mu - no to pracuje jak umie. Każą mu bronić mokrzaków - będzie ich bronić. Znam te ścierwa, niejednego już widziałem...

Pawor wziął się w garść i uśmiechnął.

- Wiem co pan myśli - powiedział. - Na pańskiej twarzy widać jak próbuj e pan odgadnąć - czego ten typ się przyczepił, czego ode mnie chce. Proszę więc sobie wyobrazić, że niczego od pana nie chcę. Po prostu szczerze pragnę pana ostrzec, żeby pan się zorientował w sytuacji i stanął po właściwej stronie... - boleściwie wyszczerzył zęby. - Nie chcę, żeby pan stał się zdrajcą ludzkości. Potem ocknie się pan - i będzie za późno... Nie mówię już o tym, że w ogóle powinien się pan stąd wynieść i przyszedłem tu, by pana do tego namówić. Nadchodzą ciężkie czasy, zwierzchność jest w stadium służbowej gorliwości, niektórym dano do zrozumienia, że niby kiepsko pracujecie, panowie, jakieś nieporządki... Ale to jeszcze drobiazg, o tym jeszcze

porozmawiamy. Ja chcę, żeby pan zrozumiał to, co najważniejsze. A najważniejsze to nie to, co będzie jutro. Jutro oni jeszcze będą siedzieć u siebie za drutem kolczastym pod strażą tych kretynów... - znowu wyszczerzył zęby. - Ale za jakieś dziesięć lat...

Wiktor już nie dowiedział się, co będzie za dziesięć lat. Drzwi otwały się bez pukania i weszli dwaj w jednakowych szarych płaszczach i Wiktor od razu wiedział co to za jedni. Automatycznie ścisnęło go w dołku i pokornie wstał, czując mdłości i bezsilność. Ale powiedziano mu: "Siadać, a Faworowi": "Wstać".

- Pawor Summan, jest pan aresztowany.

Pawor, biały, nawet jakoś niebieskawo biały jak odciągane mleko, wstał i powiedział ochryple.

- Nakaz.

Pokazali mu jakiś papierek i kiedy patrzył na ten świstek niewidzącymi oczami, ujęli go pod łokcie, wyprowadzili i zamknęli za sobą drzwi. Wiktor nadal siedział jakby wypuszczono z niego powietrze, patrzył na miskę z truskawkami i powtarzał sobie: "niech się zagryzają wzajemnie, niech się zagryzają..." Wciąż czekał na odgłos zapuszczanego silnika na ulicy i stuk drzwi, ale się nie doczekał. Wtedy zapalił i czując, że już dłużej nie może tak siedzieć, czując, że musi z kimś porozmawiać, zapomnieć, albo ostatecznie napić się z kimś wódki, wyszedł na korytarz. Interesujące, skąd wiedzieli, że on jest u mnie. Nie, to wcale nie jest interesujące. Nic interesującego w tym nie ma... Na klatce schodowej majaczył wysoki profesjonalista. Było tak niezwykajnie widzieć go samego, że Wiktor obejrzał się i rzeczywiście - w kącie na kanapie siedział młody mężczyzna z teczką i rozkładał gazetę.

- A, otóż i on - powiedział wysoki. Młody mężczyzna spojrzał na Wiktora, wstał i zaczął składać gazetę. - Właśnie wybierałem się do pana - powiedział wysoki. - Ale jeżeli już tak wyszło, chodźmy do nas, tam będzie spokojniej.

Wiktorowi było wszystko jedno dokąd pójdzie, więc pokornie powłókł się na drugie piętro. Wysoki

dłuższą chwilę otwierał drzwi numer trzysta dwanaście. Miał cały pęk kluczy i zdaje się, wypróbował je wszystkie. Tymczasem Wiktor i młody człowiek w okularach stali obok siebie, i młody człowiek miał bardzo znudzony wyraz twarzy, Wiktor zaś zastanawiał się, co by się stało, gdyby dać mu teraz w łeb. wyrwać teczkę i pobiec korytarzem. Potem weszli do środka i młody człowiek natychmiast wyszedł do sypialni po lewej stronie, a wysoki powiedział do Wiktora: "Chwileczkę" i oddalił się do sypialni po prawej stronie. Wiktor usiadł przy stole ze szlachetnego drewna i zaczął wodzić palcem po szorstkich kółkach pozostawionych na politurze przez szklanki i kieliszki. Krążków było mnóstwo, ze stołem nikt się nie cackał, nie zwracano uwagi na szlachetne drewno, kładziono na nim zapalone papierosy i co najmniej raz strząśnięto atrament z pióra. Potem ze swojej sypialni wyszedł młody człowiek - tym razem bez teczki i marynarki, w domowych kapciach, z gazetą w jednej ręce i pełną szklanką w drugiej. Usiadł w swoim fotelu pod lampą i natychmiast ze swojej sypialni pojawił się wysoki z tacą, którą postawił na stole. Na tacy stała zaczęta butelka szkockiej, szklanka i leżało spore, kwadratowe pudełko.

- Najpierw formalności - powiedział wysoki. - Chociaż nie, najpierw druga szklanka - rozejrzał się, wziął z biurka szklany kubeczek na ołówki, zajrzał do niego, wytrząsnął, dmuchnął i postawił na tacy. - A więc formalności - powtórzył.

Wyprostował się, stanął w postawie zasadniczej i surowo wybałuszzył oczy. Młody człowiek odłożył gazetę, wstał również, ze znudzeniem patrząc w ścianę. Wtedy Wiktor podniósł się również.

- Wiktorze Baniew! - przemówił wysoki urzędowo wzniosłym tonem. - Szanowny panie! W imieniu i na specjalne polecenie pana prezydenta, mam zaszczyt wręczyć panu medal "Srebrnej Koniczyny drugiej klasy" w nagrodę za szczególne usługi okazane departamentowi, który mam honor tu reprezentować!

Otworzył granatowe pudełko, uroczyście wyjął z niego medal na białej wstążeczce z mory i

zaczął przypinać go do piersi Wiktora. Młody człowiek zareagował grzecznymi oklaskami. Następnie wysoki wręczył Wiktorowi legitymację i pudełko, uściśnął mu dłoń, cofnął się o krok, przez chwilę z zachwytem kontemlował i też zaklaskał. Wiktor, czując się jak idiota, również zaczął klaskać.

- A teraz trzeba to oblać - oznajmił wysoki

Wszyscy usiedli. Wysoki rozlał whisky, sobie wziął kubeczek na ołówki.

- Zdrowie kawalera "Koniczyny"! - powiedział.

Wszyscy ponownie wstali, wymienili uśmiechy, wypili i znowu usiedli. Młody człowiek w okularach natychmiast wziął gazetę i zasłonił się nią.

- Trzeciej klasy, zdaje się, już pan ma - rzekł wysoki. Teraz tylko jeszcze pierwsza i będzie pan pełnym kawalerem. Bezpłatne przejazdy i tak dalej. Za co panu dali ten pierwszy?

- Nie pamiętam - odparł Wiktor. - Coś tam było, pewnie zabiłem kogoś... A, przypomniałem sobie. To za kitchegański przyczołek.

- O! - rzucił wysoki i znowu rozlał whisky. - A ja na wojnie nie byłem. Nie zdążyłem.

- Miał pan szczęście - stwierdził Wiktor. Wypili. - Mówiąc między nami, nie mam pojęcia za co dostałem ten medal.

- Przecież powiedziałem - za szczególne zasługi.

- Za Summana, czy jak? - zapytał Wiktor, uśmiechając się gorzko.

- Niech pan przestanie! - rzekł wysoki. - Jest pan przecież ważną osobistością, przecież tam, w kołach. ... - niejasno pomachał ręką dookoła ucha.

- W jakich znowu kołach... - powiedział Wiktor.

- Wiemy, wiemy! - figlarnie zawołał wysoki. - Wszyscy wiemy. Generał Pferd, generał Pukki, pułkownik Bambarcha... Brawo.

- Pierwszy raz słyszę - odparł Wiktor nerwowo.

- Rozpoczął sprawę pułkownik. Nikt, jak pan sam rozumie, nie protestował - ja myślę! No, a potem generał Pferd był z raportem u prezydenta i podsunął mu wniosek na pana... - Wysoki roześmiał się. - Podobno było niezłe kino. Stary wrzeszczał: "Jaki Baniew? Kuplecista? Za nic!" Ale generał do niego, tak surowo: "Trzeba tak, wasza magnificencjo!" Słowem udało się. Staruszek nawet się wzruszył, dobra, powiada, przebaczam. Co tam między wami zaszło?

- Nic takiego - niechętnie odpowiedział Wiktor. - Posprzeczaliśmy się na temat literatury.

- Rzeczywiście pisze pan książki? - zapytał wysoki.

- Tak. Jak pułkownik Lawrence.

- I jak, przyzwicie płacą?

- Też będę chyba musiał spróbować - oznajmił wysoki. - Tylko, że ciągle nie mam czasu.

To jedno, to drugie...

- Tak, czasu brakuje - zgodził się Wiktor. Przy każdym ruchu medal kiwał się i stukał po żebrach. Wrażenie było takie, jak przy kataplazmach. Że jak się zdejmie, od razu będzie lżej. - Wie pan - rzekł wstając - ja już sobie pójdę. Najwyższy czas. Najwyższy czas.

Wysoki natychmiast się poderwał.

- Do widzenia - powiedział.

- Do widzenia.

- Mam honor pożegnać - skłonił się wysoki. Młody człowiek w okularach opuścił gazetę i skłonił się.

Wiktor wyszedł na korytarz i natychmiast zdarł z siebie medal. Miał okropną ochotę wrzucić go do kosza na śmiecie, ale się powstrzymał i wsadził go do kieszeni. Zszedł na dół do kuchni, wziął butelkę dzinu, a kiedy wracał, recepcjonista oznajmił:

- Panie Baniew, dzwonił do pana pan burmistrz. Nie było pana w pokoju i ja...

- Czego chciał? - ponuro zapytał Wiktor.

- Prosił, żeby pan do niego niezwłocznie zadzwonił. Idzie pan do siebie? Jeżeli pan burmistrz zadzwoni jeszcze raz...

- Proszę mu powiedzieć, żeby mnie pocałował w dupę - odparł Wiktor. - Teraz wyłączę u siebie telefon, a jeżeli on zadzwoni proszę mu właśnie tak powtórzyć: pan Baniew, kawaler Koniczyny drugiej klasy proponuje, żeby pan, panie burmistrzu, pocałował go w dupę.

Zamknął się w swoim pokoju, wyłączył telefon i z jakiegoś powodu przykrył go poduszką. Potem usiadł przy swoim stole, nalał dżinu i nie rozwadniając go, wypił duszkiem całą szklankę. Dżin sparzył gardło i przełyk. Wtedy złapał łyżkę i zaczął zjadać truskawki ze śmietanką nie wiedząc co robi. Mam dosyć, mam dosyć, myślał. Nic nie chcę, ani orderów, ani honorariów, ani waszej jałmużny, nie potrzeba mi waszej opieki, ani waszej nienawiści, ani waszej miłości, zostawcie mnie samego, mam po uszy siebie samego, nie wplątujcie mnie w wasze afery.... Ścisnął rękami głowę, żeby nie widzieć przed sobą sinawobiałej twarzy Pawora i tych bezbarwnych i bezlitosnych pysków w jednakowych płaszczach. Generał Pferd z wami, generał Buttock, generał Arschmann razem z waszymi uściskami i orderami, i Zurtzmansor z odklejoną twarzą... Wciąż próbował zrozumieć, co mu to przypomina. Wypił jeszcze pół szklanki i zrozumiał, że w konwulsjach zwija się na dnie okopu, a ziemia wywraca się pod nim, całe warstwy geologiczne, gigantyczne masy granitu, bazaltu, lawy wypierają się wzajemnie, jęcząc z wysiłku wypuczają się, wyrzuszają i przy okazji, nie zwracając uwagi, wyciskają go na górę, coraz wyżej, wyduszają z okopu, wznoszą nad ziemią, a czasy są ciężkie, władza ma atak służbowej gorliwości, zwrócono uwagę, że kiepsko pracujecie, a on tu na widoku, goluteńki zasłania oczy rękami, wypchnięty z okopu. Opaść by na dno, myślał. Opaść by na samo dno, żeby nikt nie słyszał i nie widział. Opaść by na dno jak łódź podwodna i ktoś mu podpowiedział: uciec radarom. Tak, tak. Opaść by na dno jak łódź podwodna, uciec radarom. I nikomu nie dać znać o sobie. Nie ma mnie, nie ma. Milczę. Sami się wygrzebujcie. Boże, dlaczego w żaden sposób nie mogę zostać cynikiem? Opaść by na dno jak łódź podwodna, uciec radarom, leżeć i spać. Opaść by na dno jak łódź podwodna, powtarzał, swoich sygnałów nigdzie nie ślać. Poczul już rytm, i od razu przyszło: dość mam po uszy, po czubek głowy. Wszystko mi zbrzydło. Zbrzydło mi do dna... Nadal sobie dżinu i wypił. Wódka, gitara, muzyka, pieśń, opaść by na dno jak łódź podwodna... Gdzie jest banjo, pomyślał. Gdzie ja podziałem banjo? Wlażł pod łóżko i wyciągnął banjo. Mam was wszystkich gdzieś, pomyślał. Och, do jakiego stopnia mam was gdzieś! Opaść by na dno jak łódź podwodna, uciec radarom. Rytmicznie uderzał po strunach i w tym rytmie początkowo stół, a następnie cały świat zaczął przytupywać i poruszać ramionami. Wszyscy generałowie i pułkownicy, wszyscy mokrzy ludzie z odpadającymi twarzami, wszystkie departamenty bezpieczeństwa, wszyscy prezydenci i Pawor Summan, któremu wykręcano ręce i bito po mordzie... Dość mam po uszy, po czubek głowy, Boże jak ja mam serdecznie dość, wódka, gitara, muzyka, pieśń. Opaść by na dno, opaść by na dno... Uciec radarom, leżeć i spać... Łódź podwodna... i wypić do dna i do ostatka... łagier nie matka.

*

Do drzwi już od dawna ktoś pukał coraz głośniej i głośniej i Wiktor wreszcie usłyszał, ale się nie przestraszył, dlatego że to nie było TO pukanie. Zwyczajne, cieszące uszy pukanie normalnego człowieka, który się złości, że mu nie otwierają. Wiktor otworzył drzwi. To był Golem.

- Wesolo panu? - zapytał. - Pawora aresztowano.

- Wiem, wiem - odpowiedział wesolo Wiktor. - Niech pan siada i słucha... Golem nie usiadł, ale Wiktor i tak uderzył w struny i zaśpiewał:

Dość mam po uszy, po czubek głowy, Boże, jak ja mam serdecznie dość, Opaść by na dno, jak łódź podwodna, Wszystkim radarom uciec na złość.

- Dalej jeszcze nie mam. - krzyknął. - Dalej będzie kac, spać, pić, nic, do ostatka, łagier - nie matka... A potem - niech pan słucha:

Kurwa, czy wódka, nic nie pomogło. Kurwa paskuda, po wódce kac. Opaść by na dno jak

łódź podwodna, Uciec radarom, leżeć i spać.

Wszystko mi zbrzydło, zbrzydło mi do dna. Wódka, gitara, muzyka, pieśń. Opaść by na dno jak łódź podwodna, Opaść by na dno i mieć to gdzieś.

- Koniec! - krzyknął i rzucił banjo na łóżko. Poczł ogromną ulgę, jak gdyby coś się zmieniło, jakby nagle stał się bardzo potrzebny, tam nad okopem na oczach wszystkich - oderwał dłonie od zmrużonych oczu, spojrzł na szare, brudne pole, na zardzewiały drut kolczasty, szare toboły, które niedawno były ludźmi, niemrawą, monotonna krzątanicę, którą kiedyś nazywano życiem i ze wszystkich stron ludzie zaczęli wstawać z okopu, ktoś cofnął palec ze spustu...

- Zazdroszczę panu - powiedział Golem. - Ale czy nie czas usiąść do artykułu?

- Mowy nie ma - odrzekł Wiktor. - Pan mnie jeszcze nie zna, Golem - mam ich wszystkich gdzieś. I niech pan wreszcie usiądzie do diabła! Jestem pijany, i, i niech się pan też napije. Proszę się rozebrać... Niech się pan rozbiera, do kogo mówię! - wrzasnął. - I siada! Tu jest szklanka, niech pan pije! Nic pan nie rozumie, chociaż jest pan prorokiem. A ja na to nie pozwolę. Nie rozumieć - to moja prerogatywa. Na tym świecie wszyscy zbyt dobrze wszystko rozumieją - co być powinno, co jest i co będzie, i ogromnie brakuje ludzi, którzy nie rozumieją. Zastanawiał się pan kiedyś, na czym polega moja wartość? Tylko na tym, że nie rozumiem. Odślaniając przede mną olśniewające perspektywy - ale ja mówię, nie, nic z tego nie rozumiem. Ogłupiają mnie teoriami uproszczonymi do granic możliwości - ale ja mówię, nie, nadal nic nie rozumiem... Właśnie dlatego jestem potrzebny... Chce pan truskawek? Chociaż zdaje się, że już wszystkie zjadłem. W takim razie zapalimy sobie...

Wstał i przespacerował się po pokoju. Golem ze szklanką w ręku obserwował go nie odwracając głowy.

- To zdumiewający paradoks, Golem. Były czasy, kiedy wszystko rozumiałem. Miałem szesnaście lat, byłem starszym rycerzem Legii, rozumiałem absolutnie wszystko i na nic nikomu nie byłem potrzebny! W jakiejś bijatyce rozwalono mi głowę, miesiąc przeleżałem w szpitalu, a wszystko szło swoją koleją - Legia zwycięsko maszerowała naprzód beze mnie, pan prezydent nieubłaganie stawał się panem prezydentem - także beze mnie. Wszyscy świetnie obchodzili się beze mnie. Potem to samo powtórzyło się na wojnie. Byłem oficerem, dostawałem orderzy i naturalnie wszystko rozumiałem. Przestrzelono mi pierś, trafiłem do szpitala - no i co, czy ktoś zainteresował się, gdzie jest Baniew, co się stało z Baniewem, gdzie się podział nasz odważny, wszystko rozumiejący Baniew? Takiego wała! Ale za to kiedy przestałem rozumieć cokolwiek - o, wtedy wszystko się zmieniło. Wszystkie gazety mnie zauważyły. Wszystkie departamenty. Pan prezydent osobiście zaszczycił... No? Wyobraża pan sobie, jaka to rzadkość - człowiek, który nie rozumie! Wszyscy go znają, troszczą się o niego generałowie i pokój... e - e... pułkownicy, jest okropnie potrzebny mokrzakom, uważa się, że to jest ktoś, koszmar! Dlaczego? A dlatego, panowie, że nic nie rozumie. - Wiktor usiadł. - Bardzo jestem pijany? - zapytał.

- Owszem - powiedział Golem. - Ale to nieważne, niech pan mówi dalej.

Wiktor rozłożył ręce.

- To już wszystko - oznajmił przepaszająco. - Wyczerpałem się... Może zaśpiewać panu?

- Niech pan śpiewa - zgodził się Golem.

Wiktor wziął banjo i zaczął śpiewać. Zaśpiewał "Piosenkę dzielnych żołnierzy", potem "Uratowanych ludzi", potem "O pastuchu, któremu byk wybił jedno oko i który dlatego poszedł na zieloną państwową granicę", potem "Dość mam po uszy", potem "Miasto obojętnych", potem o prawdzie i kłamstwie, potem znowu "Dość mam po uszy", potem hymn państwowy na melodię "Ach, co za nóżki", ale zapomniał słów, pomylił zwrotki i odłożył banjo.

- Znowu wyczerpałem się - oznajmił ze smutkiem. - Więc powiada pan, że aresztowano Pawora? A ja o tym wiem. Siedział akurat u mnie, tam gdzie pan siedzi... Czy pan wie, co on chciał powiedzieć, tylko nie zdążył? Że za dziesięć lat mokrzaki opanują kulę ziemską i wszystkich nas zlikwidują. A co pan sadi?

- Raczej wątpię - powiedział Golem. - Zresztą, po co nas likwidować? Sami się wzajemnie

zlikwidujemy.

- A mokrzaki?

- Być może nie pozwolą nam się zlikwidować... Trudno powiedzieć.

- A być może jeszcze pomogą? - rzekł Wiktor z pijackim uśmiechem. - Przecież my nawet zabijać nie umiemy. Dziesięć tysięcy lat wybijamy się i rezultaty wciąż są nie najlepsze... Proszę posłuchać, Golem, po co pan mnie okłamywał opowiadając o ich leczeniu? Oni wcale nie są chorzy, są zdrowsi od nas, tylko nie wiadomo dlaczego żółci...

- Hm - mruknął Golem. - Skąd ma pan takie informacje? Nic o tym nie wiem.

- Dobra, dobra, więcej mnie pan nie oszuka. Rozmawiałem z Żur., z Zu... Zurtzmansorem. Wszystko mi opowiedział - tajny instytut... założyli opaski w celu zachowania... Wie pan, Golem, oni tam u was wyobrażają sobie, że mogą manipulować generałem Pferdem bezgranicznie długo. Ale tak naprawdę - to są kacyki na piętnaście minut. Generał zeżre ich razem z opaskami i rękawiczkami, kiedy się przegłodzi... Fu, do diabła, ależ ja jestem pijany - wszystko płynie...

Trochę jednak udawał. Wyraźnie widział przed sobą grubo ciosaną, szarawą twarz i maleńkie, niezwykle czujne oczka.

- I Zurtzmansor powiedział panu, że jest zdrowy?

- Tak - oznajmił Wiktor. - Zresztą nie pamiętam... Raczej chyba nie... Ale i tak przecież widać. Golem poskrobał podbródek krawędzią szklanki.

- Szkoda, że pan jest pijany - rzeki. - Zresztą, może to i lepiej. Mam dzisiaj nastrój. Chce pan, żebym opowiedział wszystko czego się domyślam i co wiem o mokrzakach?

- Niech pan mówi - zgodził się Wiktor. - Tylko proszę więcej nie kłamać.

- Choroba okularnicza - powiedział Golem - to bardzo interesująca rzecz. Czy wie pan kogo atakuje ta choroba? - zamilkł. - Nie, nic panu nie opowiem.

- E tam - odparł Wiktor. - Przecież pan już zaczął.

- Jestem głupi, dlatego zacząłem - stwierdził Golem. Spojrzał na Wiktora i uśmiechnął się.

- Proszę o pytania - powiedział. - Jeżeli pytania będą głupie, z przyjemnością na nie odpowiem... Niech pan zaczyna, bo się znowu rozmyślę.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wynosić się do diabła! - wrzasnął Wiktor. - Jestem zajęty!

- Przepraszam panie Baniew - odezwał się nieśmiały głos recepcjonisty. - Ale dzwoni pańska małżonka.

- Kłamstwo! Nie mam żadnej małżonki.. Zresztą, pardon. Zapomniałem. Dobra, zaraz do niej zadzwonię, dziękuję - złapał szklankę, nalał po brzegi, wręczył Goleniowi i rzekł - Proszę pić i nie myśleć o niczym. Ja zaraz.

Włączył telefon i nakręcił numer Loli. Lola rozmawiała bardzo sucho - daruj, że ci przeszkadzam, ale mam zamiar jechać do Army, może będziesz łaskaw się przyłączyć.

- Nie - odpowiedział Wiktor. - Nie będę łaskaw. Jestem zajęty.

- Pomimo wszystko ona jest również twoją córką! Czyżbyś upadł tak nisko..

- Jestem zajęty! - ryknął Wiktor.

- Nie wzruszają cię losy twojej, córki?

- Przestań udawać idiotkę - powiedział Wiktor. - Zdaje się, że chciałaś pozbyć się Army.

Pozbyłaś się. Czego ci jeszcze trzeba?

Lola zaczęła płakać.

- Przestań - rzekł Wiktor krzywiąc się. - Irmie jest tam dobrze. Lepiej niż na najlepszej pensji. Jedź i sama się przekonaj.

- Ordynarna, bezduszna, egoistyczna świnka - oświadczyła Lola i odłożyła słuchawkę. Wiktor zaklął szeptem, znowu wyłączył telefon i wrócił do stołu.

- Niech pan posłucha, Golem - powiedział. - Co wy tam wyprawiacie z moimi dziećmi? Jeśli przygotowujecie sobie zmianę, to ja się nie zgadzam.

- Jaką zmianę?

- No, jaką... Właśnie pytam pana - jaką?

- O ile mi wiadomo - odparł Golem. - Dzieci są bardzo zadowolone.

- To nic nie znaczy... I bez pana wiem, że są zadowolone. Ale co one tam robią?

- Kto?

- Dzieci.

- A czy one panu nie powiedziały?

- Jak mi mogły cokolwiek powiedzieć, jeżeli ja jestem tu, a one tam?

- One budują nowy świat - rzekł Golem.

- A... Tak, to mi powiedziały. Ale to przecież tylko tak, filozofia... Znowu mnie pan okłamuje, Golem! Jaki może być nowy świat za drutem kolczastym? Nowy świat pod komendą generała Pferda! A jeżeli one się zarażą?

- Czym? - zapytał Golem.

- Chorobą okularniczą, oczywiście!

- Po raz szósty powtarzam panu, że choroby genetyczne nie są zaraźliwe!

- Szósty, szósty... - wymamrotał Wiktor utraciwszy wątek. - A co to w ogóle takiego ta choroba okularnicza? Co przy niej boli? Może to też tajemnica?

- Nie, to było wszędzie publikowane.

- No to niech pan opowie - zaproponował Wiktor. - Tylko bez terminologii.

- W pierwszym okresie - zmiany na skórze. Pryszczki, pęcherze, szczególnie na rękach i nogach... czasami - ropiejące wrzody...

- Niech pan posłucha, Golem, czy to w ogóle jest ważne?

- W jakim sensie?

- Dla istoty rzeczy.

- Dla istoty - nie - odparł Golem. - Myślałem, że to interesujące.

- Ja chcę zrozumieć istotę! - oświadczył Wiktor dociekliwie.

- Ale istoty pan nie zrozumie - powiedział Golem nieco podnosząc głos.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że jest pan pijany...

- To jeszcze nie powód - rzekł Wiktor.

- A po drugie dlatego, że tego w ogóle nie da się wytłumaczyć.

- Tak nigdy nie jest - oświadczył Wiktor. - Pan mi po prostu nie chce powiedzieć. Ale nie mam żalu. Tajemnica służbowa, rozpowszechnianie, trybunał wojskowy... Pawora na przykład zabrali... Bóg z panem. Tylko nie rozumiem, dlaczego dziecko ma budować nowy świat w leprozorium. Czy nie było innego miejsca?

- Nie było - odparł Golem. - W leprozorium mieszkają architekci. I kierownicy robót.

- Z automatami - stwierdził Wiktor. - Widziałem. Nic nie rozumiem. Któryś z was kłamie.

Albo pan, albo Zurtzmansor.

- Oczywiście, że Zurtzmansor - odpowiedział Golem z zimną krwią.

- A być może kłamięcie obydwaj. Ale ja wierzę wam obu, dlatego, że coś w was jest...

Niech pan mi tylko powie, Golem, czego oni chcą? Ale uczciwie.

- Szczęścia - powiedział Golem.

- Dla kogo? Dla siebie?

- Nie tylko.

- A czym kosztem?

- Dla nich takie pytanie nie ma sensu - powoli odrzekł Golem. - Kosztem trawy, kosztem obłoków, kosztem płynącej wody... kosztem gwiazd.

- Dokładnie tak jak my - stwierdził Wiktor.

- No nie - zaprotestował Golem. - Zupełnie inaczej.

- Dlaczego? My też...

- Nie, dlatego, że my wydeptujemy trawę, rozpraszamy obłoki, spiętrzamy wodę...

Zrozumiał mnie pan zbyt dosłownie, a to była analogia.

- Nie rozumiem - odrzekł Wiktor.

- Uprzedzałem pana. Sam rozumiem bardzo niewiele, ale się domyślałem.

- A czy jest ktoś, kto rozumie?

- Nie wiem. Raczej wątpię. Być może dzieci... Ale nawet one jeżeli rozumieją, to po swojemu. Bardzo po swojemu.

Wiktor wziął banjo i trącił struny. Palce się nie słuchały. Położył banjo na stole.

- Golem - rzekł. - Jest pan komunistą. Co u diabła robi pan w leprozorium? Dlaczego pan nie jest na barykadzie? Dlaczego nie na wiecu? Moskwa nie będzie z pana zadowolona.

- Ja jestem architektem - spokojnie odparł Golem.

- Jaki tam z pana architekt, jeśli pan ni cholery nie rozumie? I w ogóle niech mi pan przestanie robić wodę z mózgu. Przez godzinę bijemy pianę, a co mi pan powiedział? Pije pan mój dzin i maści mi w głowie. Wstyd, Golem. I do tego kłamie pan jak najęty.

- Że jak najęty, to przesada - odpowiedział Golem. - Chociaż nie powiem, że nie. Oni nie miewają ropiejących wrzodów.

- Niech pan mi odda szklanę - zażądał Wiktor. - Już pan się napił - nalał sobie z butelki i wypił. - Diabli pana wiedzą, Golem. Po co to wszystko? Dlaczego pan kręci? Jeśli może pan opowiedzieć, to niech pan opowie, a jeżeli to tajemnica - to po co było zaczynać?

- Wyjaśnienie jest bardzo proste - oznajmił niefrasobliwie Golem wyciągając nogi. - Przecież jestem prorokiem, sam pan mnie tak przezwał. A wszyscy prorocy są w takiej samej sytuacji - i dużo wiedzą, i chcieliby opowiedzieć, podzielić się informacją w miłym towarzystwie, pochwalić się, żeby przydać sobie powagi. Ale kiedy zaczynają opowiadać, pojawia się dziwne uczucie niewygody, niezręczności... Więc zaczynają wibrować tak jak Pan Bóg, kiedy zadano mu pytanie w sprawie kamienia.

- Jak pan sobie życzy - powiedział Wiktor. - Pojadę do leprozorium i wszystkiego dowiem się bez pana. No, proszę mi coś podpowiedzieć...

Obserwował z ciekawością jak traci władzę w rękach i nogach i myślał, że dobrze byłoby wypić jeszcze jedną szklanę do kompletu, uwalić się spać, a potem obudzić się i pojechać do Diany. Wszystko właściwie zapowiada się nie najgorzej. W ogóle nie jest najgorzej. Wyobraził sobie, jak zaśpiewa Dianie o łodzi podwodnej i zrobiło mu się zupełnie dobrze. Wziął mokre wiosło, które leżało na rufie, odepchnął się od brzegu i łódką od razu zakołysało. Nie było żadnego deszczu, czerwono zachodziło słońce, więc popłynął prosto ku słońcu, a wiosła odskakiwały od grzbietów fal. Opaść by na dno... Zapewne by opadł, ale było mu jakoś głupio, dlatego, że nad uchem leniwie buczał głos Golenia:

- .. Oni są bardzo młodzi, wszystko przed nimi, a przed nami tylko oni. Rzecz jasna, że człowiek opanuje Wszechświat, ale nie będzie to rumiany - , umięśniony atleta, i oczywiście człowiek poradzi sobie sam ze sobą, ale najpierw przemieni siebie. Natura nie oszukuje, dotrzyma swoich obietnic, ale nie tak jak myśleliśmy, i często nie tak jak byśmy chcieli.

Zurtzmansor, który siedział na dziobie łodzi, odwrócił głowę, a wtedy okazało się, że w ogóle nie ma twarzy, twarz trzymał w ręku i twarz patrzyła na Wiktora - sympatyczna twarz, uczciwa, ale robiło się niedobrze na jej widok, a Golem się nie odczepiał, wciąż buczał...

- Niech pan się kładzie spać - wymamrotał Wiktor, wyciągając się na dnie łodzi. Wręgi wciskały mu się w boki, było bardzo niewygodnie, ale tak okropnie chciało mu się spać. - Niech pan się kładzie spać, Golem...

Kiedy się obudził, stwierdził, że leży w łóżku. Było ciemno, a w szyby bębnił drobny deszcz. Wiktor z trudem wyciągnął rękę w stronę nocnej lampki, ale palce trafiły na zimną, gładką ścianę. Dziwne, pomyślał. A gdzie Diana? Czyżby nie był w sanatorium? Spróbował oblizać wargi, ale gruby, chropawy język nie usłuchał go. Strasznie chciało mu się palić, ale palić nie wolno było w żadnym wypadku... Aha, właściwie to chce mi się pić. "Diana!" - zawołał. Prawda, to nie sanatorium. W sanatorium lampka jest po prawej, a tu po prawej ściana... Ależ to mój pokój w hotelu! - pomyślał z entuzjazmem. Jak ja tu trafiłem? Leżał pod kołdrą w samej bieliźnie. Jakoś nie pamiętam, żebym się rozbierał, pomyślał. Ktoś mnie rozebrał. Chociaż, może jednak rozebrałem się sam. Jeśli mam buty, to rozbierałem się sam... potarł nogą o nogę. Aha, jestem bosy. O do diabła, ręce swędzą, jakieś bąble, zapluskwiony hotel. Wyprowadzę się. A dokąd płynąłem łódką?... A, to ten Pawor napuścił pluskiew... Nagle przypomniał sobie Pawora i usiadł, zemdlilo go i znowu położył się na wznak. Jednak dawno się tak nie uchlałem... Pawor... "Srebrna Koniczyna"... Kiedy to było? Wczoraj? Skrzywił się i zaczął drapać się w lewą rękę. Co teraz jest - rano, czy wieczór? Zapewne rano... A może wieczór? Golem! - przypomniał sobie. Obciągnęliśmy z Golemem całą butelkę. Dżinu bez wody. A przedtem pół butelki z tym wysokim. A przedtem jeszcze gdzieś piłem. A może to było wczoraj? Poczekaj - no, a co teraz jest - dzisiaj, czy wczoraj? Warto by wstać, napić się i te de... Nie, pomyślał uparcie. Najpierw muszę się w tym wszystkim zorientować.

Coś mi Golem ciekawego opowiadał, myślał, że jestem pijany i nic nie rozumiem, więc można mówić ze mną otwarcie. Zresztą, rzeczywiście byłem pijany, ale o ile pamiętam, wszystko rozumiałem. A co rozumiałem? Wściekle potarł tylną stronę dłoni o wełniany koc. Nadchodzą ciężkie czasy... Nie, to Pawor. .. Aha, oto i Golem - oni mają wszystko przed sobą, a my mamy przed sobą tylko ich. I choroba genetyczna... A co, zupełnie możliwe. W końcu kiedyś to się musiało wydarzyć. Być może trwa to już od dawna. Wewnątrz gatunku rodzi się nowy gatunek, a my nazywamy to chorobą genetyczną. Stary gatunek dla jednych warunków, nowy gatunek dla innych. Dawniej były potrzebne silne mięśnie, płodność, wytrzymałość na mrozy, agresywność i jeżeli można tak powiedzieć, zaradność. Powiedzmy, że teraz też jest to potrzebne, ale już raczej siłą inercji. Przy pewnej zaradności można zatłuc milion ludzi i nic szczególnie ważnego się nie stanie. To jest zupełnie pewne i wielokrotnie wypróbowane. Ktoś powiedział, że gdyby z historii usunąć kilkudziesięciu, no dobrze, niech będzie, kilkuset ludzi, to momentalnie okazalibyśmy się w wieku kamienia łupanego. A nawet kilka tysięcy... Co to za ludzie? To, mój drogi zupełnie inni ludzie.

Całkiem możliwe, że Newton, Einstein, Arystoteles - to mutanci. Rzecz jasna środowisko było niezbyt sprzyjające i niewykluczone, że masa takich mutantów zginęła, nie zdążywszy się ujawnić, jak ten chłopiec z opowiadania Čapka. Oczywiście, byli niezwykle ludźmi - nie byli zaradni, nie mieli normalnych ludzkich potrzeb... Albo może tylko tak się wydaje? Po prostu duchowo byli tak nadnaturalnie rozwinięci, że cała reszta zostawała w cieniu. No, tu przesadziłeś, powiedział. Einstein mówił, że najlepiej jest być latarnikiem - to samo w sobie dobrze brzmi... A w ogóle ciekawe byłoby wyobrazić sobie jak w naszych czasach rodzi się homo super. Fabuła ekstra... Do diabła, jak strasznie swędzą ręce... Gdyby tak napisać utopię w duchu Orwella albo Bernarda Wolfa. Co prawda, trudno sobie wyobrazić takiego homo super - ogromna, łysa czaszka, wątłutkie rączki i nóżki, impotent - same banały. Ale właściwie to powinno być coś w tym rodzaju. W każdym razie przesunięcie potrzeb. Wódka niepotrzebna, jakieś szczególnie wyrafinowane żarcie również, żadnych luksusów, zresztą i kobiety - o tyle o ile, dla większego spokoju i lepszej koncentracji. Idealny obiekt eksploatacji - dać mu oddzielny gabinet, biurko, papier, kupę książek... alejkę dla perypatetycznych rozmyślań, a on za to rodzi koncepcje... Nie wyjdzie z tego żadna utopia - zabiorą go sobie wojskowi, oto cała utopia. Stworzą utajniony instytut, zwiozą tam tych wszystkich homo super, postawią wartownika i koniec...

Wiktor wstał postępując, człapiąc bosymi stopami po zimnej podłodze wszedł do łazienki, odkręcił kran i z rozkoszą napił się wody nie zapalając światła. Sama myśl - żeby zapalić światło -

była przerażająca. Potem wrócił do łóżka i przez czas jakiś drapał się, przeklinając pluskwy. W ogóle, dla potrzeb fabuły wygląda to nawet dobrze - tajny instytut, wartownicy, szpiedzy... patriotyzm patriotycznej sprzątaczkii Klary... co za taniocza. Trudność polega na tym, żeby wyobrazić sobie ich pracę, pomysły, możliwości - gdzie mi tam... To w ogóle niemożliwe. Szympanś nie potrafi napisać powieści o ludziach. Jak ja mogę napisać powieść o człowieku, który nie ma żadnych potrzeb poza duchowymi? Oczywiście, coś niecoś można sobie wyobrazić. Atmosferę. Stan nieustannej twórczej ekstazy. Poczucie własnej wszechmocy, niezależności... brak kompleksów, absolutny brak strachu... Tak, żeby napisać taką książkę, trzeba się nażreć LSD. W ogóle emocjonalna sfera homo super, z punktu widzenia zwyczajnego człowieka wyglądałaby jak patologia. Choroba... Życie - to choroba materii, myślenie - choroba życia. Choroba okularnicza, pomyślał.

I nagle wszystko znalazło się na swoim miejscu. A więc to o to mu szło! - pomyślał Wiktor o Golemie. Mądrzy i jeden w drugiego utalentowani... Więc co z tego wynika? Z tego wynika, że oni już nie są ludźmi. Zurtzmansor po prostu mydlił mi oczy. To znaczy, że się zaczęło... Nic się nie da ukryć, pomyślał z satysfakcją. A czegoś takiego tym bardziej. Pójdę do Golema, niech nie udaje proroka. Zapewne oni dużo mu powiedzieli.. Do diabła, to przecież przyszłość, ta sama przyszłość, która zapuszcza swoje macki w serce dnia dzisiejszego! Przed nami są tylko oni... Ogarnęło go gorączkowe wzburzenie. Każda sekunda była historyczna, i szkoda że nie wiedział o tym wczoraj, dlatego że wczoraj, i przedwczoraj, i tydzień temu każda sekunda też była historyczna...

Zerwał się z łóżka, zapalił światło i mrużąc oczy przed blaskiem bijącym w oczy, zaczął po omacku szukać ubrania. Ubrania nie było, ale potem oczy przywykły do światła, złapał spodnie wiszące na poręczy łóżka i nagle zobaczył swoją rękę. Ręka pokryta była czerwoną wysypką i trupio białymi gruzelkami. Niektóre rozdrapane gruzelki krwawiły. Na drugiej ręce było to samo. Co u diabła, pomyślał truchlejąc, ponieważ już wiedział, co to jest. Przypomniał sobie - zmiany na skórze, wysypka, pęcherze, czasami ropiejące wrzody... Ropiejących wrzodów na razie nie było, ale oblał go zimny pot. Upuścił spodnie i siadł na łóżku. To niemożliwe, pomyślał. Ja też. Czyżby ja też? Ostrożnie pogładził dłonią gruzelkową skórę, zamknął oczy, wstrzymał oddech i wsłuchał się w siebie. Dźwięcznie i powoli uderzało serce, w uszach cienko dzwoniła krew, głowa wydawała się ogromna, pusta, nic nie bolało, mózg nie był już ciężki i wypchany watą. Głupcze, pomyślał uśmiechając się. Co chcesz zaobserwować? To musi być jak śmierć - chwilę temu byłeś człowiekiem, mignął kwant czasu - i jesteś już Bogiem, ale nie wiesz o tym i nigdy się nie dowiesz, tak jak głupiec nie wie, że jest głupcem, jak mędrzec - jeżeli rzeczywiście jest mędrce - nie wie, że jest mądry... Prawdopodobnie stało się to kiedy spałem. W każdym razie do momentu, w którym zasnąłem, istota mokrzaków pozostawała dla mnie nader mglista, ale teraz widzę jaz bezgraniczną jasnością i doszedłem do tego wyłącznie przy pomocy nagiej logiki, nawet nie zauważyłem kiedy...

Zaśmiał się ze szczęścia, stanął na podłodze, przeciągnął się i podszedł do okna. Mój świat, pomyślał, patrząc przez szybę zalaną wodą, i szyba znikła, gdzieś daleko w dole utonęło w deszczu zamarłe w przerażeniu miasto i ogromny, przemoknięty kraj, potem zaś wszystko przesunęło się, odpłynęło, pozostała tylko maleńka, błękitna kula z długim, błękitnym ogonem i zobaczył gigantyczną soczewicę galaktyki, martwą i ukośnie wiszącą w migotliwej otchłani, strzępy świetlistej materii, skręcone siłowymi polami i bezdenną pustkę tam, gdzie nie było światła, więc wyciągnął rękę i zanurzył ją w pulchnym białym jądrze, poczuł lekkie ciepło, a kiedy zacisnął dłoń, materia przeszła przez palce jak mydlana piana. Znowu się roześmiał, przytknął w nos swoje odbicie w szybie i czule pogłaskał gruzelki na spuchniętej skórze.

- Trzeba to koniecznie oblać! - powiedział głośno.

W butelce zostało jeszcze trochę dżinu, biedny stary Golem nie zdołał wypić wszystkiego, biedny stary pseudoprorok... nie dlatego pseudoprorok, że jego przepowiednie są nieprawdziwe, ale dlatego, że jest zaledwie gadającą marionetką. Zawsze będę cię lubił, Golem, pomyślał Wiktor, jesteś wspaniałym człowiekiem, jesteś mądry - ale jesteś tylko człowiekiem. Wlał resztkę do

szklanki i wprawnym ruchem wlał alkohol do gardła - nawet jeszcze nie zdążył go przełknąć, kiedy pobiegł do łazienki. Zwymiotował. Do diabła, pomyślał. Co za paskudztwo. W lustrze zobaczył swoją twarz - wymiętą, jakby nalaną, o nienaturalnie wielkich i nienaturalnie czarnych oczach. No i koniec, pomyślał, no i koniec. Wiktor Baniew, pijak i pyszałek. Nie będziesz już więcej pił, nie będziesz ryczał piosenek, nie będziesz się śmiał z głupstw, nie będziesz opowiadać wesołych bredni sztywniejącym językiem, nie będziesz się bić, awanturować, szaleć, straszyć przechodniów, zadzierać z policją, kłócić z panem prezydentem, wpadać do nocnych barów z hałaśliwą watahą młodych wielbicieli... Wrócił do łóżka. Nie miał ochoty na papierosa. Na nic nie miał ochoty, od wszystkiego mdliło, posmutniał. Poczucie utraty, najpierw słabe, ledwie dostrzegalne, jak dotknięcie pajęczyny, rozrastało się, posępne rzędy drutu kolczastego rozciągały się między nim a tym światem, który tak kochał. Za wszystko trzeba płacić, myślał, nic nie dostaje się za darmo, i im więcej otrzymałeś, tym więcej trzeba zapłacić, za nowe życie trzeba zapłacić starym życiem... Wściekle drapał ręce, aż do krwi i nawet nie czuł tego.

Diana weszła bez pukania, zrzuciła płaszcz, stanęła przed Wiktorem, uśmiechnięta, uwodzicielska i uniosła ręce poprawiając włosy.

- Zmarzłam - powiedziała. - Można się tu ogrzać?

- Tak - odparł, prawie nie rozumiejąc co mówi.

Diana zgasiła światło, teraz jej nie widział, tylko słyszał klucz przekręcany w zamku, trzask rozpinanych zatrząsków, szelest ubrania i pantofle spadające na podłogę, a potem Diana znalazła się blisko, ciepła, gładka, pachnąca, on zaś wciąż myślał, że teraz wszystko się skończyło - i tylko wieczny deszcz, ponure domy z dachami jak sito, obcy, nieznajomi ludzie w mokrych, czarnych ubraniach, z mokrymi przepaskami na twarzach... i oto zdejmują opaski, zdejmują rękawiczki, zdejmują twarze, odkładają je do specjalnych szafek, ich ręce są pokryte ropiejącymi wrzodami - smutek, przerażenie, samotność... Diana przytuliła się do niego i objął ją automatycznym gestem. Ona była dawna, ale on już nie był dawny, niczego już nie mógł dlatego, że nic już mu nie było potrzebne.

- Co z tobą kochany? - serdecznie zapytała Diana. - Za dużo wypijeś? Ostrożnie zdjął jej ręce ze swojej szyi. Ogarnęło go ostateczne przerażenie.

- Poczekaj - rzekł. - Poczekaj.

Wstał, wymacał kontakt, zapalił światło, kilka sekund stał do niej plecami, zanim zdecydował się odwrócić, ale jednak się odwrócił. Nie, Diana była przepiękna. Była chyba piękniejsza niż zwykle, zawsze była piękniejsza niż zwykle, ale to było jak obraz. Budziło dumę z człowieka, zachwyty nad jego doskonałością, ale niczego więcej nie budziło. Diana patrzyła na niego ze zdziwieniem unosząc brwi, ale potem widocznie przestraszyła się, bo usiadła nagle i zobaczył, że jej wargi się poruszają. Coś mówiła, ale Wiktor tego nie słyszał.

- Poczekaj - powtórzył. - To niemożliwe. Poczekaj.

Ubierał się z gorączkowym pośpiechem i wciąż powtarzał - poczekaj, poczekaj, ale już myślał nie o niej, chodziło nie tylko o nią. Wybiegł na korytarz, znalazł się przed numerem Golema; drzwi były zamknięte, nie od razu zorientował się co teraz, następnie pędem pobiegł na dół do restauracji. Nie chce, powtarzał, nie chce, ja o to nie prosiłem.

Dzięki Bogu Golem był na swoim zwykłym miejscu. Siedział, odrzuciwszy rękę za oparcie fotela i oglądał pod światło kieliszek z koniakiem. A doktor R. Kwadryga był czerwony, agresywny i widząc Wiktora oznajmił na całą salę.

- Te mokrzaki. Ścierwa. Precz.

Wiktor opadł na swój fotel i Golem bez słowa nalał mu koniaku.

- Golem - rzekł Wiktor. - Ja się zaraziłem.

- Przeplukiwanie! - ogłosił R. Kwadryga. - Mnie również.

- Niech się pan napije koniaku, Wiktorze - zaproponował Golem. - Nie trzeba się tak denerwować.

- Niech pan idzie do diabła - odparł Wiktor patrząc na niego ze zgrozą. - To choroba

okularnicza. Co robić?

- Dobrze, dobrze - odrzekł Golem. - Pomimo to niech się pan napije. - Uniósł palec i krzyknął do kelnera - Wody sodowej. I jeszcze raz koniak.

- Golem - powiedział Wiktor z rozpaczą. - Pan nic nie rozumie. Janie mogę. Zachorowałem, mówię panu! Zaraziłem się! To nieuczciwe... Nie chciałem... Pan przecież mówił, że to nie jest zaraźliwe...

Przeraził się na myśl, że mówi zbyt niejasno, że Golem go nie rozumie, sądzi, że Wiktor jest pijany. I wtedy podsunął Golemowi pod nos swoje ręce. Kieliszek przewrócił się, potoczył po obrusie i spadł na podłogę.

Golem najpierw cofnął się, potem spojrzał uważniej, pochylił się, ujął dłonie Wiktora za koniuszki palców i zaczął oglądać rozdrapaną, gruzelowatą skórę. Palce miał zimne i twarde. No, to już koniec, myślał Wiktor, oto pierwsze badanie lekarskie, potem będą następne badania i kłamliwe obietnice, że jest jeszcze nadzieja, uspokajające mikstury, a potem przywyknie, nie będzie już żadnych badań, zawiozą go do leprozorium, zamotają usta czarną szmatą i wszystko będzie skończone.

- Jadł pan poziomki? - zapytał Golem.

- Tak - pokornie odpowiedział Wiktor. - Truskawki.

- Musiał pan zjeść co najmniej dwa kilo - stwierdził Golem.

- Jakie znowu poziomki? - krzyknął Wiktor wyrывая ręce. - Niech pan coś z tym zrobi! To niemożliwe, żeby było za późno. Dopiero się zaczęło...

- Niech pan przestanie wrzeszczeć. To jest pokrzywka. Alergia. Nie wolno panu zjeść truskawek w takich ilościach.

Wiktor jeszcze nie rozumiał. Oglądając swój e ręce mamrotał: "Sam pan mówił... pęcherze... wysypka..."

- Pęcherzy można dostać i od pluskiew - pouczył go Golem. - Ma pan idiosynkrazję na pewne produkty. I wyobraźnię nieproporcjonalną do rozumu. Jak większość pisarzy. Też mi mokrzak...

Wiktor poczuł, że odżywa. Udało się, stukało mu w głowie. Chyba się udało. Jeżeli się udało, to nie wiem co zrobić. Rzucę palenie...

- Nie kłamie pan? - zapytał żalonym głosem. Golem uśmiechnął się.

- Niech pan wypije koniak - zaproponował. - Przy alergii nie wolno pić koniaku, ale niech pan wypije. Bo wygląda pan nazbyt żałośnie.

Wiktor wziął jego kieliszek, zmrzył oczy i wypił. Nic! Trochę mdli, ale to, należy przypuszczać, z powodu kaca. Zaraz przejdzie. I wszystko przeszło.

- Drogi pisarzu - oznajmił Golem. - Żeby zostać architektem, same bąble nie wystarczą. Podszedł kelner i postawił na stole koniak i sodową. Wiktor głęboko i swobodnie westchnął, wciągnął w płuca znajome, restauracyjne powietrze, poczuł cudowny zapach dyma z papierosów, marynowanej cebuli, przypalonego tłuszczu i pieczonego mięsa. Życie wróciło.

- Przyjacielu - zwrócił się do kelnera. - Butelkę dżinu, sok z cytryn i cztery porcje minogów do dwieście szesnastego. Tylko prędko! Alkoholicy - powiedział do Golema i R. Kwadrygi. - Szczejnijcie tu z kretešem, a ja pójdę do Diany! - był gotów ich ucałować.

Golem odezwał się, nie zwracając się do nikogo: / - Biedne, piękne kaczątko!

Przez chwilę Wiktor poczuł żal. Wypłynęło i znikło wspomnienie jakichś ogromnych, utraconych możliwości. Ale tylko się roześmiał, odepchnął fotel i ruszył do wyjścia.

*

Rok po wojnie porucznik B. został zdemobilizowany z powodu dawnej rany. Przypięto mu medal "Wiktoria", wręczono miesięczny żołd i tekturowe pudełko z upominkiem od pana prezydenta - butelka zdobycznego sznapsa, dwie puszki strasburskiego pasztetu, dwa pęta

wędzonej kielbasy i również zdobyczne jedwabne gacie w celu zorganizowania życia rodzinnego. Powróciwszy do stolicy porucznik nie zwiesza nosa na kwintę. Jest dobrym mechanikiem, w każdej chwili przyjmą go do pracy w warsztatach przy uniwersytecie, skąd zaciągnął się na ochotnika, ale porucznik się nie śpieszy - odnawia stare znajomości, nawiązuje nowe. a w przerwach popija świństwo odebrane nieprzyjacielowi w ramach reparacji. Na jakiejś prywatce poznaje dziewczynę, której na imię Nora, bardzo podobną do Diany. Opis prywatki: zrypane przedwojenne płyty, oczyszczany domowym sposobem denaturat, amerykańska mielonka, jedwabne bluzki na gołe ciało i marchew przyrządzona na wszelkie możliwe sposoby. Porucznik dzwoniąc medalami, błyskawicznie rozpędza rozmaitych cywilów nieustannie częstujących Norę gotowaną marchewką i rozpoczyna obłożenie według wszelkich prawideł sztuki. Nora zachowuje się dziwnie. Z jednej strony najwyraźniej jest skłonna, ale z drugiej strony daje mu do zrozumienia, że kontakt z nią grozi niebezpieczeństwem. Jednakże rozpalony denaturatem eks-porucznik nie chce o niczym wiedzieć. Oboje wychodzą z prywatki i idą do Nory. Powojenna stolica nocą: nieliczne latarnie, jezdnia w wybojach, ogrodzone ruiny, niewykończony cyrk, w którym gnije sześć tysięcy - jeńców pod strażą dwóch inwalidów, w absolutnie ciemnym zaułku kogoś grabią. Nora mieszka w bardzo starym, dwupiętrowym domu, schody zapaskudzone, na jednych drzwiach napis kredą "tu mieszka niemiecka dziwka". W zawalonym różnymi gratami długim korytarzu kryją się po kątach smętne postacie. Nora szcękając niezliczonymi kluczami otwiera swoje drzwi obite cudem zachowaną, lśniąca skórą. W przedpokoju ostrzega raz jeszcze, ale B. sądząc, że chodzi o jakichś bandziorów odpowiada tylko, że już brał udział w konnej szarży na czołgi. Mieszkanie jak z innej epoki - czyste i przytulne, ogromna kanapa. Nora patrzy na porucznika jakby z żalem, nie na długo wychodzi i wraca ubrana w najwyższym stopniu zachęcająco. Okazuje się, że mają do dyspozycji zaledwie pół godziny. Po upływie pół godziny zadowolony porucznik wychodzi z nadzieją na następne spotkanie. Na końcu korytarza już na niego czekają - dwie smętne postacie z cienia. Nieprzyjemnie uśmiechnięci zagradzają drogę i proponują, aby z nimi pogadał. Porucznik bez zbędnych słów bierze się do bicia i osiąga zdumiewająco łatwe zwycięstwo. Zbici z nóg, smętni ludzie płacząc i chichocząc wyjaśniają porucznikowi B. jego sytuację. Eks - porucznik bił swoich. Oni wszyscy są teraz swoi. Nora nie jest zwyczajną ponętą kobietą, Nora jest królową stołecznych pluskiew. Koniec teraz z panem, panie oficerze, spotkamy się w "Atakanie", wszyscy się tam spotykamy, każdej nocy. Może pan iść do domu, ale kiedy już nie będzie pan mógł wytrzymać, proszę przyjść, u nas otwarte do rana...

Na zachodnich peryferiach stolicy, w czynszowej kamienicy obok fabryki chemicznej mieszka wielodzietny radca tytularny B. Celowo szczegółowy i celowo nudny opis sytuacji bohatera: trzy pokoiki, kuchnia, przedpokój, mocno zużyta żona, pięcioro zielonkawych dzieci, krzepka stara teściowa, która przeprowadziła się ze wsi. Chemiczna fabryka śmierdzi, dniem i nocą stoją nad nią słupy różnokolorowego dymu, od jadowitego smrodu umierają drzewa, żółknie trawa, a wśród much zachodzą dzikie i niepojęte mutacje. Przez kilka lat radca tytularny prowadzi walkę o poskromienie fabryki: gniewne żądania pod adresem administracji, łzawe petycje do wszystkich instancji, pogromowe felietony do wszystkich gazet, bezowocne próby zorganizowania pikiet przed portiernią. Jednakże fabryka stoi jak bastion. Na wybrzeżu przed fabryką padają trupem zatruci posterunkowi, zdychają domowe zwierzęta, całe rodziny porzucają mieszkania i zostają bezdomnymi włóczęgami, w gazetach ukazuje się nekrolog przedwcześnie zmarłego dyrektora fabryki. Umiera żona radcy tytularnego, dzieci po kolei zaczynają chorować na astmę. Pewnego wieczora tytularny radca schodzi do piwnicy po drzewo i znajduje tam zachowane jeszcze z czasów Ruchu Oporu ogromne zapasy pocisków. Tej samej nocy przenosi to wszystko na strych, otwiera okienko w połaci dachu. Fabryka leży przed nim jak na dłoni: w ostrym świetle reflektorów biegają robotnicy, jeżdżą wagoniki, płyną żółte i zielone kłęby jadowitego dymu. "Zabiję cię", szepcze radca tytularny i otwiera ogień. Tego dnia nie idzie do pracy, następnego również. Nie je, nie śpi, siedzi w kucki przed świetlikiem i strzela. Od czasu do czasu robi przerwę, żeby mógł ostygnąć miotacz min. Ogłuchł od wystrzałów, oślepl od prochu i dymu. Czasem wydaje mu się, że

chemiczny smród słabnie i wtedy uśmiecha się, oblizuje wargi i szepcze: "zabiję cię". Potem pada bez sił i zasypia, a kiedy się budzi, widzi, że amunicja się skończyła, zostały jeszcze trzy pociski. Wystrzeliwuje je i wygląda przez okno. Ogromny teren fabryki pokryty jest lejami, okna zieją wybitymi szybami, na bokach gigantycznych gazociągów ciemnieją wgniecenia, dziedziniec jest poprzecinany skomplikowanym systemem okopów, okopami krótkimi zygzakami przebiegają robotnicy, jeszcze szybciej jadą wagoniki, kierowcy autokarów osłonięci są arkuszami blachy, a kiedy wiatr zwiewa kłęby jadowitego dymu, na ceglanym murze budynku administracji fabryki widać świeży napis:

UWAGA! W CZASIE OSTRZAŁU TA STRONA JEST NAJBARDZIEJ NIEBEZPIECZNA!...

Wiktor odczytał ostatnią stronę, zapalił i spojrzął na kartkę wkręconą w maszynę. Było na niej tylko półtorej linijki: Wychodząc z redakcji, dziennikarz B. w pierwszej chwili chciał wziąć taksówkę, ale rozmyślił się i skręcił do metra. Wiktor nadzwyczaj dokładnie wiedział, co się potem stało z dziennikarzem B., ale nie mógł już dłużej pisać. Na zegarku była za kwadrans trzecia. Wiktor wstał i otworzył okno. Na ulicy panowały ciemności i w tej czerni połyskiwał deszcz. Wiktor dopalił papierosa przy oknie, - wyrzucił niedopałek w mokrą noc i zadzwonił do recepcji. Odpowiedział nieznajomy głos. Wiktor zapytał jaki mamy dziś dzień tygodnia. Nieznajomy głos po krótkiej pauzie zawiadomił go, że obecnie mamy noc z piątku na sobotę. Wiktor zamrugał oczami, odłożył słuchawkę i zdecydowanym ruchem wyrwał kartkę z maszyny. Starczy. Dwie doby pod rząd, nie wstając od maszyny, nikogo nie widząc, z nikim nie rozmawiając, przy wyłączonym telefonie, nie odzywając się na pukanie, bez Diany, bez alkoholu, zdaje się, że nawet bez jedzenia, tylko od czasu do czasu kładąc się na łóżko, żeby zobaczyć we śnie królową pluskiew, która siedzi na framudze i porusza ciemnymi czułkami... Wystarczy. Dziennikarz B. poczeka na peronie aż przyjedzie pociąg z napisem "Nie wsiadać". Nic mu nie będzie. A ja na razie coś przegryzę, zasłużyłem sobie, jak Boga Kocham... Wiktor zdjął maszynę, schował do szuflady maszynopis, przeszkął pusty barek. Potem gryzł czerstwą bułkę z dżemem, robił sobie gorzkie wyrzuty, że wczoraj, by uniknąć pokusy, wylał do umywalki pół butelki brandy i cieszył się, że cykl "Za kulisami wielkiego miasta", pomimo wszystko udało się zacząć, i to zacząć całkiem nieźle, a szczerze mówiąc świetnie. Chociaż prawdopodobnie trzeba będzie wszystko przepisać na nowo. To dziwne, pomyślał, dlaczego te opowiada - , nią piszę właśnie teraz? Dlaczego nie rok temu, nie dwa lata temu, kiedy je wymyśliłem? Teraz powinienem pisać o przygłupie, który wyobraził sobie, że jest supermenem, właśnie tak. Przecież od tego zaczynałem. Zresztą zdarza mi się to nie pierwszy raz. Ale gdyby tak się zastanowić i dobrze poszukać w pamięci, to tak bywa zawsze. I właśnie dlatego nie sposób jest pisać na zamówienie. Zaczynasz pisać powieść o młodzińczych latach pana prezydenta, a wychodzi o bezludnej wyspie, na której żyją dziwaczne małpy, które żywią się nie bananami, tylko myślami rozbitków... No, tu powiedzmy skojarzenie leży na powierzchni. E tam, tak jest zawsze. Trzeba tylko dobrze poszukać, ale komu się chce szukać po dwudniowym poście. Zejdę sobie teraz na dół, recepcjonista zawsze ma jakąś flaszkę. Tylko zjem i zaraz zejdę...

Wiktor drgnął i przestał jeść. Z czarnej pustki za oknem doleciał poprzez plusk deszczu dźwięk jakby uderzenia młotkiem po desce. Strzelają, ze zdziwieniem pomyślał Wiktor. Czas jakiś wsłuchiwał się z napięciem.

... No dobrze, a co autor chciał powiedzieć przez swoje utwory? W jakim celu wskrzesił ciężkie, powojenne lata, kiedy jeszcze gdzieś trafiały się pluskwy i lekkomyślne kobiety? Być może autor chciał ukazać bohaterstwo i wytrwałość stolicy, która pod przewodnictwem jego magnificencji... Ten numer nie przejdzie, panie Baniew! Nie dopuścimy! Cały świat wie, że w rezultacie osobistej decyzji pana prezydenta, na właścicieli zakładów chemicznych zanieczyszczających powietrze, w samej tylko stolicy nałożono kary pieniężne w wysokości... Że dzięki osobistej i nieustannej trosce pana prezydenta, ponad sto tysięcy dzieci wyjeżdża corocznie ze stolicy na obozy letnie... że zgodnie z dekretem o rangach, urzędnicy poniżej radców dworu nie mają prawa zbierać podpisów pod petycjami...

W tym momencie zgasło światło. "Ehe!" - powiedział Wiktor na głos i lampa zapaliła się znowu, ale na pół mocy. "A to co znowu?" - powiedział Wiktor, ale jaśniej się od tego nie zrobiło. Wiktor odczekał chwilę, następnie zadzwonił do recepcji. Nikt się nie odezwał. Można zadzwonić do elektrowni, ale w tym celu trzeba znaleźć książkę telefoniczną, ale gdzie jej szukać, i tak najwyższy czas iść spać. - Tylko najpierw trzeba się napić. Wiktor wstał i nagle usłyszał jakiś szelest. Ktoś przesuwiał po drzwiach rękami. Potem zaczął się pchać na drzwi. "Kto tam?" - zapytał Wiktor, nikt nie odpowiedział, było tylko słychać jak coś się pcha i sapie. Wiktora ogarnęła groza. Oświetlone czerwonym światłem ściany wydawały się obce i niezwykle, w kątach gęstniało zbyt wiele cienia, za drzwiami zaś krzątał się jakiś ogromny stwór, tępy i bezmyślny. Czym by go załatwić? - pomyślał rozglądając się Wiktor, ale wtedy za drzwiami ktoś odezwał się ochryplym szeptem "Baniew, ej Baniew - jesteś tam?" Idiota - powiedział Wiktor półgłosem, wyszedł do przedpokoju i przekręcił klucz. Do numeru wtoczył się R. Kwadryga. Był w szlafroku, włosy miał zmierzwiłone i rozbiegane oczy.

- Bogu dzięki, chociaż ty jesteś na miejscu - rzekł na wstępie. - O mało nie zwariowałem ze strachu... Słuchaj, Baniew, trzeba stąd wiać... Chodźmy, co? Chodźmy stąd, Baniew... - złapał Wiktora za koszulę i pociągnął do korytarza. - Chodźmy, dłużej już nie można...

- Oszałał - stwierdził Wiktor wyrывая się. - Idź spać ramolu. Jest trzecia w nocy.

Ale R. Kwadryga znowu zrzęcznie złapał go za koszulę i Wiktor stwierdził ze zdumieniem, że doktor honoris causa jest absolutnie trzeźwy, nawet nie czuć go alkoholem.

- Nie wolno spać - oznajmił Kwadryga. - Trzeba uciekać z tego przeklętego domu. Widzisz, co ze światłem? My tu zginiemy.... W ogóle trzeba uciekać z miasta. Mam wwilli samochód. Chodźmy. Ja bym wyjechał sam, tylko boję się wyjść.

- Poczekaj, nie szarp mnie - odparł Wiktor - przede wszystkim uspokój się.

Wciągnął Kwadrygę do pokoju, posadził w fotelu, a sam poszedł do łazienki po szklanę wody. Kwadryga natychmiast poderwał się i pobiegł za nim.

- Jesteśmy tu sami, nikt nie został - powiedział. - Golema nie ma, portiera nie ma, dyrektora też... Wiktor odkręcił kran. W rurach zawyło, wyleciało kilka kropli.

- Ty czego? - zapytał Kwadryga. - Potrzebna ci woda? Chodźmy, mam całą butelkę, Tylko szybko. I razem.

Wiktor potrząsnął kranem. Wyleciało jeszcze kilka kropli i wycie ustało.

- O co chodzi? - spytał Wiktor martwiejąc. - Wojna? Kwadryga machnął ręką.

- Jaka tam wojna... Trzeba wiać, póki nie jest za późno, aon - wojna...

- Po co wiać?

- Po drodze - odrzekł Kwadryga i kretyńsko zachichotał.

Wiktor odsunął go łokciem, wyszedł z numeru i zbiegł na dół do recepcji. Kwadryga dreptał za nim.

- Posłuchaj - mamrotał. - Lepiej tylnym wyjściem... Żeby tylko się wydostać... mam samochód. Zatankowany, załadowany... Jak bym przeczuł... Wypijemy sobie i pojedziemy, tu nie ma już ani kropli wódki...

W korytarzu słabo jak czerwone karły świeciły ample, na schodach w ogóle nie było światła, w hallu również, tylko nad kontuarem tliła się żarówka. Tam siedział ktoś, ale nie był to recepcjonista.

- Chodźmy, chodźmy - powiedział szeptem Kwadryga i pociągnął Wiktora do wyjścia. - Nie trzeba tam iść, tam niedobrze...

Wiktor wyrwał się i podszedł do kontuaru.

- Co to za skandal... - zaczął i umilkł. Za kontuarem siedział Zurtzmansor.

Zurtzmansor siedział na miejscu recepcjonisty i szybko pisał coś w brulionie.

- Baniew - oznajmił nie podnosząc głowy. - No i wszystko się skończyło, Baniew. Pożegnajmy się. I niech pan pamięta Q naszej rozmowie.

- Nie mam zamiaru wyjeżdżać - zaprotestował Wiktor. Głos mu się załamał. - Zamierzam

dowiedzieć się, co jest ze światłem i wodą. To wasza robota?

Zurtzmansor uniósł żółtą twarz.

- Nie - powiedział. - My już nic nie robimy. Musimy się pożegnać, Baniew - wyciągnął nad kontuarem dłoń w czarnej rękawiczce. Wiktor machinalnie ujął tę dłoń, poczuł uścisk i odpowiedział uściskiem. - Takie jest życie - powiedział Zurtzmansor. - Tworzysz przyszłość, ale nie dla siebie. Pan z pewnością już to zrozumiał. Albo niebawem zrozumie. Pana dotyczy to w większym stopniu niż nas. Żegnam.

Kiwnął głową i znowu zabrał się do pisania.

- Chodźmy! - zasyczał nad uchem Kwadryga.

- Nic nie rozumiem - głośno na cały hall powiedział Wiktor. - Co tu się dzieje?

Nie życzył sobie, żeby w hallu panowała cisza. Nie życzył sobie być człowiekiem postronnym. Nie on tu jest postronny i właściwie z jakiej racji Zurtzmansor siedzi o trzeciej w nocy za kontuarem recepcjonisty. Mnie nie uda się .wam zastraszyć, ja nie jestem Kwadryga... Ale Zurtzmansor rjje usłyszał, albo nie chciał usłyszeć. Wówczas Wiktor demonstracyjnie wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył do restauracji. W drzwiach przystanął.

W sali słabo świeciły stojące lampy, słabo świecił żyrandol, słabo świeciły kinkiety na ścianach i sala była przepelniona. Przy stolikach siedziały mokrzaki. Wszyscy byli identyczni, tylko siedzieli w różnych pozach. Jedni czytali, inni spali, a jeszcze inni, i było ich bardzo wielu, nieruchomo patrzyli przed siebie niczym skamieliny. Jaśniały łyse czaszki, pachniało wilgocią i lekarstwami. Okna były otwarte, na podłodze ciemniały kałuże. Nie było słyhać żadnego dźwięku, tylko za oknem pluskała woda.

Potem przed Wiktorem pojawił się Golem - zatroskany, spięty i bardzo stary.

- Dlaczego pan tu jeszcze jest? - zapytał półgłosem. - Proszę stąd wyjść, tu panu nie wolno być.

- Co to znaczy - nie wolno? - odpowiedział pytaniem Wiktor, ponownie rozdrażniony. - Ja chcę się napić.

- Ciszej - powiedział - Golem. - Myślałem, że pan już wyjechał. Pukałem do pana. Gdzie pan chce teraz iść?

- Do swojego pokoju. Wezmę butelkę i pójdę do siebie.

- Tu nie ma żadnego alkoholu - odparł Golem.

Wiktor w milczeniu wskazał palcem na bar, gdzie matowo lśniły rzędy butelek. Golem obejrzał się.

- Nie - powiedział. - Niestety.

- Chcę coś wypić! - uparcie powtórzył Wiktor.

Tak naprawdę nie miał ochoty się upierać. Udawał chojraka. Mokrzaki patrzyły na niego. Czytający opuścili książki, zastygli w bezruchu, odwrócili głowy i tylko śpiący spali nadal. Dziesiątki błyszczących oczu, jakby zawieszonych w czerwonym półmroku, patrzyły na Wiktora.

- Niech pan nie wraca do numeru - oznajmił Golem. - Proszę wyjść z hotelu. Niech pan idzie do LoIi.. Albo do willi doktora... Tylko chcę wiedzieć, gdzie pan będzie. Przyjadę po pana. Proszę posłuchać, Wiktorze, niech pan się nie stawia, tylko słucha. Teraz nie mam czasu wyjaśniać, zresztą byłoby to nie na miejscu. Szkoda, że nie ma Diany, ona by potwierdziła...

- A gdzie jest Diana?

Golem znowu się rozejrzał i spojrzał na zegarek.

- O czwartej... Albo o piątej... będzie na stacji benzynowej przy Słonecznej Bramie.

- A gdzie jest teraz?

- Teraz jest zajęta.

- Tak - powiedział Wiktor i również spojrzał na zegarek. - O czwartej, albo o piątej przy Słonecznej Bramie - miał okropną ochotę iść sobie stąd. To było nie do zniesienia - stać tak skupiając na sobie uwagę tego milczącego zgromadzenia.

- Być może o szóstej - rzekł Golem.

- Przy Słonecznej Bramie... - powtórzył Wiktor. - To tam gdzie jest willa naszego doktora.

- Właśnie - przytaknął Golem. - Niech pan idzie do willi i czeka.

- Moim zdaniem, pan po prostu chce mnie stąd wyprosić - oznajmił Wiktor.

- Tak - potwierdził Golem i nagle z zainteresowaniem spojrzął Wiktorowi w twarz. - Wiktorze, czy pan zupełnie nie ma ochoty się stąd wynieść?

- Mam ochotę się przespać - niedbale odparł Wiktor. - Dwie noce nie spałem - złapał Golema za guzik, wyprowadził go do hallu. - Dobra, zaraz sobie pójdę - rzekł. - Ale co to za pandemonium? Macie tu zjazd?

- Tak - odpowiedział Golem.

- Czy może zaczęliście powstanie?

- Tak - powiedział Golem.

- A może zaczęła się wojna?

- Tak - przytaknął Golem. - Tak, tak, tak. Niech się pan stąd wynosi.

- Dobrze - oznajmił Wiktor. Odwrócił się, żeby odejść, ale nagle przystanął. - A Diana? - zapytał.

- Jej nic nie grozi - odrzekł Golem. - I mnie również. Nikomu z nas nic nie grozi. W każdym razie do godziny szóstej. Być może do siódmej.

- Odpowiada pan za Dianę - stwierdził Wiktor cicho. Golem wyciągnął chustkę do nosa i wytarł szyję.

- Ja odpowiadam za wszystko - powiedział.

- Tak? Wolałbym, żeby pan odpowiadał tylko za Dianę.

- Znużył misie pan - odparł Golem. - Och. jak rai pan obrzydł, piękne kaczątko. Diana jest z dziećmi. Dianie absolutnie nic nie grozi. I niech pan już sobie idzie. Mam dużo pracy.

Wiktor odwrócił się i poszedł w kierunku schodów. Zurtzmansora za kontuarem nie było, tylko żarówka tliła się nad brulionem oprawnym w ceratę.

- Baniew - odezwał się z jakiegoś ciemnego kąta R. Kwadryga. - Ty dokąd? Idziemy!

- Przecież nie mogę łązić po deszczu w kapciach! - odrzekł gniewnie Wiktor nie odwracając głowy. Przepędzili, myślał. Wypędzili nas z hotelu. Być może z ratusza też nas przepędzili. A może i z miasta... I co dalej? W swoim pokoju przebrał się szybko i narzucił płaszcz. Kwadryga nie odstępował go i plątał się pod nogami.

- Masz zamiar iść w, szlafroku? - zapytał Wiktor.

- On jest ciepły - powiedział Kwadryga. - A w domu mam jeszcze jeden.

- Idź się ubierz, bałwanie.

- Nie pójdę - kategorycznie odmówił Kwadryga.

- Chodźmy razem - zaproponował Wiktor.

- Nie. Razem też nie trzeba. Ty się nie bój, ja tak... Jestem przyzwyczajony...

Kwadryga zachowywał się jak pudel domagający się spaceru. Podskakiwał, zaglądał w oczy, głośno dyszał, ciągnął za ubranie, podbiegał do drzwi i zawracał. Przekonywanie go nie miało sensu. Wiktor dał mu swój stary płaszcz i zamyślił się. Wyjął z biurka dokumenty i pieniądze, rozłożył wszystko po kieszeniach, zamknął okno i zgasił światło. Następnie zdał się na łaskę Kwadrygi.

Doktor honoris causa pochylił głowę, pędem powlókł go korytarzem; kuchennymi schodami, obok ciemnej, zimnej kuchni, wypchnął przez drzwi na ulewny deszcz, w egipskie ciemności i wybiegł w ślad za Wiktorem.

- Wydostaliśmy się dzięki Bogu! - oznajmił. - Biegniemy!

Ale biegać nie umiał. Męczyła go zadyszka, zresztą było tak ciemno, że trzeba było właściwie iść po omacku, trzymając się ścian. Na podstawie świecących na pół mocy ulicznych latarni i sączącego się gdzieś przez zasłony czerwonego światła można było odgadnąć zaledwie ogólny kierunek. Deszcz lał Bez najmniejszej przerwy, ale ulice nie były całkiem

bezludne. Gdzieś rozmawiano półgłosem, płakało niemowlę, parokrotnie przejeżdżały ciężarówki, jakaś furmanka minęła ich z hukiem żelaznych obręczy na kołach. "Wszyscy uciekają - mamrotał Kwadryga. - Wszyscy uciekają. Tylko my się wleczeni..." Wiktor milczał. Pod nogami chlupało, pantofle przemokły, po twarzy spływała ciepława woda, Kwadryga czepiał się jak kleszcz, wszystko to było głupie, w złym guście, trzeba było się wlec przez całe miasto i nie było temu końca. Wiktor wpadł na rynnę, zachrząsało, Kwadryga puścił go i natychmiast wrzasnął płaczliwie na całe miasto: "Baniew! Gdzie jesteś?". Kiedy tak błakali się w mokrych ciemnościach szukając jeden drugiego, nad głowami stuknęło okienko i zduszony głos zainteresował się: "No i co słyhać?" "Ciemno jak u murzyna..." - odpowiedział Wiktor. "Zgadza się! - z entuzjazmem podchwycił głos. - I wody nie ma... Dobrze, że zdążyliśmy nałapać do balii" "A co będzie?" - zapytał Wiktor przytrzymując Kwadrygę wyrwijącego się naprzód. Po chwili milczenia głos odparł: "Zarządzą ewakuację, nie inaczej... Ech, życie!" i okienko zatrzasnęło się. Powędrowali dalej. Kwadrygu wczepiony oburącz w Wiktora zaczął niejasno opowiadać, jak się przerażony obudził, zszedł na dół i trafił na ten - sabat... Po ciemku wpadli na ciężarówkę, po omacku wyminęli ją i wpadli na człowieka z jakimś ładunkiem. Kwadryga znowu wrzasnął. "O co chodzi?" - z wściekłością zapytał Wiktor. "Bije - urażonym tonem zawiadomił go Kwadryga. - Prosto w wątrobę. Pudłem". Chodniki były zastawione samochodami, lodówkami, kredensami, całymi dżunglami roślin w doniczkach. Kwadrygę zarzuciło i trafił do otwartej szafy z lustrem, następnie wplątał się w rower. Wiktor powoli wpadał w furję. W jakimś miejscu zatrzymano ich i zaświecono w oczy latarką. Błysnęły mokre, wojskowe hełmy i ordynarny głos z południowym akcentem oznajmił: "Patrol wojskowy. Proszę o dokumenty". Kwadryga rzecz jasna żadnych dokumentów nie miał, więc natychmiast zaczął wrzeszczeć, że jest doktorem, że jest laureatem, że zna osobiście... Ordynarny głos powiedział pogardliwie: "Frajerzy. Przepuścić". Minęli plac miejski. Przed komendą policji stały stłoczone samochody z zapalonymi reflektorami. Bezmyślnie miotali się mężczyźni w złotych koszulach błyskając miedzią swoich strażackich hełmów, rozlegały się dźwięczne, niewyraźne komendy. Widać było, że tu właśnie znajduje się centrum paniki. Odbłyśki reflektorów jeszcze przez czas jakiś oświetlały drogę, następnie znowu zrobiło się ciemno.

Kwadryga już nie mamrotał, tylko spał i pojękiwał. Kilkakrotnie przewracał się pociągając za sobą Wiktora. Utyłtali się jak świnie. Wiktor otepiał doszczętnie, już więcej nie przeklinał, zasłona apatii spętała mu mózg, trzeba było iść, iść, dzisiaj iść, jutro iść, odpychać napotykanych w drodze niewidzialnych ludzi, znowu i znowu podnosić Kwadrygę za kołnierz namokłego szlafroka, tylko nie wolno było się zatrzymać, i w żadnym wypadku nie wolno było zawrócić. Coś mu się przypomniało, coś co zdarzyło się dawno - haniebne, gorzkie, nieprawdopodobne, ale wtedy była łuna i ludzka kasza na ulicach, w oddali zaś trzaskało i łomotało, za nim było przerażenie, a dookoła opustoszałe domy z oknami oklejonymi na krzyż, w twarz leciał popiół i woń spalonego papieru, na ganek eleganckiej willi z ogromną flagą narodową wyszedł wysoki pułkownik we wspaniałym lejbo-huzarskim mundurze, zdjął czapkę i strzelił sobie w łeb, a my oberwani, zakrwawieni, wierni i zdradzeni, również w huzarskich mundurach, ale już nie huzarzy, tylko nieomal dezertery, zaczęliśmy gwizdać, rechotać, niektórzy rzucali w trupa resztkami połamanych szabli...

- Ano, stój - szeptem powiedział ktoś w ciemności i o pierś oparło się coś bardzo znajomego. Wiktor automatycznie podniósł ręce.

- Jak pan śmie! - wrzasnął Kwadryga za plecami Wiktora.

- Cicho! - rozkazał głos.

- Ratunku! - wrzasnął znowu Kwadryga.

- Cicho, idioto - powiedział do niego Wiktor. - Poddaję się, poddaję - rzekł w ciemność, tam skąd pochodziła lufa automatu, i skąd dobiegał ciężki oddech.

- Będę strzelać! - uprzedził przestraszony głos.

- Nie trzeba - odparł Wiktor. - Przecież się poddajemy. - W gardle, mu zaschło.

- No, rozbierać się! - polecił głos.
- To znaczy, że co?
- Zdejmuj buty, płaszcz zdejmuj, spodnie...
- Po co?
- Szybko, szybko! - wysyczał głos.

Wiktor dobrze się przypatrzył, opuścił ręce, odstąpił na bok, złapał za automat i zadarł lufę do góry. Bandyta zapiszczał, szarpnął się, ale nie wiadomo dlaczego nie wystrzelił. Obaj sapali z wysiłkiem wrywając sobie automat. "Baniew! Gdzie jesteś?" - wrzeszczał zrozpaczony Kwadryga. Sądząc z zapachu i po dotyku człowiek z automatem był żołnierzem. Czas jakiś jeszcze walczył, ale Wiktor był znacznie silniejszy.

- Koniec - oznajmił Wiktor przez zęby. - Koniec. Nie wrywaj się, bo jeszcze dostaniesz po mordzie.

- Niech mnie pan puści! - syczał żołnierz broniąc się słabo.
- Po co ci moje spodnie? Gadaj, coś ty za jeden?

Żołnierz tylko sapał. "Wiktor!" - wrzeszczał Kwadryga już gdzieś z oddali. "Aaa!". Zza rogu wyjechał samochód, na moment oświetlił reflektorami znajomą, piegowatą twarz, okrągłe ze strachu oczy znikły.

- Ee, ja przecież ciebie znam - powiedział Wiktor. - Czego napadasz na ludzi? Oddaj automat. Żołnierz zaczepiając rzemieniem o hełm pokornie oddał broń.

- Więc po co ci moje spodnie? - zapytał Wiktor. - Dezerterujesz? Żołnierz sapał. Taki sympatyczny, piegowaty żołnierz...

- No, dlaczego nic nie mówisz? Żołnierz zapłakał. Cienko, zawodząc.

- Mnie teraz tak czy inaczej... - wymamrotał. - Tak czy inaczej mnie rozstrzelają. Uciekłem z posterunku. Odszedłem, porzuciłem posterunek, gdzie się teraz podzieję... Niech mnie pan puści, co? Ja przecież nie chciałem niezłego, nie jestem żadnym bandytą, niech mnie pan nie wydaje...

Chlipał, pociągał nosem i w ciemności zapewne wycierał nos rękawem munduru - żalony jak każdy dezerter, przerażony jak wszyscy dezerterzy, gotowy na wszystko.

- Dobra - stwierdził Wiktor. - Pójdiesz z nami. Nie wydamy cię. Ubranie też się znajdzie. Idziemy, tylko się nie zgub.

Kierując się na psie wycie znaleźli Kwadrygę. Teraz na szyi Wiktora wisiał automat, za lewą rękę konwulsyjnie trzymał go pochlipujący żołnierz, za prawą wyjący cicho Kwadryga. Zupełny obłęd. Można oczywiście oddać rozładowany automat temu chłopcu i dać smarkaczowi kopniaka. Nie, jakoś szkoda. I smarkacza szkoda, i automatu, jeszcze się może przydać... Myśmy tu się naradzili ze społeczeństwem i przeważył pogląd, że na rozbrojenie jest jeszcze za wcześnie. Automat może się jeszcze przydać w przyszłości...

- Przestańcie obaj wyc - powiedział Wiktor. - Bo patrol usłyszy.

Ucichli, a po pięciu minutach, kiedy zaświeciły przed nimi matowe światła stacji benzynowej. Kwadryga pociągnął Wiktora na prawo mamrocząc radośnie: "Przyszliśmy, dzięki Bogu przyszliśmy..."

Klucz do furtki Kwadryga oczywiście zapomniał w hotelu razem ze spodniami. Piekłac się przeleźli przez płot, klnąc błakali się przez czas jakiś w krzakach bzu, omal nie wpadli do fontanny, wreszcie trafili do wejścia, wyważyli drzwi i znaleźli się w hallu. Pstryknął kontakt i hali rozjaśniło słabe, czerwone światło. W czasie kiedy Kwadryga biegał po domu w poszukiwaniu ręczników i suchego ubrania, żołnierz rozebrał się do bielizny, zwinął mundur w tobołek i wepchnął pod kanapę. Wtedy uspokoił się nieco i przestał pochlipywać. Potem wrócił Kwadryga i wszyscy długo, zaciekle wycierali się ręcznikami i przebierali.

W hallu panował chaos. Wszystko było poprzewracane, rozrzucone, zabłocone. Książki poniewierały się przemieszane z brudnymi łachami i zrolowanymi obrazami. Pod nogami chrzęściło szkło i tubki z zaschniętą farbą, telewizor patrzył pustym prostokątem ekranu, a stół zastawiony był brudnymi naczyniami z cuchnącymi resztkami jedzenia. Zresztą, czego tam nie

było po kątach, a raczej co tam było, nie mógł się zorientować w ciemnościach. Zaduch w domu był taki, że Wiktor nie wytrzymał i otworzył okno.

Kwadryga zabrał się do robienia porządku. Najpierw ujął brzeg stołu, przechylił go i z łoskotem zsywał wszystko na podłogę. Następnie wytarł blat mokrym szlafrokiem, pobiegł gdzieś, przyniósł trzy kryształowe kieliszki, zabytkowe i piękne oraz dwie kwadratowe butelki. Popiskując z niecierpliwości wyciągnął korki i napełnił pucharki.

- Na zdrowie... - wymamrotał niewyraźnie, złapał swój kieliszek, przywarł do niego chciwie, już zawczasu przewracając oczami z rozkoszy.

Wiktor ugniatając wilgotnego papierosa patrzył na niego z pobłażliwym uśmiechem. Na twarzy Kwadrygi pojawiło się nagle nieopisane zdumienie przemieszane z zawodem.

- I tu też... - powiedział z obrzydzeniem.

- Co takiego? - zapytał Wiktor.

- Woda - nieśmiało odezwał się żołnierz. - Zwyczajna woda. Zimna.

Wiktor odpił ze swojego kieliszka. Tak, to była woda, czysta, zimna, być może nawet destylowana.

- Czym ty nas poisz, Kwadryga? - zapytał.

Kwadryga bez słowa złapał drugą butelkę i wypił łyk. Twarz wykrzywił mu grymas. Splunął i powiedział: "O mój Boże!", pochylił się i na palcach wyszedł z pokoju, żołnierz znowu chlipnął. Wiktor obejrzał etykiety na butelkach - rum, whisky. Znowu spróbował - woda. Zapachniało normalnym diabelstwem, same z siebie zaskrzypiały gdzieś deski podłogi, skóra na plecach ścierpła pod uważnym spojrzeniem czyichś oczu. Żołnierz wciągnął głowę w kołnierz ogromnego swetra R. Kwadrygi i głęboko wsunął ręce w rękawy. Oczy miał okrągłe i nie spuszczał wzroku z Wiktora. Wiktor zapytał ochryple:

- No, czego się gapisz?

- A pan czego? - szeptem spytał żołnierz.

- Ja dla niczego, a ty po co wybałuszasz gały?

- Ja tak, a pan... Jakoś straszno.... Lepiej nie...

Spokój, powiedział do siebie Wiktor. To nic strasznego. To przecież homo super. Oni nie takie rzeczy potrafią. Oni, bracie, wszystko umieją. Wodę w wino i wino w wodę. Siedzą sobie w restauracji i przemieniają. Niszczą epokę. Kamień węgielny. Abstynenci, ich mać...

- Stchórzyłeś? - zapytał żołnierza. - Gówniarz.

- Bo to straszne! - powiedział żołnierz ożywiając się. - Panu to nic, ale ile ja się wycierpiałem... Stoisz w nocy na posterunku, a on wylatuje zza drutów, spojrz na ciebie z góry i dalej... Jeden nasz kapral to nawet zrobił w portki... Kapitan ciągle mówił, przyzwyczajcie się, że służba, że przysięga. Ni cholery nie można się przyzwyczaić. Niedawno jeden przyleciał, usiadł na dachu wartowni i patrzy, i patrzy... a oczy ma nie jak człowiek, czerwone, świeca, siarką od niego zalatuje... - żołnierz wyjął ręce z rękawów i przeżegnał się.

Z głębin willi wychynał Kwadryga wciąż tak samo pochylony i na palcach.

- Sama woda - oznajmił. - Wiktor, wiejmy stąd. W garażu stoi zatankowany samochód, siadamy i cześć! No?

- Bez paniki - odparł Wiktor. - Zwiąć zawsze zdamy. A zresztą, jak chcesz. Ja teraz nie pojedę, ale ty spadaj. I nie zapomnij zabrać chłopaka.

- Nie - stwierdził Kwadryga. - Bez ciebie nie pojedę.

- W takim razie przestań dygotać i przynieś coś do żarcia - polecił Wiktor. - Chleb jeszcze nie przemienił się w kamień?

Chleb w kamień się nie przemienił. Konserwy również pozostały konserwami i to dobrymi konserwami. Jedli, a żołnierz opowiadał, ile się najadł strachu przez ostatnie dwa dni, o latających mokrzakach, o inwazji dżdżownic, o dzieciach, które w ciągu dwóch dni stały się dorosłymi ludźmi, o swoim przyjacielu szeregowcu Krupmanie, dwiętnastoletnim chłopcu, który ze strachu sam się postrzelił... i jeszcze o tym jak na wartownię przyniesiono obiad, postawiono na kuchni,

żeby się ogrzał, jak obiad stał dwie godziny na ogniu, w ogóle się nie zagrzał i jedli zimny... A dzisiaj objąłem wartę o ósmej wieczorem, deszcz jak z cebra, razem z gradem, nad obozem pozaregulaminowe światła, muzyka jakaś nieludzka i jakiś głos wciąż mówi i mówi, mówi, mówi, a co mówi nie wiadomo, słowa nie można zrozumieć. A potem ze stepu wyszły wirujące słupy i prosto do obozu. Ledwie weszły, jak otwarła się brama i wylatuje za bramę pan kapitan na swoim samochodzie. Nie zdążyłem nawet stanąć na baczność, widzę tylko, że pan kapitan na tylnym siedzeniu bez czapki, bez płaszcza - bije kierowcę po karku i wrzeszczy: "Prędzej sukinsynu. Prędzej!" Coś mnie ścisnęło w środku, jakby mi ktoś powiedział - uciekaj, pryskaj stąd, bo inaczej zostanie z ciebie mokra plama. No, to zwałem. I nie drogą, tylko prosto, przez step, przez wąwozy, mato w moczarach nie ugrzązłem, pelerynę gdzieś tam zgubiłem, wczoraj nową pobrałem, ale trafiłem do miasta, a w mieście patrol.. Raz ledwie im uciekłem, drugi raz ledwie im uciekłem, dotarłem tu do stacji benzynowej, patrzę - ludzie uciekają, cywilów puszczają bez gadania, ale naszych - figę, żądają przepustek. No to się zdecydowałem.

Opowiedziawszy swoją historię, żołnierz zwinął się w fotelu i natychmiast zasnął. Męczeńsko trzeźwy Kwadryga znowu zaczął powtarzać, że trzeba uciekać i to natychmiast. "Ten tu na przykład - mówi w kółko, wskazując widelcem na śpiącego żołnierza. - Nawet ten rozumie... Ale ty jesteś okropnie tępy, Baniew, tępy jak głąb. Że też nie czujesz, ja mam po prostu fizyczne uczucie, jak z północy coś mnie naciska. .. Uwierz mi... wiem, że mi nie wierzysz, ale teraz uwierz, przecież dawno wam wszystkim mówiłem - nie wolno tu siedzieć... Golem ci w głowie zawrócił, pijaczyna nosaty... Zrozum, teraz jeszcze jest wolna droga, wszyscy czekają aż się rozwidni, potem wszystkie mosty będą zatłoczone tak jak w czterdziestym... Jesteś uparty jak kozioł, Baniew, zawsze taki byłeś, jeszcze w gimnazjum..." Wiktor kazał mu iść spać albo wynosić się do diabła. Kwadryga nabzdyczył się, dojadł konserwy i wlaź na kanapę owinąwszy się w moherowy pled. Czas jakiś kręcił się, chrząkał, mamrotał apokaliptyczne przepowiednie, a potem ucichł. Była godzina czwarta.

O czwartej dziesiąt światło mignęło i zgasło zupełnie. Wiktor wyciągnął się w fotelu, przykrył jakimiś suchymi szmatami i spokojnie leżał patrząc w ciemne okno i nad słuchując. Pojękiwał przez sen żołnierz, pochrapywał umęczony doktor honoris causa. Gdzieś - zapewne na stacji benzynowej - ryczały silniki, niewyraźnie wykrzykiwały coś jakiegoś głosu. Wiktor spróbował zorientować się w tym co się dzieje i doszedł do wniosku, że mokrzaki jednak pokłóciły się z generałem Pferdem, pogoniły go z leprozorium, przeniosły swoją rezydencję do miasta i wyobrażają sobie, że jeżeli umieją przemienić wino w wodę i sprowadzać na ludzi upiorny strach, to będą umieli przeciwstawić się współczesnemu wojsku... - co tam, nawet współczesnej policji. Idioci. Zburzą miasto i sami zginą, zostawią ludzi bez dachu nad głową. I dzieci... Dzieci zmarnują, dranie! I po co? Czego oni chcą? Czyżby znowu walka o władzę? Ech wy, homo super! Mądrzy, utalentowani... tacy sami dranie jak i my. Jeszcze jeden nowy ład, a czym ład nowszy tym gorszy - to dobrze wiadomo. Irma... Diana... Poderwał się, namacał telefon, zdjął słuchawkę. Telefon milczał. Znowu czegoś między sobą nie podzielili, a my, którzy nie chcemy być ani z tymi ani z tamtymi, chcemy tylko, żeby nas zostawiono w spokoju, znowu musimy ruszać w drogę, depcząc się wzajemnie ratować się, uciekać, albo co gorsza - wybierać czyjąś stronę niczego nie rozumiejąc, nic nie wiedząc, wierzyć na słowo, nawet nie na słowo, ale diabli wiedzą na co... Strzelać do siebie, szarpać zębami...

Znane myśli płyną znanym korytem. Już tysiące razy tak myślałem. Przyuczeni jesteście. Przyuczeni od dziecka. Albo hurra, hurra, albo idźcie wszyscy do diabła, nikomu nie wierzę. Myśleć pan nie umie, panie Baniew, ot co. I dlatego pan upraszcza. Jeżeli napotka pan na swojej drodze jakikolwiek złożony ruch społeczny, na początek próbuje pan go uprościć. Wiara, albo niewiara. A jeżeli pan już wierzy, to do utraty zmysłów, do najwierniejszego szczenięcego skowytu. A jeśli pan nie wierzy to z lubością rzyga pan zatrutą żółcią na wszystkie ideały - i na fałszywe, i na te najprawdziwsze. Perry Mason mawiał - nie należy się bać dowodów rzeczowych - trzeba się bać interpretacji. To samo z polityką. Bandyty interpretują tak jak im jest wygodnie, a my

prostaczkowie łykamy gotową interpretację. Dlatego, że nie umiemy, nie możemy i nie chcemy sami pomyśleć. A kiedy prostaczek Baniew, który nigdy niczego oprócz politycznych bandziorów w życiu nie widział, próbuje samodzielnej interpretacji, to natychmiast daje plamę, ponieważ jest ciemny jak tabaka w rogu, myślenia nikt go nie nauczył, więc naturalnie w żadnych innych kategoriach oprócz bandyckich interpretować nie jest zdolny. Nowy świat, stary świat... i od razu skojarzenia - nowy ład, stary ład... No dobrze, ale przecież prostaczek Baniew istnieje nie pierwszy dzień, coś niecoś już widział, tego i owego się nauczył. Przecież nie jest zupełnym debilem. Przecież jest Diana, Zurtzmansor, Golem. Dlaczego muszę wierzyć faszycie Faworowi, albo temu smarkatemu kmiotkowi, albo trzeźwemu Kwadrydze? Dlaczego koniecznie zaraz krew, gnój i błoto? Mokrzaki wystąpiły przeciwko Pferdowi? Znakomicie! Pogonić go w cholere. Dawno pora... A dzieci nie pozwolą skrzywdzić, to do nich niepodobne... nie rozdierają na sobie koszul, nie nawołują, żeby się narodowo samookreślić, nie grają na jaskiniowych instynktach... To, co najbardziej naturalne, to najmniej przystoi człowiekowi - słusznie, brawo Bol-Kunac, zuch jesteś... I całkiem możliwe, że to nowy świat bez nowego ładu. Strach? Obcość? Ale tak właśnie powinno być. Tworzysz przyszłość, ale nie dla siebie. Ależ ja się miotalem jak goły w pokrzywach, kiedy sparzyła mnie przyszłość! Jak bardzo chciałem zawrócić, znaleźć się tam gdzie moje minogi i wódka... Nawet wspomnieć przykro, ale przecież tak właśnie być powinno. Tak, nienawidzę starego świata. Nienawidzę jego głupoty, jego obskurantyzmu, jego faszystów. Ale czym jestem bez tego wszystkiego? To mój chleb i moja woda. Oczyśćcie świat wokół mnie, sprawcie, żeby stał się takim jakim chcę go widzieć, wówczas nastąpi mój koniec. Wychwalać nie umiem, nienawidzę wychwalania, a wymyślać nie będę miał komu, nie będę miał kogo nienawidzić - smutek, śmierć... Nowy świat - surowy, sprawiedliwy, mądry, sterylnie czysty - nie jestem mu potrzebny, jestem dla niego zerem. Byłem mu potrzebny, kiedy walczyłem o niego... ale jeśli ja mu nie jestem potrzebny to i on mi niepotrzebny, ale jeżeli jest mi niepotrzebny, to dlaczego walczę o niego? Ech, gdzie te dobre, stare czasy, kiedy można było oddać życie za zbudowanie nowego świata, ale umrzeć w starym. Akceleracja, wszędzie akceleracja... Ale nie sposób walczyć przeciw, nie walcząc za! No cóż to znaczy, że kiedy rąbiesz las, najmocniej podcinasz właśnie tę gałąź, na której siedzisz.

... Gdzieś w ogromnym, pustym świecie płakała dziewczynka powtarzając żałośnie: nie chcę, nie chcę, to niesprawiedliwe, co z tego, że będzie lepiej, jeżeli tak ma być, to niech nie będzie lepiej, niech oni zostaną, niech oni będą, czy naprawdę nie można nic zrobić, żeby zostali z nami, jakie to głupie, jakie bezsensowne... Przecież to Irma, pomyślał Wiktor. "Irma!" - krzyknął i obudził się.

Chrapał Kwadryga. Deszcz za oknem ustał i jakby przejaśniało. Wiktor podniósł do oczu zegarek. Świecące wskazówki pokazywały za kwadrans piątą. Ciągnęło przenikliwym chłodem, należałoby wstać i zamknąć okno, ale już się zagrzał i nie chciało mu się ruszać, powieki mimo woli opadły mu na oczy. Ni to we śnie, ni to na jawie, gdzieś w pobliżu przejeżdżały samochody, jeden za drugim jechały samochody, samochody wlokły się błotnistą drogą po wybojach, przez bezkresne, bagniste pole pod szarym brudnym niebem, wzdłuż pochyłonych słupów telegraficznych, z których zwisały zerwane druty, obok rozbitego działa z lufą zadartą do góry, obok resztek osmalonego komina, na którym siedziały najedzone wrony i przejmująca wilgoć przenikała pod brezent, pod płaszcz, strasznie chciało się spać, ale spać nie było można, dlatego, że powinna przejeżdżać Diana, a furtka zamknięta, w oknach ciemno, pomyślała, że mnie tu nie ma i pojechała dalej, a on wyskoczył przez okno i ze wszystkich sił rzucił się w pogoń za samochodem i krzyczał tak, że omal żyły nie popękały mu w skroniach, okazało się jednak, że obok z łoskotem i szczękami jadą czołgi, więc nie słyszał nawet samego siebie, a Diana pojechała tam, w stronę przeprawy, gdzie wszystko płonęło, gdzie ją zabiją i on zostanie sam, w tym momencie rozległ się przenikliwy świst bomby, prosto w głowę, w mózg... Wiktor wskoczył do rowu i spadł z fotela.

Kwiczał R. Kwadryga. Rozkraczony przed otwartym oknem patrzył w niebo i kwiczał jak baba, było widno, ale nie było to dzienne światło - na uświnionej podłodze leżały równe jasne

prostokąty. Wiktor podbiegł do okna i wyjrzał. To był księżyc - lodowaty, małeńki, oślepiająco jasny. Było w nim coś niewypowiedzianie przerażającego, do Wiktora nie od razu dotarło co mianowicie takiego. Niebo nadal zasnuwały chmury, ale w tych chmurach ktoś starannie wykroił równiutki kwadrat i w centrum tego kwadratu był księżyc.

Kwadryga już nie kwiczał. Zatchnął się krzykiem i wydawał z siebie tylko słabe, skrzypliwe dźwięki. Wiktor z trudem nabrał powietrza w płuca i nagle poczuł złość. Co oni tu urządzają - cyrk, czy co? Za kogo oni mnie biorą? Kwadryga wciąż skrzypiał.

- Przestań! - ryknął Wiktor z nienawiścią. - Co ty, kwadratów nie widziałeś? Artysta gówniany! Fagas!

Złapał Kwadrygę za moherowy pled i potrząsnął z całej siły. Kwadryga upadł na podłogę i zamarł.

- No więc - powiedział nagle nieoczekiwanie jasno i wyraźnie. - Ja mam dosyć.

Wstał na czworaki i wprost z tej pozycji wystartował niczym sprinter. Wiktor znowu wyjrzał przez okno. W głębi duszy miał nadzieję, że mu się przewidziało, ale nic się nie zmieniło i nawet wypatrzył w prawym dolnym kącie kwadratu gwiazdkę, nieomal zatopioną w księżycowym blasku. Było świetnie widać mokre krzaki bzu, nieczynną fontannę i alegoryczną rybę z marmuru, bogato zdobioną bramę, a za bramą - czarną wstęgę szosy. Wiktor usiadł na parapecie i pilnując, żeby nie drżały mu palce, zapalił papierosa. Kątem oka zauważył, że żołnierza nie ma w hallu - może uciekł, może schował się pod kanapę i umarł ze strachu. W każdym razie automat leżał na dawnym miejscu, i Wiktor histerycznie zachichotał porównując ten nieszczęsny kawałek żelaza z siłami, które wykonały kwadratową studnię w chmurach. Sztukmistrze, żeby ich. Nie - e, jeżeli nawet ten nowy świat polegnie, to i stary nieźle dostanie po uszach... Ale to dobrze, że jest pod ręką automat. Głupio, ale jakoś z nim spokojniej. Zresztą, jeśli po - myśleć, wcale nie głupio. Jasne jak słońce, że szykuje się przesławne wianie, to wisi w powietrzu, a kiedy trwa wielkie wianie, zawsze lepiej trzymać się na uboczu i mieć przy sobie automat.

Na dziedzińcu zaryczał silnik, zza rogu wyleciała ogromna, nieskończenie długa limuzyna Kwadrygi (osobisty upominek pana prezydenta za bezinteresowną służbę wiernym pędzlem) i nie wybierając drogi pomknęła do bramy, wywaliła ją, wyjechała na szosę, skręciła i znikła.

- A jednak zwiął, bydlak - wymamrotał Wiktor nie bez zawiści. Złazł z parapetu, zawiesił na ramieniu automat, narzucił płaszcz i zawołał żołnierza. Żołnierz nie odezwał się. Wiktor zajrzał pod kanapę, ale leżał tam tylko szary tłumok z umundurowaniem. Wiktor zapalił jeszcze jednego papierosa i wyszedł na dwór. W krzakach bzu, obok rozbitej bramy znalazł ławkę dziwacznej kształtu, ale bardzo wygodną, a co najważniejsze z dobrym widokiem na szosę, usiadł, założył nogę na nogę i szczerzej zakutał się w płaszcz. Początkowo na szosie było pusto, ale potem przejechał samochód, drugi, trzeci i Wiktor zrozumiał, że wianie się rozpoczęło.

Miasto pękło jak wezbrany wrzód. Na czele uciekali wybrani, magistrat i policja, uciekał przemysł i handel, uciekał sąd i akcyza, finanse i oświata ludowa, poczta i telegraf, uciekały złote koszule - wszyscy, wszyscy, w kłębach benzynowego smrodu, w trzasku rur wydechowych, rozczochrani, agresywni, rozwścieczeni i tępi. Kombinatorzy, dorobkiewiczze, słudzy ludu, ojcowie miasta, z wyciem syren samochodowych, w histerycznym jęku klaksonów - szosa ryczała, gigantyczny furunkuł wciąż wyciekał i wyciekał, a kiedy spłynęła ropa, popłynęła krew - ludzie na zatłoczonych ciężarówkach, w przeciążonych autobusach, w załadowanych małowitrazówkach, na motocyklach, na rowerach, na wózkach, na piechotę przygięci ciężarem tobołów, popychający ręczne wózki, pieszo, z pustymi rękami, posepni, milczący, zagubieni, zostawiając swoje domy, swoje pluskwy, swoje niewielkie szczęście, ułożone życie, swoją przeszłość i swoją przyszłość. Za ludźmi postępowało wojsko. Powoli przejechał łazik z oficerami, transporter opancerzony, dwie ciężarówki z żołnierzami i nasze najlepsze na świecie polowe kuchnie, a ostatnia jechała pancerka na gąsienicach z karabinami maszynowymi skierowanymi do tyłu.

Świtało, księżyc pobladał, straszny kwadrat rozpląnął się, chmury topniały, nadciągał świt. Wiktor poczekał około kwadransa, nikogo się więcej nie doczekał i wyszedł za bramę. Na asfalcie

poniewierały się brudne szmaty, czyjaś rozwalona walizka - w bardzo dobrym gatunku, od razu widać, że jakaś władza ją zgubiła, koło od furmanki, a nie opodal, na poboczu - sama furmanka ze starą dziurawą kanapą i fikusem. Pośrodku szosy, dokładnie naprzeciwko bramy - samotny kalosz. Dookoła było pusto. Wiktor spojrzał w stronę stacji benzynowej. Nie było tam już ani jednego samochodu, ani jednego człowieka. W ogrodach zaczęły śpiewać ptaki, wstawało słońce, którego Wiktor nie widział już ze dwa tygodnie, a miasto - kilka lat. Ale teraz nie było komu patrzeć na słońce. Znowu rozległ się warkot motoru i zza zakrętu wynurzył się autobus. Wiktor zszedł na pobocze. To byli "Bracia w sapiencji" - przepłynęli obok jednakowo odwracając obojętne, bezmyślne twarze. Otóż i koniec, pomyślał Wiktor. Dobrze byłoby się napić. Gdzież jest Diana?

Wolno ruszył na powrót do miasta.

*

Słońce było po prawej stronie, to skrywało się za dachami domków, to bryzgało ciepłym światłem poprzez gałęzie na wpół zgniłych drzew. Chmury znikły i niebo było zdumiewająco czyste. Ziemia parowała lekką mgiełką. Było idealnie cicho i Wiktor zwrócił uwagę na dziwne, ledwie dosłyszalne dźwięki, dobiegające jakby spod ziemi - słabe potrzaskiwanie, szuranie, szelest. Ale potem przywykł i zapomniał o tym. Ogarnęło go zdumiewające poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Szedł jak pijany i prawie przez cały czas patrzył w niebo. W Alejach Prezydenta zatrzymał się obok niego jeep.

- Niech pan wsiada - powiedział Golem.

Golem był szary ze zmęczenia i jakiś przygnębiony, a obok niego siedziała Diana, również zmęczona, ale i tak prześliczna, najpiękniejsza z wszystkich zmęczonych kobiet.

- Słońce - rzekł Wiktor uśmiechając się do niej. - Spójrzcie jakie słońce.

- On nie pojedzie - stwierdziła Diana. - Uprzedzałam pana, Golem.

- Dlaczego nie pojedzie? - zdziwił się Wiktor. - Pojedzie. Tylko po co mam się śpieszyć?

Nie wytrzymał i znowu popatrzył na niebo. Potem za siebie, na pustą ulicę. Wszystko było zalane słońcem. Gdzieś tam polem wlekli się uciekinierzy, z łoskotem cofała się armia, wiała władza, tam były korki, latały przekleństwa, bezmyślne komendy i groźby, z północy na miasto ciągnęli zwycięzcy, a tu był pusty pas spokoju i bezpieczeństwa, kilka kilometrów pustki, w tej pustce zaś samochód i troje ludzi.

- Golem, czy to idzie nowy świat?

- Tak - oznajmił Golem. Wpatrywał się w Wiktora spod opuchniętych powiek.

- A gdzie są pańskie mokrzaki? Idą na piechotę?

- Mokrzaków nie ma - odpowiedział Golem.

- Jak to - nie ma? - zapytał Wiktor. Spojrzał na Dianę. Diana odwróciła się w milczeniu.

- Mokrzaków nie ma - powtórzył Golem. Głos miał zduszony i Wiktorowi nagle się wydało, że za chwilę zapłacze. - Może pan uważać, że ich nie było. I nie będzie.

- Znakomicie - powiedział Wiktor. - No to chodźmy na spacer.

- Jedzie pan, czy nie? - ospale zapytał Golem.

- Ja bym pojechał - odparł z uśmiechem Wiktor - ale muszę jeszcze wpaść do hotelu, zabrać maszynopisy i w ogóle rozejrzeć się... Wie pan, Golem, mnie się tu podoba.

- Ja też zostaję - oznajmiła nagle Diana i wysiadła z samochodu. - Co ja tam będę robić?

- A co pani będzie tu robić? - zapytał Golem.

- Nie wiem - odpowiedziała Diana. - Ale nie mam teraz na świecie nikogo oprócz tego człowieka.

- No dobrze - rzekł Golem. - On nie rozumie. Ale pani...

- Przecież on musi zobaczyć - zaprotestowała Diana. - On nie może wyjechać zanim nie zobaczy...

- O właśnie - podchwycił Wiktor. - Po jakiego diabła jestem potrzebny, jeżeli nie zobaczę?

Przecież to moja specjalność - patrzeć.

- Posłuchajcie, dzieci - powiedział Golem. - Czy wy zdajecie sobie sprawę, na co się decydujecie? Wiktor, przecież mówiłem - niech pan zostanie po swojej stronie, jeśli ma być z pana jakiś pożytek. Po swojej!

- Ja całe życie jestem po swojej stronie - odrzekł Wiktor.

- Tutaj będzie to niemożliwe.

- Zobaczymy - stwierdził Wiktor.

- O Boże - westchnął Golem - jakbym ja nie miał ochoty zostać! Ale trzeba przecież choć trochę ruszyć głową! Trzeba rozumieć, do diabła, na co ma się ochotę i co się musi... - jakby przekonywał siebie samego. - Ech, wy... No cóż, zostawajcie. Życzę przyjemnego spędzenia czasu.

- Wrzucił bieg. - Diano, gdzie jest zeszyt? A, tutaj. Zabieram go ze sobą. Pani nie będzie potrzebny.

- Tak - potwierdziła Diana. - On tego właśnie chciał.

- Golem - zapytał Wiktor. - A pan dlaczego ucieka? Przecież ten świat jest tym, czego pan chciał.

- Ja nie uciekam - surowo oznajmił Golem. - Ja jadę. Stąd, gdzie już więcej nie jestem potrzebny, tam gdzie jeszcze jestem potrzebny. Nie tak jak wy. Żegnajcie.

I odjechał. Diana i Wiktor wzięli się za ręce i poszli w górę Alei Prezydenta do pustego miasta na spotkanie zwycięzców. Nie rozmawiali, pełną piersią wdychali nieznaną, czyste powietrze, mrużyli oczy od słońca i nie bali się niczego. Miasto patrzyło na nich pustymi oknami i było to miasto zadziwiające - pokryte pleśnią, oślizgłe, próchniejące, całe w jakichś złowieszczych plamach, jakby przeżarte egzemą, jakby od wielu lat gniło na dnie morza i oto wreszcie wyciągnięto je na powierzchnię na pośmiewisko słońcu i słońce uśmiewszy się do woli zaczęło to miasto niszczyć.

Topniały, parowały dachy, blacha i dachówki rdzawo dymiły i znikwały w oczach. W murach otwierały się szczeliny, rosły, obnażając obszarpane tapety, obdrapane łóżka, kulawe meble i wypłowiałe fotografie. Miętko podłamując się tajały uliczne latarnie, rozpuszczały się w powietrzu kioski i słupy ogłoszeniowe - wszystko wokół potrzaskiwało, syczało cichutko, szeleściło, stawało się gąbczaste, przezroczyste, przeistaczało się w grudy błota i znikowało. Daleka wieża ratusza zmieniła sylwetkę, stała się lekka, niewyraźna i znikła w niebieskości nieba. Przez chwilę, zupełnie oddzielnie wisiał na niebie staroświecki zegar, ale potem również zniknął...

Przepadł mój maszynopis, wesoło pomyślał Wiktor. Dookoła nie było miasta - gdzieś tam sterczały suchotnicze krzaczki, zostały schorowane drzewa i plamy zielonej trawy i tylko daleko, za mgłą można było domyśleć się jakichś budynków, resztek budynków, upiórów domów, a nie opodal byłej jezdnii, na ceglany ganku, który prowadził donikąd siedział Teddy, wyciągnąwszy przed siebie chorą nogę. Obok leżały drewniane kule.

- Czolem Teddy - powiedział Wiktor. - Zostałeś?

- Aha - odparł Teddy.

- Czemu?

- A tam - rzekł Teddy. - Napchali się jak śledzie do beczki, nawet nogi nie miałem gdzie wyciągnąć, mówię do synowej - no, po co ci idiotko serwantka? A ona na mnie z pyskiem. Plunąłem na nich i zostałem.

- Chcesz iść z nami?

- Co to, to nie - odpowiedział Teddy. - Ja lepiej sobie tu posiedzę. Teraz ze mnie żaden piechur, a co moje to i tak mnie nie minie...

I poszli dalej. Robiło się gorąco i Wiktor zrzucił na ziemię niepotrzebny płaszcz, strząsnął z siebie zardzewiałe resztki automatu i roześmiał się z ulgą. Diana pocałowała go i powiedziała "Dobrze!". Nie zaprzeczał. Szli i szli pod błękitnym niebem, pod gorącym słońcem, po ziemi, która już zazieleniła się młodą trawą i przyszli na miejsce gdzie był hotel. Hotel wcale nie znikł. Stał nadal - ogromny, szary sześcian z szorstkiego betonu i Wiktor pomyślał, że to jest pomnik, a być może słup graniczny między starym i nowym światem. Ledwie to pomyślał, zza bryły betonu

bezdźwięcznie wystrzelił odrzutowy myśliwiec z emblematem Legii na kadłubie, bezdźwięcznie śmignął nad głowami, skręcił w pobliżu słońca, znikł i dopiero wtedy nadleciał piekielny, świszczący ryk, uderzył w uszy, w twarz, w duszę, ale naprzeciw już szedł Bol-Kunac z wypłowiałym wąsikiem na opalonej twarzy, a opodal szła Irma też prawie dorosła, bosa, w lekkiej, prostej sukience z witką w ręku. Popatrzyła w ślad za myśliwcem, uniosła witkę jakby brała go na cel i powiedziała "Kch - ch!"

Diana roześmiała się. Wiktor spojrział na nią i zobaczył, że jest to jeszcze jedna Diana, zupełnie nowa, taka jakiej do tej pory jeszcze nie znał, nie przypuszczał nawet, że taka Diana jest w ogóle możliwa - Diana Szczęśliwa. Wtedy pogroził sobie palcem i pomyślał: wszystko to bardzo pięknie, ale żebym tylko nie zapomniał wrócić, żebym tylko nie zapomniał wrócić...

KONIEC